ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 9/504 1989

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

PELIKAN: **POLSKI ROZKŁAD JAZDY**

K. GAWLIKOWSKI: **MIT POMOCY ZACHODU A POLSKIE REALIA**

L. CIOŁKOSZOWA: **KAZIMIERZ SABBAT**

LEOPOLITA: **TRZY BRZYDKIE CHOROBY POLSKIEJ OPOZYCJI**

SPIS RZECZY

Krzysztof Kasprzyk:	*Poznać, odczuć i zrozumieć*	3
Pelikan:	*Polski rozkład jazdy*	17
Ewa Maria Slaska:	*Odwiedziny. Sen.*	25
Andrzej Kempfi:	*Zdrojowisko nad Niemnem*	31
	WIERSZE	
Jehuda Amichaj:	*W środku jabłka. — Bóg lituje się nad małymi dziećmi*	36
Jerzy Kronhold:	*Martwa natura. — Piotr Skarga 1988* .	38
Adam Lizakowski:	*Piekło. — Psalm złodziei czereśni. — Spowiedź chuligana*	39
Piotr Mitzner:	*Jonasz*	43
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Krzysztof Gawlikowski:	*Mit pomocy Zachodu a polskie realia* .	44
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli*	51
Robert Kaczmarek:	*O wielki program energetyczny*	63
Artur Stankiewicz:	*Martwa wiza*	72
	KRAJ	
Leopolita:	*Trzy brzydkie choroby polskiej opozycji* .	75
Tomasz Jerz:	*Trzecia fala*	80
—	*Oświadczenie wydawnictwa „PoMost"* ...	87
Komisja Interwencyjna „S":	*Oświadczenie*	88
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	90
Józef Darski:	*Z lektury czasopism ukraińskich*	97
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Radosław Januszewski:	*„Priwislienije". Rozmowa z o. Józefem Marią Bocheńskim*	102
Zbigniew Janowski:	*Kołakowski, Tischner i Kartezjusz*	108
Marek Zieliński:	*Jeszcze o Teologii Wyzwolenia*	111
	KRONIKA KULTURALNA	
M. Broński:	*Naipaul, Gombrowicz, literatura*	114
Piotr Skrzynecki:	*Warto by pomóc. Rozmowa z Hanną Świderską*	127
—	*Fundusz Stypendialny im. Prezydenta K. Sabbata*	138
—	*Wyróżnienie Michała Giedroycia*	139
	CI, CO ODESZLI	
Lidia Ciołkoszowa:	*Kazimierz Sabbat*	140
	KSIĄŻKI	
Benedykt Heydenkorn:	*Sylwetki niektórych imigrantów w Kanadzie*	147
Leszek Szaruga:	*Wydane w podziemiu*	150
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	156
	•	
—	*Wydarzenia miesiąca* i *Kroniki*	158
St. Dronicz, St. Gaweł, A. Koraszewski, Leonard, E. Olejniczak, A. Panufnik i O. Pisarenko, A. Pomian, J. Przystawa, K. Szaniawski, K. Zamorski, Nazwisko znane Redakcji:	*Listy do Redakcji*	165
Wydział Hist. Adwokatury:	*Apel*	175

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1989

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

E. i J. Czerwiakowscy, J. i H. Stachurscy, H. Szacka, W. Szendzielorz i L. Szaruga (RFN) — zamiast kwiatów na grób Andrzeja Chileckiego (nadesłał Leszek Szaruga) ..... F. 610,00

Dla uczczenia pamięci Haliny z Siedleckich Klasa-Olszanik, zmarłej 21 czerwca 1989 r. w Chicago — Przyjaciel rodziny Marian Kurowski — $100,00 ..... F. 640,00

Barbara i Wojciech Drozdek, Berlin Zachodni — zamiast kwiatów na grób Andrzeja Chileckiego — DM 50,00 ..... F. 170,00

F.H. (USA) — zamiast kwiatów na grób Walentyny Czaplickiej — $10.00 oraz z okazji 500-nego numeru *Kultury* — $10,00 — razem $20,00 — po raz 23-i ..... F. 128,00

Lech Krysiewicz, Montreal, po raz 3-ci — $c. 50,00 ..... F. 270,00

M.I., Michigan, po raz 5-y — $1.550,00 ..... F. 9.920,00

Anna Nitosławska, Meksyk, — $c. 100,00 ..... F. 540,00

Maria Paczowska, Luxemburg — zamiast kwiatów na grób Prezydenta RP, Kazimierza Sabbata ..... F. 200,00

Irena i Andrzej Pleszczyńscy, St. Barbara, CA (USA), po raz 17-y — $100,00 ..... F. 640,00

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg M.B (Kanada) zamiast kwiatów na grób Marii Panaro, zmarłej 14 czerwca 1989 r. przeżywszy 86 lat, która przez całe swoje życie pracowała dla Polonii Kanadyjskiej i dla imigrantów z całego świata — $100,00 oraz $100,00 nadesłanych w sierpniu br. — razem $200,00 ..... F. 1280,00

Ryszard Snarski, Montréal — pamięci „walczących do końca" Jarka Odyńskiego i Witka Ignatowicza, zastrzelonych na Workucie w 1953 roku — $25,00 ..... F. 160,00

Edward L. Salomoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 13-y — $20,00 ..... F. 128,00

T.M. (RFN) — zamiast kwiatów na grób drogiego Przyjaciela i szlachetnego człowieka śp. Andrzeja J. Chileckiego ..... F. 300,00

Marek Tokar, Boonton, NJ (USA), po raz 3-ci — $50,00 F. 320,00

Mieczysław Wiąckiewicz, Philadelphia, PA (USA) — $25,00 F. 160,00

Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 51-y — z racji 500-nego numeru *Kultury* z najlepszymi wyrazami dla całego zespołu ..... F. 500,00

Zapis testamentowy Marii Teresy Halstead z Santa Barbara, CA (USA) — $35.402,43 F. 225.778,99

●

Aleksander I. Bragiński, Jülich (RFN) — swoją część prezentów pieniężnych otrzymaną z okazji ponownego małżeństwa i przejścia na emeryturę w f-mie „Westinghouse":
— na Fundusz *Kultury* — $100,00 ..... F. 640,00
— na Fundusz S.O.S. dla dzieci wymagających leczenia na Zachodzie — $125,00 ..... F. 720,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 176)

Poznać, odczuć i zrozumieć

„Stał przed nim drewniany gramofon z pogiętą, obdrapaną tubą. Stary cały czas kręcił korbką i grał jedną płytę — miał tylko jedną płytę — prawie tak zdartą, że już bez śladów rowków. Z tuby dobywał się chrypiący szum, trzaski i bezładne strzępy latynoamerykańskiej piosenki: — 'Rzeko Manzanares pozwól mi przepłynąć'. Mimo, że pozdrowiłem go i stałem nad nim długo, stary nie zwracał na mnie uwagi. — Ojcze — odezwałem się w końcu — tu nie ma żadnej rzeki. Stary milczał. — Synu — odparł po chwili — ja jestem rzeką i nie mogę się przepłynąć".*

●

Pińsk, przy ujściu Piny do Prypeci, niemal w środku rozległych, poleskich błot i moczarów. Przed II wojną światową to kilkudziesięciotysięczne miasteczko leżało na najrzadziej zaludnionym obszarze Rzeczypospolitej, obszarze dosłownie odciętym od świata.

Na Zachodzie Europa, na wschodzie Azja a pomiędzy nimi ziemia do zajmowania — raz przez jednych, raz przez drugich. Ziemia, która zamiast stać się naturalnym pomostem przepływu dwóch kultur, była i jest pasem nieufności. Takich miejsc jest wiele, na każdym kontynencie a nawet w poszczególnych krajach. Ich mieszkańcy zmuszeni do opowiedzenia się po którejś stronie szukają identyfikacji w sobie, w swojej społeczności. Pińsk był kosmopolityczny — Polacy, Żydzi, Ormianie, Ukraińcy i Białorusini; wielość języków, religii i kultur. Ale gdy ich pytano kim są, odpowiadali: Poleszukami. Był to kraj biedy i biedaków, ludzi bez złudzeń i bez wygórowanych marzeń.

---

* Wszystkie cytaty w tekście pochodzą z różnych reportaży Kapuścińskiego (przyp. autora).

To wszystko cementowało ich społeczność, uczyło tolerancji i stoickiego podejścia do nacjonalistycznych szaleństw świata. Uczyło realizmu i rozsądnej nadziei.

●

Ryszard Kapuściński urodził się w Pińsku, w 1932 roku. Ma obsesję na punkcie obuwia, bo w dzieciństwie nie miał butów. Były symbolem prestiżu i zamożności, jego największym dziecięcym marzeniem. W wieku 7-miu lat po raz pierwszy zobaczył pociąg, do 30-go roku życia nie posiadał telefonu. Do dzisiaj ma trudności z technologią, woli komuś zanieść wiadomość niż zadzwonić. Posługuje się teleksem, maszyną do pisania, jeździ samochodem, przelatuje z kontynentu na kontynent, ale swoje pisarstwo nazywa literaturą chodzoną, „wychodzoną" w licznych miejscach Polski, Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej.

„A kim jestem? Reporterem. A po co jadę? Patrzeć, chodzić, pytać, słuchać, wąchać, myśleć, pisać". Wielu reporterów zachodnich zredukowałoby odpowiedź do — patrzeć, pytać, pisać, bo słuchanie, wąchanie czy myślenie jest im często zupełnie zbędne. Reporterzy ze Wschodu mogliby powiedzieć — patrzeć, pytać, samemu odpowiadać i pisać, ale nie myśleć, bo jeszcze mogłyby się zakraść jakieś wątpliwości lub ujawnić nieprawomyślne sądy. Pocztówkowa szkoła pisania, egzotyczno-pocztówkowa, jak u Budrewicza lub prawomyślno-plotkarska, jak u Górnickiego.

●

Reportaż w powojennej Polsce stał się jednym z najbardziej popularnych gatunków dziennikarskich, tym bardziej że był startem w literaturę. Sytuuje się niejako na pograniczu dziennikarstwa i literatury. Wańkowicz, Kąkolewski, Krall, Kuśmierek, Giełżyński i cała plejada pomniejszych reporterów wzięła się za opisywanie świata — polskiego i zewnętrznego. Generalna linia sporu między nimi dotyczyła podejścia do tematu — literatura faktu czy literatura fikcji. Lub inaczej, fikcji przemieszanej z faktami, czemu hołdował Wańkowicz.

Opisywanie świata jest tradycją tak starą jak literatura. Homer, Herodot, Marco Polo, Ibn Batuta to pierwsi reporterzy, którzy tworzyli w czasach pozbawionych gazet. Gazety narzuciły nowy typ reportażu (E. Kisch, H. Stanley), punktujący najważniejsze fakty, o silnym zabarwieniu społeczno-politycznym. Następnym krokiem były agencje prasowe wymagające maksymalnej zwięzłości i lapidarnego stylu. Ale w dobie masowej komunikacji, reportaż — za sprawą wielu autorów i ich mocodawców (agencje, departamenty rządowe, wydziały prasy, itp.) — stał się kolejnym zafałszowaniem świata. Poprzez dobór i

selekcję materiałów, sposób opracowywania a także poprzez język zredukowany do skrajnej niby obiektywności. Niebagatelne znaczenie mają trzy fakty:

— braki w wykształceniu historyczno-geograficznym, zarówno u piszących jak i czytających, które na Zachodzie doszły już niejednokrotnie do absurdu;
— nadmiar faktów z którymi nie potrafią sobie poradzić piszący i czytający;
— powierzchowność opisu spowodowana krótkimi wizytami w danym kraju a wzmocniona zestawem faktów przygotowanych na miejscu przez tzw. riserczerów (*research*).

Wystarczy przejrzeć reportaże z ostatnich 8 lat dotyczące np. Polski lub pozycje książkowe takich autorów jak Mitchener, który stał się maszyną do produkowania książek na każdy temat. Większość reporterów usiłuje, głównie z powodów pieniężnych, wydusić z siebie jak najwięcej, w jak najkrótszym czasie i w jak najbardziej sensacyjnej formie.

●

W Pińsku, zagarniętym w ramach układu Ribbentrop-Mołotow, Kapuściński uczył się czytać po rosyjsku, z jednej, wspólnej książki dla całej klasy — „Problemy leninizmu" Stalina. W Warszawie, w liceum, była znów jedna książka, tym razem po polsku. Chciał studiować filozofię, musiał wybrać historię. Filozofia tradycyjna była przecież całkowicie burżuazyjna a podręczników o marksizmie jeszcze nie było. W 1948 roku wstąpił do ZMP i był politycznie aktywny, w podobny sposób jak i większość ówczesnej młodzieży.

Pierwszy wiersz zamieścił w *Słowie Powszechnym* a później szereg innych w literackich magazynach. Wróżono mu karierę poety. W 1955 skończył uniwersytet i zaczął pracować w *Sztandarze młodych*, jako młody dziennikarz. Był to czas pękania stalinowskich struktur i narodził się reportaż społeczny, demaskatorski.

Napisał reportaż „To jest także prawda o Nowej Hucie"; pracował tam jako student, miał wielu przyjaciół i znał dobrze warunki pracy i życia. Tekst wywołał burzę, musiał się ukrywać a ochraniali go robotnicy. Tekst doprowadził do rozruchów w hucie, które trwały do momentu powołania specjalnej komisji badawczej. Przyznano mu rację, nie stracił pracy a jeszcze otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. *„Było to duże doświadczenie. Zrozumiałem, że pisanie wiąże się z ryzykiem, z ryzykiem wszystkiego. I wartością pisania nie jest często to co wydrukują lecz tego konsekwencje"*.

Po pewnym czasie poprosił o wysłanie go za granicę, bo chciał zobaczyć świat. Chciał poznać coś odmiennego, egzoty-

cznego a gdy spytano jaki kraj, odpowiedział: „Czechosłowację". Wyjechał do Indii jako pierwszy, zagraniczny korespondent *Sztandaru Młodych.*

●

Po Indiach był Pakistan i Afganistan, gdzie go uwięziono. Już na początku swej zagranicznej, reporterskiej wędrówki, wpakował się w tarapaty, które odtąd mu towarzyszą. Pojechał na Daleki Wschód — do Japonii i Chin. W 1958 roku wylądował w Afryce. I stało się z nim to, co niemal z każdym białym nie izolującym się a wdzierającym w kontynent. Afryka go zafascynowała, stała się symbolem jego młodości. Więcej — była ponownym odkryciem Pińska, jego społecznego klimatu, feudalnego, nieomal szczepowego. W całym tzw. Trzecim Świecie napotyka Pińsk — biedny, bez butów, bez dostępu do świata, zasklepiony w swojej nadziei i realizmie życiowym. Najpierwotniejszej dewizie ludzkiej demokracji — dajcie nam żyć po swojemu, swoją kulturą, językiem i religią, w swoich społecznościach, w swoich możliwościach wyboru, codziennie i na przyszłość. Bez wzniosłych haseł, bez nadętej propagandy, bez teorii wysnuwanych zza biurka, głoszonych z intelektualnych katedr czy narzucanych przez polityków.

Od momentu wyjazdu do Afryki życie Kapuścińskiego nabiera stałego rytmu. Długie wyjazdy przeplatane są krótkimi pobytami w kraju, pracą w Polsce nad reportażami, książkami poszerzającymi uprzednie korespondencje. W 1961 jest w Kongo, gdzie toczy się wojna domowa. Otrzymuje wyrok śmierci i cudem jej unika. Pozostawił trwały ślad w jego psychice, jak sam mówi, stał się inny, poczuł że coś jest w nim wypalone.

„Opisałem walkę, rozpad, klęskę. Wtedy wezwał mnie jeden towarzysz z MSZ. — Co wyście wypisali — oburzył się. — Rewolucje nazywacie anarchią! Uważacie że Gizenga odejdzie a Mobutu wygra! To szkodliwe teorie! — Jedźcie tam — odparłem zmęczonym głosem (...) Trudno — powiedział na zakończenie rozmowy ten towarzysz — ale nie możecie jeździć za granicę jako dziennikarz, bo nie rozumiecie procesów marksistowsko-leninowskich zachodzących w tamtym świecie. — Ok — zgodziłem się — tu też mam o czym pisać".

Pracował w *Polityce* i jeździł po Polsce. Wydał pierwszą książkę — zbiór reportaży „Busz po polsku", która stała się wydarzeniem. W 1962 roku wraca do Afryki by utworzyć pierwszą placówkę PAP-u.

Praca korespondenta była pracą niewolniczą, twierdzi że w niej utracił młodość. Ciągłe rozjazdy, wojny, piekielny klimat, choroby, szukanie kontaktów. Podjął się jej na ochotnika, czując

że umożliwi mu poznanie wielu krajów i ludzi, że zobaczy więcej wydarzeń.

„Miałem świadomość ograniczeń korespondenta PAP, bo Polska jest biednym krajem. AFP czy Reuter mają korespondenta w każdym kraju a ja byłem na cały kontynent. Osobiście byłem świadkiem 27 rewolucji, byłem odpowiedzialny za 50 krajów i musiałem od razu jechać tam, gdzie się coś działo". Z powodu ograniczeń finansowych ofiarowywał innym korespondentom swoje dojścia i kontakty, w zamian za zabranie go samochodem lub awionetką tam gdzie wybuchała wojna lub rewolucja.

W tamtych latach w Afryce działy się wyjątkowe rzeczy — wyzwolenie i powstawanie nowych państw. W porównaniu z Europą Afryka miała większy dynamizm, przebojowość, własną osobowość. Lecz po uzyskaniu niepodległości następował nowy kryzys — kryzys tożsamości. W spadku po kolonialistach Afryka otrzymała bezsensowne granice, rozdzielające nieraz jedno plemię; inne plemiona były skłócone, napuszczone na siebie według zasady *divide et impera*, tak świetnie opanowanej przez Anglików. Dodajmy religijny fanatyzm, analfabetyzm i zacofanie, prymitywną gospodarkę i chroniczny głód, długi i bezrobocie, alienację warstw wykształconych — wykształconych głównie za granicą — niesłychaną korupcję i demagogię. I nowy typ kolonializmu — ekonomiczno-militarny, zarówno ze strony Zachodu jak i Wschodu. Kolonialna mentalność, o której tak powiedział Kapuścińskiemu jeden z Ghańczyków:

„Przez sto lat uczyli nas, że biały to coś ponad, to super, to ekstra. Mieli swoje kluby, swoje baseny, swoje dzielnice. Swoje dziwki, auta, swój bulgocący język. Wiedzieliśmy, że na świecie jest tylko Anglia, że Bóg jest angielski, a po całej ziemi poruszają się tylko Anglicy. Wiedzieliśmy ledwie to, co oni chcieli żebyśmy wiedzieli. Teraz trudno się oduczyć".

Polityk afrykański, który chce przeprowadzić reformy, natrafia na te wszystkie przeszkody i po okresie miotania się ustanawia dyktaturę. Ta rodzi z kolei opozycję, opozycja dokonuje zamachu i cykl powtarza się od nowa. Stąd skupienie większej uwagi na polityce zagranicznej i wyrabianie sobie dobrej opinii na zewnątrz. Organizacja nieustannych festiwali, zjazdów i konferencji, które zżerają budżet państwa, zwiększają korupcję i bałagan i prowadzą do wybuchu. Inni usiłują olśnić królewskim przepychem; były prezydent Dahomeju, Hubert Maga, wybudował pałac ze szczerozłotymi wrotami, ozdobiony złotem, marmurami i drogocennymi kamieniami. Jego budowa pochłonęła wszystkie fundusze przeznaczone na trzyletni rozwój kraju. Nazwiska Bokassy czy Amina są kolejnymi przykładami zwyrodnienia władzy.

W państwach afrykańskich egzystują dwa światy, pomiędzy którymi nie istnieje żadna więź — świat polityków, zmienianych

i obalanych, i świat szarej masy, głównie chłopstwa, wciąganego w polityczne rozgrywki i dziesiątkowanego przez głód i wojny. Mógł to zaobserwować Kapuściński w Nigerii, w 1966 roku, gdzie omal nie postradał życia, unikając spalenia żywcem. W Lagos zapadł na kolejną tropikalną chorobę i spędził dwa miesiące w szpitalu. Doświadczenia reportera w drugiej połowie XX wieku nie różnią się zbytnio od doświadczeń XIX-wiecznych podróżników afrykańskich. Ta sama beznadzieja tropikalnej materii. Słabości i agresje, manie i wstręty, bolesne uświadomienie sobie bariery rasowej; że jest się białym, często znienawidzonym białym. Ale nie może być korespondentem ten kto nie ma odporności psychicznej i fizycznej wytrzymałości. Nie może być nim przede wszystkim ten „kto gardzi ludźmi o których pisze".

●

Po powrocie do kraju chcą Kapuścińskiego usadzić w redakcji za biurkiem, meblem przezeń znienawidzonym. Biurko jest w Polsce meblem mitycznym dla dwóch typów ludzi, dla biurokratów i literatów, literatów a nie pisarzy. Pierwszym daje poczucie władzy, drugim wygodne alibi w postaci genialnych utworów pisanych do szuflady.

Ponieważ wszelkie próby usadzenia Kapuścińskiego spełzły na niczym, wysłano go do ZSSR. Plonem wyprawy była książka „Kirgiz schodzi z konia", książka o azjatyckich republikach. Napotykamy w niej na takie przedstawienie narodów i ludzi uwikłanych w historię, które zaowocuje w pełni, w wydanym 10 lat później „Cesarzu". Styl staje się miejscami ironiczno-gorzki, tworzy pewien dystans do opisywanych szaleństw świata, a zarazem z pasją je penetruje.

Pewna Azerbejdżanka pragnie mu pokazać jakim wielkim niegdyś krajem był Azerbejdżan.

„Gdziekolwiek nie pojechać, w każdym kraju ludzie będą się chlubić tym, gdzie to ich przodkowie kiedyś się zapędzali. Ta świadomość widocznie jest ludziom potrzebna, może nawet coraz bardziej potrzebna. Mówię jej, że tu musi działać jakieś prawo rekompensaty. Dawniej było na świecie luźno i jeśli jakiś naród poczuł nagle, że musi się poszerzyć to w tym poszerzeniu mógł zajść całkiem daleko. (...)".

Dzisiaj poszerzenie jest trudne i ryzykowne, z reguły poszerzanie kończy się zwężeniem i dlatego narody muszą kompensować instynkt szerokości poczuciem głębokości, to znaczy sięgać w głąb dziejów żeby dowodzić swojej siły i znaczenia. Jest to sytuacja w której znalazły się wszystkie małe narody którym drogi jest pokój. Na szczęście, jeśli spojrzeć na dzieje ludzkości okaże się że każdy naród, w tej czy innej epoce, miał swój okres rozpierania i poszerzania, przynajmniej jakieś jedno patriotyczne wyładowanie, co pozwala dziś na zachowanie pewnej — co prawda względnej — równowagi psychicznej rodzaju ludzkiego. Albowiem poczucie głębokości pozwala narodom zachować godność bez uruchamiania instynktu szerokości".

●

Jesienią 1967 wyjeżdża na 5 lat do Ameryki Łacińskiej. Korespondencje nadsyłane do Polski, szczególnie z okresu tzw. wojny futbolowej pomiędzy Salwadorem a Hondurasem, są żywo komentowane. W 1969 roku wychodzi książka podsumowująca afrykańskie doświadczenia „Gdyby cała Afryka", ale paradoksalnie czytelnicy o wiele bardziej entuzjazmują się reportażami a potem książkami o Ameryce Łacińskiej („Dlaczego zginął Carl von Spreti" — 1970 i „Chrystus z karabinem na ramieniu" — 1975). Nałożyły się one częściowo na modę a częściowo na niekłamane zainteresowanie literaturą latynoamerykańską, głównie wśród młodszego pokolenia.

Ameryka Łacińska była dla Kapuścińskiego kolejnym odkryciem, nową pasją. Tym bardziej, że należy do „klubu wtajemniczonych", czytelników książki Malcolma Lowry'ego „Pod wulkanem". W Meksyku przewędrował podobno śladami jej bohaterów — Konsula i Hugha. Gdy trafił od Boliwii, w poszukiwaniu dziejów ostatnich dni Che Guevary, znów cudem uniknął śmierci. Uciekł pijanemu żołnierzowi boliwijskiej armii, który miał rozkaz rozstrzelać go pod ścianą wiejskiej chaty.

W 1973, jako korespondent warszawskiej *Kultury*, jedzie na Bliski Wschód, potem na Cypr i do Angoli, gdzie ponownie ociera się o śmierć. Powraca do Ameryki Łacińskiej a w końcu lat 70-tych jest w Afryce. Składa m.in. wizytę Aminowi, jest w Etiopii i Ogadenie, podczas wojny somalijsko-etiopskiej. Tam odnajduje to, co się stało typowe w latach 70-tych dla konfliktów w wielu krajach tzw. Trzeciego Świata. Obie strony uzbrojone są po zęby w rosyjską broń. Nigdy o tym nie napisał i chyba wtedy zdecydował się na penetracje mechanizmu władzy. Po powrocie do kraju, z wcześniejszych reportaży o cesarzu Etiopii, powstaje książka „Cesarz".

●

„Cesarz" stał się sławny w Polsce i w wielu krajach świata. Został przetłumaczony dotychczas na 23 języki i zainscenizowany w parunastu teatrach na świecie. „Cesarz" jest przypowieścią o władzy, o ostatnim, wielkim bastionie feudalnym, który próbował odgrywać „nowoczesną i postępową" rolę, tylko na zewnątrz, przysłaniając tym niejako wewnętrzną zgniliznę — głód, nędzę, społeczne konflikty, korupcję i propagandę sukcesu.

Z dwóch ostatnich przyczyn czytelnik polski odczytał to jako metaforę gierkowskich rządów, jako aluzje do stanu Polski w końcu lat 70-tych. Może z tego powodu, w roku 1979 i 1980, cenzura stwarzała przeszkody inscenizacji teatralnej „Cesarza".

„Cesarz" jest początkiem tryptyku o władzy, o jej mechanizmach, a na dalszym planie o przyczynach rodzenia się rewolucji. *„Jestem o wiele bardziej zainteresowany mechanizmami historii"* — mówi Kapuściński w wywiadzie dla B. Budforda z angielskiego czasopisma *Granta* — *tym, dlaczego rewolucja zawsze zaczyna się w danym punkcie. W Etiopii rewolucja zaczęła się ponieważ zwiększono cenę ropy. Lecz cena ropy wzrastała przez lata. Dlaczego więc nagle rewolucja?"*.

Następną książką był „Szachinszach", o cesarzu Iranu, przetłumaczony już na parę języków. Obecnie Kapuściński zbiera ostatnie materiały do książki o Idi Aminie. Tryptyk zaczął się w Afryce i tam się kończy. Afryka jest klamrą spinającą okres młodzieńczy z okresem dojrzałym Kapuścińskiego. Pomiędzy nimi 34 pracowite lata poświęcone opisywaniu świata. Ale *„opisanie świata było możliwe tylko wówczas, gdy ludzie żyli na globie tak małym jak w czasach Marco Polo. Dzisiaj świat jest wielki i nieskończony i ciągle ogromniejący, i zaprawdę prędzej przejdzie wielbłąd przez igielne ucho niż będzie można to wszystko, co składa się na egzystencję nas, kilku miliardów ludzi, poznać, odczuć i zrozumieć"*.

●

Nie wiem kto i kiedy użył po raz pierwszy sformułowania Trzeci Świat. Jeśli jest Trzeci, musi istnieć Drugi i Pierwszy. Ale podstawia się pod nie inne nazwy: kraje rozwinięte, kapitalistyczne, zachodnie, lub komunistyczne, przodujące, postępowe... Liberalny odłam opinii publicznej na Zachodzie używa zamiast nazwy Trzeci Świat określenia „kraje rozwijające się". Brzmi to o wiele lepiej. Już w samym pojęciu rozwijania zawarta jest jakaś nadzieja na przyszłość:

„Wszyscy chcą się rozwijać!. Każdy myśli, jak tu rozwinąć się, i to nie tak zwyczajnie, zgodnie z prawem bożym, że człowiek rodzi się, rozwija i umiera, ale rozwinąć się niebywale, dynamicznie i potężnie, rozwinąć się tak, żeby wszyscy podziwiali, zazdrościli, wymieniali, głowami kiwali".

Niestety, najczęściej jest inaczej a jeśli już kogoś na siłę rozwiną, dopiero po latach ujawnia się cena jaką zapłacono. Zniszczenie tradycyjnych struktur, zanieczyszczenie i rabunkowa gospodarka, przeludnienie miast, zwiększony obszar nędzy i skali społecznych kontrastów.

„Pieniądz w kraju bogatym jest papierem wartościowym, za który na rynku kupuje pan towary. (...) A w kraju biednym? W takim kraju pieniądz to wspaniały, gęsty, odurzający, osypany wiecznym kwiatem żywopłot, którym odgradza się pan od wszystkiego. Przez ten żywopłot pan nie widzi pełzającej biedy, nie czuje smrodu nędzy, nie słyszy głosów dochodzących z ludzkiego dna. (...) Pieniądz przekształci panu własny kraj w ziemię egzotyczną. Wszystko zacznie pana dziwić — to, jak ludzie żyją, to, o co się martwią, i pan będzie mówić: nie, to niemożliwe. Pan zacznie coraz częściej powtarzać: nie, to niemożliwe. Bo pan będzie już należał do innej cywilizacji, a pan przecież zna prawo kultury — że dwie cywilizacje nie potrafią się dobrze poznać i zrozumieć".

W Polsce mówi się z przekąsem, że jesteśmy już w Czwartym Świecie lub że należymy do krajów zwijających się. Rezultat jest podobny i systemy także — tam generał czarny, żółty czy brązowy, plus armia urzędników, policja i wojsko, tu generał biały, plus...

Polacy wstydzą się, Polacy protestują, gdy zaliczać ich do państw Trzeciego Świata lub powiedzmy neokolonialnych. Powołują się na dawną świetność (poszerzanie?) i na kulturowe tradycje. Tymczasem zarówno Peru jak Kambodża czy Benin mogą się z powodzeniem powoływać na to samo. Polonocentryzm doskonale zgadza się z europocentryzmem, europocentryzm ciąży ku trzem wartościom, które od kilku wieków pragną kształtować cały świat na obraz i podobieństwo swoje. Są to: wartości śródziemnomorskie (Grecja, Rzym), chrześcijańskie (katolicyzm, protestantyzm) oraz anglosaskie (imperium angielskie i współczesne USA). Przejawia się to zarówno w sferze ekonomicznej, jak politycznej, kulturowej i językowej, gdyż angielski stał się tym czym łacina w okresie imperium rzymskiego i w późniejszych wiekach.

Współczesny świat z upodobaniem układa różne listy najlepszych książek i filmów, postaci i zdarzeń, przekształca nieomal wszystko w sportowe wyniki. Konkurencja bazująca na niby osiągnięciach i niby ambicjach.

Pierwszy Świat i Drugi to świat Białych, mimo że oddzielony skrajnie odmiennymi systemami. Trzeci Świat to świat Kolorowych, który był własnością świata Białych. W 1884 roku Bismarck zwołuje konferencję w Berlinie, na której rozdzielono Afrykę, często wzdłuż linijki, pomiędzy europejskie państwa. Historia ustanawiana przez świat Białych ma taką skalę wartości, że Dżyngis Chan jest dzikusem i mordercą a Francisco Pizzaro dzielnym wojakiem, który troszkę się zapędził. Podręczniki historii w Ameryce Płn. nie zaczynają się bynajmniej od historii Indian i Eskimosów, lecz z reguły od wylądowania Anglików, Holendrów czy Francuzów.

Tragiczne doświadczenia Białych, na różnych szczeblach rozwoju, są z perspektywy czasu harmonijnym dążeniem ku postępowi, ale odmawia się takich doświadczeń innym. Dwie

wielkie wojny światowe Białych mamy już za sobą, lecz nie zauważa się, że odbyła się (trwa?) trzecia wojna światowa. Pomiędzy rokiem 1945 a 1983 było 140 wojen w Trzecim Świecie, w których poległo 25 mln ludzi a miliony następnych stały się uchodźcami. Dodajmy 300 mln żyjących w nędzy, 500 mln niedożywionych i 1 300 mln mających taki dochód aby tylko przeżyć (za M. Aquirree z *El Pais*). Obecnie tzw. Trzeci Świat jest terenem udowadniania, przez Wschód i Zachód, swej wyższości i jedynie słusznych racji przybranych w zgrabne, humanistyczne frazesy.

W sporcie pierwsze trzy miejsca są nie do utrzymania przez te same osoby w długim okresie czasu. W naszym świecie zaszeregowanie do kolejnych miejsc trwa już dwa wieki. Stwarza to sytuację masowej schizofrenii, gdzie łzawy sentymentalizm miesza się z ekstremalną furią. Stanowi ona doskonałą pożywkę dla terroryzmu, satrapów, religijnego fanatyzmu i szeregu innych plag współczesności. A także tego, co Kapuściński cytuje z książki R. Benedict „Wzorce kultury": „Współczesna rzeczywistość zmusiła wiele cywilizacji do nawiązania ścisłego kontaktu i w chwili obecnej dominującą reakcją na tę sytuację stały się nacjonalizm i snobizm rasowy".

●

„Wracam z Afryki do kraju (...) Takiś opalony, byłeś w Zakopanem? Czy nasza wyobraźnia nie sięgnie nigdy poza Płock, Siematycze, Rzeszów i Zakopane?".

Ta wyobraźnia jest tak doskonale przypasowana do polskiego mundurka gotowych wzorów, że nawet emigranci tkwią w nim po kołnierz. Obojętnie z której fali i niezależnie od wykształcenia. Ilu z nich odwiedzając Polskę, po 5, 8, 15 latach pobytu w innym kraju, potrafi o nim opowiedzieć w miarę obiektywnie? Ileż kłamliwych listów wędruje co miesiąc do Polski, listów które tylko rozbudzają apetyty i tęsknotę za rajskim, zachodnim życiem. A ileż ksenofobii, poczucia wyższości i misji dziejowej — niech świat patrzy jak samotnie rozkładamy czerwone imperium.

W „Warszawskim dzienniku" Kapuściński analizuje polski los, podwójne piętno naszej historii w ostatnich 150 latach. Byli i są zawsze ONI — zaborcy obcego i rodzimego chowu — i MY, przeciwstawiający się IM i walczący, lecz jakże często usprawiedliwiający swe niemożności obecnością ICH. Polak chowa się za tarczami-symbolami — minioną świetnością, tolerancją, bo jej tak bardzo teraz brak, wielkimi nazwiskami z dawniej i dzisiaj. Zza tych tarcz, od czasu do czasu, wysuwa kopię i dźga nią naiwny Zachód, ciemnych Murzynów lub niedostatecznie odważne narody z demoludów.

„Przeszłość jest niejasna; stale przywoływana i odsuwana, chwalona lub potępiana. (...) Teraźniejszość jest także pozbawiona pewności i ducha zachęty: czujemy się bardziej jej gośćmi lub nawet ofiarami, niż jej twórcami czy władcami. A przyszłość ukazuje się nam bardziej jako zasadzka i tajemnica... (...) Wszystko konstruowane jest bez przekonania; wszystko robione jest pozornie. Tylko irracjonalność wytrzymuje próbę czasu — mity, wiary, iluzje — tylko to jest trwale zakorzenione".

Współczesny Polak jest usytuowany pomiędzy dwiema siłami. Siłą aparatu władzy i siłą własnych dążeń ku demokracji. Po stronie władzy jest „broń, idiotyzm i strach; nie ma gorszej kombinacji i już niczego gorszego nie można się spodziewać". A po drugiej stronie „brakuje nam liberalnych, demokratycznych tradycji bogatych we wszystkie jej stopnie i odcienie. Mamy w zamian tradycję walki: skrajne sytuacje, finalne gesty".

Dlatego tak nie lubiany jest w Polsce człowiek kompromisu, dlatego ostrą kreską oddziela się czerń od bieli, nie uznaje się pomyłek i wahań. Obraz świata ma ustalony kontrast a rzeczywistość naginana jest do gotowych teorii. Dlatego stosunek do Kapuścińskiego był i jest ambiwalentny. Zarzucano mu brak zainteresowania losami kraju, zagraniczne wyjazdy uważano za rodzaj emigracji wewnętrznej. Kapuściński powiedział Budfordowi: „nie potrzebuję emigrować, bo już tego dokonałem. Jestem emigrantem z Pińska, z innego świata".

Wiele jego korespondencji i książek oceniano jako aluzje do polskiej rzeczywistości. W sierpniu 80 był przy podpisaniu porozumień w stoczni gdańskiej. Opublikował potem, w warszawskiej *Kulturze*, reportaż o strajkach, który uznano za jeden z najlepszych jaki pojawił się w prasie tamtego okresu. Po grudniu 1981 zwrócił legitymację partyjną. Jednak sposób w jaki opisuje rewolucje, jego nieskrywane sympatie do wielu z nich, jego — o ile można tak je nazwać — socjalistyczne poglądy, spotykały się z chłodnym przyjęciem.

Miano mu za złe, że nie opisuje dalszych losów rewolucji, jej zwyrodnienia a przede wszystkim sposobu przechwytywania poszczególnych krajów w orbitę wpływów sowieckich. Jest to zarzut typowo polski, gdyż wszelkie zło jest automatycznie utożsamiane z komunizmem i tylko z nim. Dla Polaków, przez wiele lat, cesarz Hajle Sejlasje był sympatycznym staruszkiem a Rezha Pahlavi oświeconym władcą. Dla Polaków, po wielu latach ogłuszania komunistyczną propagandą i własnym, jedynie prawidłowym widzeniu świata, każdy odruch protestu w Afryce, Azji czy Ameryce Łacińskiej, pachniał komunistycznym spiskiem lub co najmniej komunistyczną manipulacją. Występuje tu zadziwiająca zbieżność poglądów z np. kolejnymi administracjami amerykańskimi, które równie często wszędzie wietrzyły komunistyczny spisek a nie naturalny odruch społeczeństwa

żądającego demokracji. Od lekcji kubańsko-wietnamskiej do, powiedzmy, lekcji argentyńsko-filipińskiej musiało upłynąć niemal 15 lat.

Kapuścińskiego interesuje człowiek uwikłany w historię. Najpierw były portrety zwykłych ludzi rozpiętych między buntem a rozpaczą, teraz ludzie władzy. Tej, która już przeminęła i tej, która po rewolucjach czy przewrotach, dopiero się rodzi. Co będzie dalej z takimi ludźmi jak Mengistu Miriam w Etiopii czy Ortega w Nikaragui, stanie się doświadczeniem dla innego Kapuścińskiego. Może będzie to reporter angielski, może meksykański, może ... polski. Ktoś, kto dokładnie obnaży i zgłębi mechanizmy władzy i nieustanne starcie demokracji z przemocą. Ktoś, kto dobrze pojmie słowa Kapuścińskiego, że *„nasze zbawienie jest walką o osiągnięcie tego o czym wiemy, iż nigdy nie będzie osiągnięte"*.

●

Podróż Kapuścińskiego przez literaturę zaczęła się od poezji. I już nigdy jej nie opuścił, bo zarówno w reportażach jak w książkach, a nawet w suchych, agencyjnych korespondencjach, można znaleźć jej ślady. Trudno ją oddzielić od prozy, tak jak nie da się podzielić Kapuścińskiego na dziennikarza i pisarza. Przede wszystkim nie istnieje w nim, tak wyraźny u innych, rozziew między pisaniem a życiem.

Praca korespondenta pozostawiała mu wciąż uczucie niedosytu. Nie oddawała całej bujności życia, w gąszczu faktów gubili się ludzie, w lapidarności znikała giętkość języka i unikalność stylu. Zanikała poezja. Każdorazowy powrót do Polski był przeznaczony na rozbudowywanie uprzednich opowiadań. Dystans czasowy wyostrzał pewne fakty, ukazywał inne oblicza ludzi, oddawał inne smaki i zapachy.

Do Kapuścińskiego odnoszą się słowa R. Conquesta: „Poeci w momentach kiedy nie piszą wierszy, są bardzo wnikliwymi badaczami rzeczywistości, zarówno przeszłości jak i dnia dzisiejszego. Poeta ma wyjątkowo silną potrzebę zrozumienia świata". W wywiadzie, Budford pyta Kapuścińskiego czym się różni od powieściopisarza. Odpowiada — przede wszystkim o b e c n o ś c i ą: *„Byłem świadkiem tworzącej się histori, prawdziwej historii, współczesnej, naszej. Lecz byłem zaskoczony — nigdy nie widziałem tam pisarza. Gdzie oni byli? Tak ważne wydarzenia i nigdzie ani jednego pisarza? Kiedy powróciłem do Europy odnalazłem ich. Siedzieli w domu pisząc lokalne opowiadania... (...) Czytałem powieści, które otrzymały doroczną francuską nagrodę literacką. Niesłychane. Żadna z tych książek nie miała nic wspólnego z naszym światem, z naszą realnością — nic"*.

Pisarstwo Kapuścińskiego mieści się w podobnym nurcie jak

tzw. Nowe Dziennikarstwo, które zaczęło się w latach 70-tych w USA. Postanowiło ono penetrować rzeczywistość amerykańską nie zza biurka — w domu czy redakcji. Wybuchł potem spór krytyków, czy zaliczyć tę twórczość do literatury czy do dziennikarstwa. Podobnie spierano się w Polsce, przy czym wspominaną literaturę faktu traktowano jako nowy gatunek reportażu. Powstanie jego, w Polsce i na świecie, jest odpowiedzią na generalne niedomogi zarówno literatury jak i dziennikarstwa. Na ich fikcyjno-wydumaną formę, awangardowe zabawy w warstwie językowej oraz na wielki ładunek taniej sensacji i zwykłego szalbierstwa. Stanowisko krytyków jest pełne nieporozumień; skłonności szufladkowania i upychania w poszczególnych grupach gatunkowych, z których, pisarze z pogranicza, wymykają się im bezustannie.

Inne zarzuty stawiane Kapuścińskiemu, jak sam mówi, są czasami zabawne: *„Kapuściński nie wymienia dat, nigdy nie podaje nam nazwiska ministra, zapomina o porządku zdarzeń. To wszystko jest dokładnie tym czego unikam. Jeśli są tego rodzaju pytania można pójść do biblioteki i znaleźć wszystko co się chce..."*. Kapuściński jest dla polskiego czytelnika źródłem informacji o współczesnym świecie, o jego „trzeciej części"; informacji wzbogaconej o osobistą refleksję, o historyczne uogólnienia w których odnajdujemy ślady odwiecznego zmagania się ludzi z losem. Zarazem jest to bardzo osobisty przekaz. Autor jest stale obecny w opisywanych wydarzeniach i nie unika przekazywania swych przeżyć, stanów ducha, włącznie z fizycznym wysiłkiem i cierpieniem. Dlatego słusznie nazywa swoje pisarstwo literaturą „chodzoną", a to co opisuje, określa łacińskim powiedzeniem *silva rerum* — las rzeczy. *„To jest mój cel, las rzeczy. Widzę go, żyję i podróżuję w nim. By uchwycić świat, musisz spenetrować go tak dokładnie jak tylko możliwe"*.

Kapuściński uważa, że pracuje na nowym polu literatury. Można się z nim spierać, przede wszystkim gdy umieści się jego twórczość na tej ścieżce, którą wyznaczyli Herodot czy Marco Polo. Tacy ludzie, którzy miłując historię dopisywali ją na bieżąco sobą. I nie jest akurat ważne, że dziś wiemy ile wiadomości podanych np. przez Marco Polo, było domniemaniami czy zwykłymi legendami.

„Dlaczego jestem pisarzem? Dlaczego tyle razy ryzykowałem życiem będąc tak blisko śmierci? Czy to jest opis niesamowitości? By zarobić pieniądze? To nie jest moje powołanie, to jest misja. I nie chciałbym pakować się w te niebezpieczeństwa, jeśli nie czułbym, że tam było coś niesłychanie ważnego — o historii, o nas samych — co ja czułem, przez co zmuszony byłem przejść".

●

Ty piszesz o człowieku w obozie
ja o obozie w człowieku
u ciebie druty kolczaste są na zewnątrz
u mnie kłębią się wewnątrz każdego z nas

Myślisz że ta różnica jest tak wielka?
To są dwie strony tej samej męki

(Druty, z tomiku R. Kapuścińskiego „Notes", W-wa, Czytelnik, 1986)

Krzysztof KASPRZYK

Polski rozkład jazdy

Aleksander Zinowiew, w pewnym wywiadzie prasowym w październiku 1978 oświadczył: „Co do mnie, wybrałem fakty, wybrałem opis rzeczywistości i sądzę że staranne, szczegółowe opisanie kolejki stojącej przed sklepem jest znacznie bardziej interesujące, niż dyskusja ideologiczna. Zawsze się można spierać z tekstami, ale spieranie się z faktami na nic się nie przyda". Doskonała uwaga tego sceptyka i matematyka odnosiła się do znieruchomiałego społeczeństwa sowieckiego tamtych czasów. Teraz to społeczeństwo, w pewnej swojej części, znalazło się w fazie rozmaitych odruchów. Co do Polski, to żaden opis kolejki już niczego poza kolejką nie obrazuje. Uwaga Zinowiewa nie pasuje do polskiego rebusu...

Monteskiusz zakładał, że między sprawującymi rządy a rządzonymi konieczne jest minimum adaptacji. DUCH PRAW określa całość urządzeń, sposób życia i reagowania, zwyczajów, które uprawomocniają i upowszechniają akceptację politycznego reżimu. *„Plusieurs choses gouvernent les hommes, le climat, les religions, les lois, les maximes du gouvernement, les exemples des choses passées, les moeurs, les manières, d'où il se forme un esprit général qui en résulte"*. Dobrze jest powoływać się na klasyków. To uprzytomnia rozmaite dystanse, oddalenia od kanonu. Bo jakiego to rodzaju harmonijna całość, jaki nastrój ogólny miałyby teraz szanse u nas się uformować? Wedle wszelkich dostępnych rozumowi przesłanek, zwłaszcza biorąc pod uwagę owe „przykłady rzeczy minionych", ale także i charakter rzekomego partnera, nie widać na horyzoncie żadnych możliwości na nową harmonijną kompozycję polityczną. A jednak — cały kraj jest w ruchu, stał się jednym wielkim, zagadkowym potencjałem. Wygląda więc na to, że nikt tu nie ogląda się na żadne kanony, ani na żadne poprzednie doświadczenie. Ten ruch jest w aracjonalnej fazie impetu. Grozi rozbiciem sobie głowy.

Jaki jest ten mur naprzeciwko? W Niemczech skomunizowanych, tych za murem, w roku 1953, wydano oficjalny komunikat głoszący, że „naród utracił zaufanie rządu z własnej winy" — po czym dobry znawca tych rzeczy, Bertold Brecht, zaproponował z powagą, że wobec tego trzeba „mianować" inny naród. To jest też w pewnym sensie postawa klasyczna, ale już od dawna nie dla nas, choć nie wiem jakie są stosunki w NRD. Co do naszych stosunków podzielam przekonanie wielu osób, że tego ustroju nie da się zreperować; nie, mimo wszystkich spekulacji jednak tego się nie da zreperować, za to można i trzeba mianować inną władzę. Jak to się robi od bardzo dawna prawie na całym świecie.

Nomenklatura, ze wszystkimi swoimi przybudówkami, musi zejść z miejsca i z oczu. Likwidacja jednej formy państwowej nigdy dla nikogo (prócz zlikwidowanych) nie była nieszczęściem, wręcz odwrotnie, to świadczyło po prostu, że czas już na inną formę. Żadna z następnych form państwowych w Polsce nie może być bardziej szkodliwa od komunistycznej.

Ale ponieważ nie istnieje zło, które w jakiejś mierze nie byłoby równocześnie naszym własnym złem, do którego nie przyłożylibyśmy ręki — choćby mechanicznie i nieopatrznie — więc trzeba się również zdecydować na zoperowanie tego zła w nas samych. „*La corruption du siècle se fait par la contribution particulière de chacun de nous*". Bo już Montaigne o tym wiedział, nie czekając na korupcję środowiska totalitarnego. Ale operacja będzie nader trudna, bo jej pole niełatwo odsłonić i skonstatować. Chodzi o nawyki wkorzenione w ciągu bez mała pół wieku. Uświadomienie sobie, o jakie sprawy tu może chodzić już samo w sobie jest problemem, to narośl poprzerastała obcymi organizmami.

Ogólnie biorąc zaklinował się w społeczeństwie fałszywy nałóg oglądania się we wszystkim na państwo. W istocie odruch paradoksalny, bo to państwo nigdy nam nie matkowało, wręcz przeciwnie, i nigdy nie świeciło przykładem czy mądrością. Zdołali nas jednak wyćwiczyć w tej odruchowej, pawłowowskiej zależności od swego budżetu i od wszystkich ich źle funkcjonujących urządzeń. Teraz trzeba będzie rozstać się z pozornymi dobrodziejstwami, które podkopały byt społeczeństwa. Zmiany, jeżeli ma do nich dojść, muszą być właśnie organiczne — o cały zarażony organizm chodzi. Jest to zresztą przykład bardzo ogólnikowej próby szacunku, ale jest w tym coś niezmiernie immanentnego: niejasność, niemożność wypowiedzenia do końca stanu rzeczy w Polsce będzie charakterystyczną cechą wszystkich chyba ocen i analiz. W każdym razie ilustruje to nasze położenie. Tylko jakie jest stanowisko tego wątpliwego partnera? I czy to dopiero nie jest nierozstrzygalna część problemu?

Podzielam ograniczone nadzieje wbrew temu co myślę, więc subiektywnie jest to pozycja strasznie niewygodna. Dziś wszystkie polskie teksty publicystyczne starzeją się w przyśpieszonym tempie. I ten mój tekst nie dysponuje żadnym eliksirem wiecznej aktualności. Chwila jest ostra, w środku róży wiatrów. To co się dzieje jest prowokacją dla inteligencji. Sytuacja ma wszystkie cechy idealnego niepodobieństwa. Współorganizując obecne układy polityczne nomenklatura stwarza dobrowolnie warunki samolikwidacji. Trzeba raz jeszcze i bez końca sprawdzać wszystkie dane tej gry.

Intrygujące samo w sobie jest już to rozluźnienie w zakresie wolności wypowiedzi, którego wkrótce w ogóle zahamować nie będzie można. Nawet wiadome napisy na ścianach są tolerowane z niepojętą dobrodusznością. Nowy Świat w Warszawie, który gdzieś z początkiem roku został elegancko odmalowany (tylko od frontu) już w parę tygodni po Okrągłym Stole pokrył się ogromnymi i złośliwymi zawijasami szerokim flamastrem. Solidarność jak staw wlewa się do wszystkich zamkniętych jeszcze wczoraj komór. Sejm i senat. Ale co jest absolutnie zadziwiające, to kontekst tych innowacji, mianowicie sąsiadowanie ich z instytucjami i obyczajami pochodzenia stalinowskiego. Wiadomo z fizyki, że sąsiedztwa nie pozostają bez wzajemnego wpływu, który odkształca, deformuje. Zrastają się nowe jakości. Czy w tym wypadku nie są to jakości w istocie niemożliwe, które nie wytrzymają swojej nienaturalnej struktury?

Nie weszliśmy w spółkę z żadnym partnerem, tylko z przeciwnikiem, w gruntownym znaczeniu tego słowa. Temu przeciwnikowi podoba się teraz przybierać pseudonim partnera. Wojenny pseudonim, to pewne. Komuniści *ex definitio* są przeciwnikami demokracji, połączenie komunizmu (nawet zwietrzałego) z demokracją jest jednym z tych dziwolągów, które ani w praktyce ani w teorii nie wytrzymują próby rozumu. To równie nieprawdopodobne jak drewniana żarówka, niesłychane jak aliaż sproszkowanego betonu ze złotem. Kłamliwości komunistów nie można uważać za przywarę etyczną, wynika ona bowiem z ich dialektyki, z założeń jeszcze leninowskich i doskonale klasycznych. W spotkaniu z przeciwnikiem kłamstwo jest dla nich taką samą bronią, jak użycie siły, tylko skuteczniejszą. Demokracje pielęgnują zestarzałe nałogi prawdomówności, przykładają do taktyki przeciwnika własne kryteria, więc kłamstwo działa przez zaskoczenie. Granica przedzielająca Zachód od świata komunistycznego jest rodzajem lustra bez cynfolii, to znaczy takiego, spoza którego można patrzeć samemu nie będąc widzianym. Demokracje patrząc od strony odbijającej lustra nie widzą najczęściej (dziś także) sedna komunizmu, tylko własną twarz. Przez siedemdziesiąt lat demokratyczne pojęcia o świecie komunistycznym były odbiciem własnych pojęć i dyskusji.

W Polsce zasadnicze warunki do okłamywania przeciwnika pozostały niezmienione, bo nie można przeceniać pewnych zmian w technice.

Pod pretekstem ochrony rewolucji, a naprawdę swego *status quo*, klasyczne państwo totalitarne całość życia wzięło pod szczelne skrzydła. Tylko w warunkach dyktatury partii, operując przy drzwiach zamkniętych, tzw. rządy ludowe mogły doprowadzić do takiego wyduszenie istoty kultury. Fenomen polski od początku był skazą w tym obrazie. Polacy zawsze umieli coś ze swojej istoty ocalić. Uruchomiali zawsze jakiś ściśle własny współczynnik, który przeszkadzał w domknięciu drzwi; nie wiadomo, co to było, w każdym razie nic fizycznego, tylko właśnie duchowy współczynnik, pogarda i desperacja. KOR i Solidarność nie wzięły się z niczego: i tak doszliśmy do instytucjonalnego kompromisu. Nie można przy tym zapominać, że żadnych tego rodzaju przemian nie ma w sąsiednich Niemczech, ani w sąsiedniej Czechosłowacji, ani w Rumunii. Sąsiadowanie z czymkolwiek i kimkolwiek nigdy, w dziedzinie stosunków ludzkich, jak i w fizyce, nie obywało się bez rozmaitych następstw. Stanowi to pewien rezerwat niespodzianek na jutro czy pojutrze. Może tam się pasą te nosorożce, na które liczą nasi nieautentyczni wspólnicy i jeszcze: żyjemy w cywilizacji wciąż nowych technologii. Dotyczy to również technologii policyjnych, minowania i dezintegrowania społeczeństwa od środka. Jeżeli współczesne oddalenie się (nie odejście!) nomenklatury od klasycznego stylu rządzenia jest tylko kwestią przestarzałej techniki, to mamy prawo do spotkania się z nowymi wynalazkami i w tej dziedzinie.

Zakładamy, że dyktatura partii jest w odwrocie. Ale jakie to spektakularne! Proszę tylko popatrzeć na manewry odwlekające. Aż chciałoby się popchnąć, pomóc: może im samym za ciężko? Jak już wspominaliśmy, zasadnicza baza propagandy została ubezpieczona. Na chwilę przed inauguracją Okrągłego Stołu szef nomenklatury oświadczył bez zmrużenia oka: „Właściwie przygotowaniem do Okrągłego Stołu był już stan wojenny w grudniu 1981, który przyczynił się do nowej sytuacji". Ten zadziwiający aksjomat powtórzyli Rakowski i Urban, potem inni, każdy na swój sposób. Powtarzanie maksym raz wygłoszonych u szczytu pozostało w żelaznym repertuarze. Nasuwa się pytanie: na jaki to tzw. wszelki wypadek kolekcjonuje się tego typu kłamliwe przesłanki? Czemu i kiedy mają posłużyć?

Ton enuncjacji prasowych w dalszym ciągu jest niepoważny. Ujawnia się rozmaite półprawdy, ale w stylizacji maskującej. Co wczoraj było tabu, dziś jest omawiane — jednak oszukańczo. Do niewygodnych faktów dobiera się taką jakąś perspektywę, aby światełko padało z najmniej kompromitującej strony i aby choć część bezcennej nieprawdy została ocalona. W dawnej powieści Jacka Bocheńskiego o dyktaturze, w tym jego świetnym

„Boskim Juliuszu" znajduje się takie zdanie: „Był to zapewne pierwszy w dziejach przypadek gigantycznego manewru politycznego polegającego na udawaniu, że nie to samo jest tym samym". Od czasów Cezara ta sztuka została wielekroć udoskonalona. Mity, wyprodukowane jeszcze w czasach Bieruta, przeważnie korzystają z dobrodziejstwa prolongaty. Przed wyborami minister Urban rozesłał swoje ulotki jako druk państwowy, bez znaczków. Adresy kazał wyciągnąć z kartotek PZU, po czym instytucja ta zaprotestowała. Przedwyborcze swoje zaloty minister uprawiał na koszt społeczny. Może wychodził z założenia, że i tak w tym kraju wszystko się dzieje kosztem społeczeństwa, więc nie targujmy się o drobiazgi.

Ależ ci panowie nie ruszają się ze swoich miejsc! Za biurkami, w ławach poselskich, na mównicy. W wytartych czapkach niewidkach, które przestały czarować. Nieproszeni towarzysze zgnojonych 45 lat życia. Znajomi z naprzeciwka, z okienka telewizyjnego, z fotografii w lichej prasie. Niezmordowani autorzy drętwych moralitetów, grafomańskich elaboratów, mistrzowie wielogodzinnego przelewania z pustego w próżne. Sto razy rozbierałem: dlaczego ci oratorzy raz usta otworzywszy nie mogą się potem zatrzymać. To widocznie pustka tak wsysa, kompletny brak treści. Ewa Szymańska w *Tygodniku Powszechnym* pisała: TE SAME USTA... Droga pani Ewo, drobnym słowem, skrzydełkiem wyrazu muska pani samą istotę naszego nieznośnego cierpienia. Czy może być coś nieznośniejszego od życia w proklamowanym brudzie etycznym, w zastrzeżonym policyjnie przeinaczaniu? Gębę mamy pełną rdzy zgarniętej z tego rupiecia, jakim od początku był ten ustrój. Siedzą na starych miejscach, twarze bez śladu konsternacji. To jest widok, powiedzmy sobie po ludzku: p o t w o r n y ! Owszem, oglądam to z własnej wewnętrznej perspektywy, przez pryzmat nagromadzonych uczuć. Czy można przez jakieś inne szkła na to patrzeć? Czy mamy te osoby lornetkować jak w teatrze — pod pretekstem, że to źli aktorzy?

Na całym świecie skompromitowani politycy ustępują innym: uważa się to za minimum przyzwoitości. Nam od 45 lat zagwarantowano prawo do konsekwentnego braku przyzwoitości w tej i wielu innych dziedzinach.

Uruchomienie instytucji i czynników społecznych, których łatwa do przewidzenia dynamika leży w naturze sytuacji — bez względu na wszelkie urządzenia hamujące — prowadzi do rozszerzenia strefy wpływów społeczeństwa, czyli do kurczenia się strefy sprawowania władzy. Można na pewno przyjąć, że prawie pół wieku pod kloszem wytworzyło niebezpieczną mieszankę. *Quasi*-demokratyczne instytucje są otworzeniem klapy bezpieczeństwa,

jednak to nie wystarczy. Zapasy energii, choćby to była nie całkiem zdrowa energia, wymieszana z apatią i cynizmem, spowodują ten impet, który przybierze coraz radykalniejsze formy. Słowem, wszystko teraz zmierza do zlikwidowania ustroju komunistycznego. Czy pomyliłem się w tym rachunku prawdopodobieństwa? Na tym jednak nie koniec wnioskowania. Jeżeli nomenklaturze nie przypisujemy zupełnego braku instynktu samozachowawczego, to co, w takim razie, chowa ten zespół w zanadrzu? Czy liczą na nawrót zimnej wojny? Jest to w całym tego słowa znaczeniu układ rebusowy bez podstawowych danych, który chyba wymaga odwołania się do jakichś metod paralogicznych, do rozumowania wspak, w poprzek trójkąta polskiego. Dobrze, tylko gdzie jest ten wytrych.

Zygmunt Freud zaproponował taki dylemat. Na jednej ze stacji galicyjskich, w pociągu, spotykają się dwaj Żydzi. Jeden z nich pyta: — Dokąd jedziesz? Pytany odpowiada: — Do Krakowa. — Patrz jaki z ciebie kłamca! — wykrzykuje tamten. Mówisz, że jedziesz do Krakowa po to tylko, abym uwierzył, że jedziesz do Lwowa. Po co więc kłamiesz?

Freud opatruje to uwagą: serio tej anegdoty polega na uchwyceniu kryterium prawdy, które się wymyka rozumowaniu. Zupełnie tak, jak kryterium prawdziwości teraźniejszej sytuacji w Polsce. Do Krakowa się jedzie, czy do Lwowa, którego już nie ma? Nonsens jest pobudzający, rozwesela inteligencję, ale tu cały naród ma do czynienia z *quasi*-nonsensem jako praktycznym problemem egzystencjalnym. Dogłębne zaplątanie się polskie (może także w najogólniejszym znaczeniu historycznym, z perspektywą wstecz) zdaje się zgoła protestować przeciw jakimkolwiek próbom uporządkowania. Nie wykluczone, że takie próby uszkodziłyby jakiś składnik organiczny. To jest taka sobie filozofia, do której nikogo poza tym nie namawiam. Nie mogę się jej oprzeć. Fakt, że w strefie znaczeń komunikatywnych warci jesteśmy tyle, co idiom w języku, którego i tak nikt nie rozumie. Niedawno w Salzburgu długo rozmawiałem z młodym, bystrym wiedeńczykiem, który, cały zmieniony w słuch, zdawał się wszystko pojmować. Pod koniec pstryknął palcami w swoje krótkie *lederhosen* i wygłosił coś, co pewnie mógłbym znaleźć w jakimś numerze *Die Presse*:

— Tak. To musi być wreszcie załatwione! Wasi komuniści przejdą po prostu do opozycji i będziemy mieli premierę w skali całej wschodniej Europy. Zbyt długo to było tam anormalne, a polityka nie znosi anormalności, tak jak natura nie znosi próżni.

Akurat! Jeżeli natura nie znosi próżni, to jakie uczucia żywi próżnia do natury? Przypomniał mi się aforyzm Chestertona: „Można uwolnić rzeczy od praw, które są im obce lub przypadkowe, ale nigdy od praw ich własnej natury... Nie ma sensu namawiać trójkąt, aby rozbił potrójne ściany swego więzienia. Gdyby trójkąt wyrwał się ze swoich trzech boków, to żałośnie zakończyłby życie".

Przyda się jednak recepta Zinowiewa zalecająca opisywanie nawet postronnych konkretnych faktów, które miewają większą wymowę niż teoretyczne korowody. Tylko że fakt, który opiszę jest przykry, wręcz straszny. Mniej więcej wtedy, gdy prezydent Stanów Zjednoczonych jadł chłodnik u Wałęsów, byłem u przyjaciół na Żoliborzu. Na roztargnionym, tak zwanym gadanym brydżu. Popisywał się tam jasną myślą i elokwencją młody docent Wydziału Architektury na Koszykowej. Zyskał na razie ogólną sympatię. Był niziutki i miał okrągłą twarz piętnastoletniego skauta. Nie ma chyba nigdzie drugiego takiego docenta o takim wyglądzie. Tłumaczył logicznie, że tok rzeczy w kraju nie ma najmniejszych szans. Oczywiście nie głosował. W ogóle wyjeżdżał. — Nie obchodzą mnie układy beznadziejne — oświadczył.

— Nie bierze pan może pod uwagę imponderabiliów — zauważył gospodarz domu. Tok historii nie jest ani racjonalny, ani logiczny. — Malutki architekt machnął ręką.

I ni z tego ni z owego (przynajmniej tak się zgromadzonym wydało; architekt postępował za swoją myślą drążącą go jak rzeczka podziemna) powiedział:

— Proszę tylko się rozejrzeć, jakich mamy decydentów w „Solidarności". To są Żydzi. Michnik. Kuroń. Geremek też jest Żydem.

Wtedy dopiero spadła cisza jak kamień. Mój przyjaciel zbielał na twarzy. — Co to!? Cóż z tego!? Jakie pan tu nam kryterium usiłuje wmówić? Teraz jąkał się nie gorzej od Michnika. Docent wyniósł się zostawiając po sobie smród idei przerażająco niedzisiejszej i jadowitej. Ale my z tym fantem przecież zostaliśmy. Ciekaw jestem, jakby z tym sobie poradził matematyk Zinowiew. Jaki by wzór wyprowadził na zobrazowanie społeczeństwa, w którym jeszcze są możliwe takie wieczory towarzyskie i takie wystąpienia. Jedna z kobiet zasugerowała, żeby wywietrzyć mieszkanie. Jednak gospodarzom nie było do żartów. Jako naród jesteśmy w ogóle stratni. To już truizm. Jesteśmy stratni historycznie i intelektualnie, ale bodaj to nie wszystko. Wśród wielu niepowetowanych strat może najgorszy jest uszczerbek na poczuciu własnej tożsamości. Zgubiliśmy siebie z oczu. Jak do tego doszło? Mam na myśli najgłębszą, retrospektywną tożsamość wysnutą ze złóż tradycji. Między innymi z tradycji Rzeczpospolitej jako wspólnego domu wielu narodów, języków i religii. W tym zakresie straciliśmy czucie, jak się zdarza legawcom po przebytej chorobie. W miejsce wspólnego domu zbudowano coś ubliżająco uproszczonego i gołego jak słup telegraficzny: ideę Polski etnicznej. Wnoszę, by

to uważać za ideę zoologiczną, ale to już nikomu do głowy nie przychodzi. Za to czucie Rzeczpospolitej przechowała literatura odporna na choroby. Tam została skapitalizowana intuicja narodu. U wielkiego Szymona Askenazego. U Stanisława Vincenza, piewcy chasydów i Rusinów. W pamiętniku Stanisława Stempowskiego i w esejach Pawła Hostowca. U Pawła Jasienicy. U samorodnego pisarza Czarnyszewicza, autora „Nadberezyńców". U Juliana Wołoszynowskiego. U Kuśniewicza, Odojewskiego, Stryjkowskiego i Buczkowskiego. Teraz u Jarosława Marka Rymkiewicza. U Miłosza. A dawniej w książkach Wańkowicza, Cata-Mackiewicza i jego przyjaciela, Pawlikowskiego. We wspomnieniach Lednickiego, na tych stronach wciąż płyną znane nam rzeki, stoją miasta i poruszają się ludzie mówiący inną, drogą dla wielu polszczyzną. Używający języka tatarskiego, żydowskiego, ormiańskiego, ukraińskiego, białoruskiego, litewskiego. Istoty nie objęte ponurym dobrowolnym redukcjonizmem. Katastrofą były zabory, dawne i ostatnie, ale samodzielnym uzupełnieniem zaborów, ich amplifikacją, stał się bezmyślny redukcjonizm dokonany w wyobraźni. Tą techniką zoperowano u nas żywe człony świadomości historycznej, które spełniały funkcje skrzydeł, dawały nam poczucie zupełnie innej przestrzeni kulturowej.

— Tak. Tylko, że to nie ma sensu — powiedzą Polacy średniej i młodszej generacji — Owszem. W porządku. Odmawiam zgody na dalszą dyskusję. Wszystko, co wyżej zostało skreślone, nie jest żadną propozycją na obrady jakiegoś następnego Okrągłego Stołu. To w ogóle nie jest koncepcja, tylko zwykła nostalgia, z którą lepiej żyć. Piszę do *Kultury*, gdzie te rzeczy są skrzętnie odnotowywane.

PELIKAN

Nagroda srebrnojubileuszowa PFK im. Prezydenta RP E. Raczyńskiego

W związku z 25 rocznicą powstania Polskiej Fundacji Kulturalnej, zarząd Powierników Fundacji uchwalił ufundowanie corocznej Nagrody PFK im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego w wysokości £1.000 za najlepszą pracę o tematyce historycznej i politycznej, wydaną w Kraju lub na emigracji.

Tegoroczna Nagroda dotyczy prac opublikowanych w latach 1987 i 1988. Termin nadsyłania prac: **do 31 grudnia 1989 r.**

Adres: **PFK, 9 Charleville Road, London W14 9JL**

Odwiedziny. Sen.

Mieszkanie. Mieszkanie w Berlinie. Pokój, dwa, trzy pokoje. Fakt bez znaczenia dla tych, którzy mieszkania w Berlinie nie mają. Przyjeżdżają z walizkami i plecakami. Czasem uprzednio telefonują. Czasem stają po prostu pod drzwiami. Przyjaciele, rodzina, znajomi. Znajomi znajomych. Nie potrzebują nic, wystarczy kawałek podłogi i szklanka gorącej wody. Mają ze sobą materace, koce, śpiwory, ręczniki, herbatę Ulung w szarych torebkach, słoiki dżemu z etykietą zastępczą, chleb, kartofle i cebulę. Kiełbasę. Szynkę. Wódkę. Papierosy z Pewexu. Chcą przespać jedną noc, załatwić sprawy i wracać. Komputery. Tusz do drukarek i do rzęs. Video. Części do samochodów. Muszą tylko dowiedzieć się, gdzie? Gdzie można znaleźć tani *schrott*? To słowo pada po niemiecku. Złomowisko to jednak coś innego. Może kupią samochód po wypadku. Może komputer na handel. Gdzie jest Taxon, a gdzie Flohmarkt. *Floh* to pchła. Muszą też kupić soki, owoce, zające z czekolady, pieluszki, kremy jojoba, herbatę Pompadour, avocado. Po trzech dniach jeżdżenia po złomowiskach, hurtowniach i wyprzedażach, po trzech dniach ustawicznego telefonowania w poszukiwaniu tanich telewizorów i klocków lego, pada wreszcie pytanie, a może raczej stwierdzenie: nie przeszkadzamy? Bo jeśli nie, to zostalibyśmy jeszcze jedną noc, dzień, tydzień, a może, gdyby tak znaleźć pracę...

Przez cztery lata przyzwyczajam się, już wiem, że szklanka gorącej wody oznacza, że jeść będziemy wspólnie, a w nagrodę w lodówce zostaną nieokreślone puszki mięsa, dżem i chrzan oraz nadpita butelka wódki. Podobnie jak kawałek podłogi oznacza, bo oznaczać musi, utratę bądź to salonu, bądź to sypialni. Przyzwyczajają się i oni. Już wiedzą, że wolę kaszę gryczaną niż cebulę, więc rozdaję teraz torby kaszy gryczanej wszystkim znajomym, którzy swoich gości

jeszcze nie nauczyli, że kasza jest lepsza od wódki, a książki lepsze od kaszy.

Przyzwyczajam się.

„Placówka", mówią patetycznie oczytani goście.

„Miasto frontowe", mówią ironicznie ci, którzy tu mieszkają na stałe.

Wszyscy się jakoś przyzwyczajamy.

W styczniu republikanie, nacjonaliści, a w gruncie rzeczy — faszyści, zdobywają w wyborach do władz miejskich 11% głosów.

W styczniu do Berlina zaczynają przyjeżdżać nowi, nieznani nam dotychczas przybysze z Polski. Zmiana jest dziwna, niespodziewana i jakoś straszna. Zmienia się nie tylko ilość, ale i jakość. Musimy się do niej jakoś ustosunkować, więc pytamy sami siebie, zanim zapytają nas tak zwane media, co to jest. Groza? Epopeje indywidualnego bohaterstwa? Zalew cwaniactwa czy ostatni dech udręczonego i spauperyzowanego narodu, który z podziwu godnym uporem walczy o swoje prawa do „życia po ludzku"? W pierwszych dniach stycznia było ich kilkudziesięciu, potem kilkuset, a po trzech tygodniach na zakurzonym bezpańskim placu stało ich już kilka tysięcy, tych, którzy przyjechali sprzedać serek topiony, kiełbasę krakowską, kawior, pieluszki, żarówki, latarki, koce, masło.

Nagle sprzedać, a nie kupić. Sprzedać, a nie telefonować. Przyjeżdżają samochodami i w nich śpią. Nie stają więc pod naszymi drzwiami. Przyjeżdżają pociągami i całą noc powoli wędrują z dworca na plac, gdzie dawniej chodzili kupować, a dziś sprzedawać.

●

My, Polacy, rozpoznajemy się w tym mieście tak czy owak. Podobno mamy w oczach coś, czego nie da się ukryć. Tajny znak wspólnoty, nadwiślańskiej melancholii. Ale owa subtelna umiejętność staje się zbyteczna. To już nie oczy, to wiedza, pełna, nieskłamana wiedza, że to oni. To my. „My", które dławi w gardle. To my idziemy nocą, powoli, krok za krokiem, z siatkami i walizkami, przygarbieni mężczyźni z wąsami i tęgie zażywne kobiety. To my.

Płakać. Mówić, że to ustrój do tego doprowadził, do tych serków topionych i gówna, które otacza plac, tak samo jak otacza (ukryte w malinowych chruśniakach) mazurskie jeziora.

Tłumaczyć. Dwa kilo szynki, litr mleka, dwie kostki masła i butelka krymskiego szampana, ilość pożywienia, która w Polsce nie starczy nawet na tydzień, sprzedana tutaj oznacza 20 marek, czyli drugą pensję. Jesteśmy Europejczykami, próbujemy zrozumieć ideę granicznej wymiany, osmotycznego ciśnienia, które

wytwarza się samoistnie na granicy między pełnym a pustym. Doceńmy który zawsze przeciekać będzie przez płoty i granice, jak długo nie zafunkcjonuje wreszcie idea naczyń połączonych.

Kupować. Bo taniej. Bo z Polski. Bo pomagamy tym, którzy tych dwudziestu marek miesięcznie potrzebują do życia.

Nie kupować. Bo wstyd. Co o nas ludzie powiedzą? Co już mówią?

Rozumieć.

Nie rozumieć.

Potępiać wywożenie z kraju towarów, których tam brakuje.

Wyśmiać tych, którzy robią z tego problem.

Marginalna sprawa. Kilka tysięcy osób, kilka ton żywności przywożonej, o ironio, do kraju, który gdzieś tam, na pięknych łąkach Bawarii zbudował górę masła, górę mięsa i jezioro mleka tak tłustego, jak najlepsza polska śmietana.

Wstydzić się, że to my. Mówić, że to oni.

Pewnej styczniowej niedzieli pojawiło się w Berlinie osiem tysięcy handlarzy z Polski. Pewnej styczniowej niedzieli na partię republikanów, którzy bez ogródek głoszą, że Niemcy mają być dla Niemców, głosowało w Berlinie 90 tysięcy osób.

Zapomnieć. Przeczekać. Doczekać chwili, kiedy dwa rządy dwóch dużych państw w sercu Europy zrobią „z tym" wreszcie porządek. „Z tym", czyli z handlarzami z Polski, rzecz jasna. Chrześcijanie dla lwów, Polacy do Polski. Niemieckie niezadowolenie z obecności cudzoziemców skonkretyzowało się nagle na Polakach. Staliśmy się bardziej nachalnie cudzoziemscy niż Turcy. Turcy są śniadzi i wąsaci, a ich kobiety noszą chustki, ale Polacy mają „coś" w oczach. I z tym „czymś" trzeba zrobić porządek. Niemal dziesięć lat napływu uchodźców, coraz mniej politycznych, z kraju nad Wisłą, dwa lata krzykliwego i buńczucznie niemieckiego zapraszania Niemców z Polski do Niemiec, zwieńczone nieważną przecież grupką tych, którzy w końcu nic od wielkich Niemiec nie chcą oprócz możliwości sprzedania kiełbasy za dwadzieścia marek (i zrobienia gdzieś siusiu) i którzy po kilkunastu godzinach wrócą do swojej Polski, skumulowało się nagle w natężenie niechęci o skali nieznanej od pięćdziesięciu lat.

Jesteś przewrażliwiona, mówią znajomi Niemcy. Jeden z nich głosował na CDU, drugi na AL, ale obaj są zdania, że Polacy nie mają czego szukać w Niemczech. Ja mogę zostać, mnie znają osobiście. Byle bym tylko nie przywoływała skojarzeń z nazizmem, bo to było zupełnie coś innego i nie powinnam się kierować uprzedzeniami.

Przypadek. Zbieg okoliczności. Nikt nie koordynował otwarcia granic w Polsce i wyborów w Berlinie. A już na pewno nikt prócz mnie nie planował moich snów. Literatura oniryczna

ma swoje specjalne miejsce, najczęściej gdzieś między mistyką a poezją. Do polityki się nie wtrąca. Opowiadanie snów tak czy owak niewiele ma sensu, chyba że można je sprzedać psychoanalitykowi lub kupcowi, co czynił taki na przykład pan Bieda u Trumana Capote. A jednak pisząc o Polakach w Berlinie, specyficznym problemie bycia Polakiem w Berlinie w pierwszych miesiącach roku 1989 muszę przecież opisać swój sen. Co więcej, muszę przyznać, że wszystko, co dotąd napisałam, miało ten tylko jeden cel — wyjaśnić podłoże, realia snu, który przyśnił się 23 marca 1989 roku w Berlinie.

●

Wszelkie podobieństwo opisanych poniżej zdarzeń do rzeczywistości jest jedynie produktem chorej wyobraźni, za które, jako właścicielka mojej podświadomości, ponoszę pełną odpowiedzialność.

●

Jest późny wieczór. Jemy kolację. Ja i moi goście, którzy mają u mnie nocować. Jest nas siedmioro: małżeństwo z małym dzieckiem, dwóch mężczyzn, mój kilkunastoletni syn i ja. Podaję kurczaka, sałatę, lody, kawę, a jednocześnie cały czas rozmyślam, kto gdzie będzie spał. Małżeństwo z dzieckiem na rozkładanej kanapie w salonie, obaj mężczyźni na dużym łóżku w sypialni. Dla mojego syna i dla mnie pozostaje złożony w czworo dywan. W salonie? W sypialni? Chyba jednak po prostu w kuchni. Cenię sobie prywatność. Po północy leżymy wreszcie wszyscy na swoich posłaniach (brakuje poduszek) i wtedy dzwonek do drzwi. Otwieram i widzę Anię, żonę mojego kolegi z Polski, a z nią grupę sześciu czy siedmiu osób, nie próbuję nawet liczyć. Pierwsi są już w mieszkaniu, gdy inni wciąż jeszcze wyciągają z windy torby i walizki. Sen jest wciąż jeszcze bardzo realistyczny — to moje mieszkanie, moja winda, moja koleżanka.

Radosne powitanie, śmiechy, uściski, kasza gryczana, przepychanka między tobołkami. „Aniu — mówię — mój Boże, gdzież ja was wszystkich pomieszczę?" „Nie martw się — mówi Ania — nam wystarczy kawałek podłogi". Zza drzwi dobiega tępy odgłos hamującej windy. „O, są wreszcie" — mówi Ania. „Kto?" „Reszta. Jesteśmy całą grupą. Jedziemy na kongres ekumeniczny do Francji." W milczeniu otwieram drzwi i wychodzę na podest schodów, który nie jest już podestem w mojej kamienicy. Stoję na długim balkonie otoczonym kutą w żelazie balustradą, patrząc na ogromne podwórze pomiędzy ustawionymi w czworobok fabrycznymi budynkami z ciemnoczerwonej cegły. I podwórze i balkon pełne są ludzi. W dole nie widać nawet pojedynczych

osób, tylko zbity tłum, głowa przy głowie, sami mężczyźni, choć na balkonie są i kobiety. Z ciżby wyłania się kilku młodych mężczyzn, z pasami nabojów w skos przez nagie, błyszczące od potu torsy. Twarze meksykańskich partyzantów? Nie wiem, nie jestem pewna, choć znam z filmów ten typ wojowników o naszą i waszą wolność. Zresztą być może są to rozbójnicy. Nie muszą nic mówić, wiem, że są strażą obywatelską wyłonioną przez ów ogromny tłum i będą zgłaszać postulaty. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale wiem, że jestem odpowiedzialna za ich problemy. Na westernowe twarze z meksykańskiego pogranicza nakładają się sceny z innych filmów. Mężczyźni w futrzanych papachach, skośnoocy, z cienkim uśmieszkiem okrucieństwa przylepionym do kałmucko płaskich twarzy wybierają z tłumu kobiety i ciągną je w głąb ciemnych fabrycznych hal. Rośli blondyni w czarnych mundurach stoją w rozkroku z karabinami w dłoniach, a ich nieme wargi wyrzucają w przestrzeń tylko jedno, niesłyszalne, słowo: *schneller, schneller.*

Zamykam drzwi. Jestem z powrotem w swoim mieszkaniu, pełnym znajomych i ich walizek. Ania gotuje wodę na herbatę. Mój syn śpi. Podnoszę słuchawkę, wystukuję na klawiaturze numer policji. „Jesteśmy otoczeni — mówię — tłum, tłum, zróbcie coś". Cisza. Ogromna cisza czekania, choć wszyscy coś mówią, opowiadają o podróży, kontroli celnej, kaszy, cenach, herbacie, nowych filmach. Ogromna cisza czekania i wreszcie, wreszcie głos nadlatujących helikopterów. Wychodzę na balkon-korytarz. Eskadry helikopterów, dokładnie takie, jak zimą 1981 w Gdańsku, gdy milicja pacyfikowała stocznię i rafinerię. Nie wiem, czego właściwie się spodziewam. Stoję i czekam w nadlatującym huku helikopterów. Eskadra zniża się, huk staje się nie do zniesienia, a na głowy milczącego tłumu spadają z góry trójkątne opakowania czekolady Toblera, czarne wężyki lukrecji, pralinki w srebrnych papierkach. Deszcz, grad, burza słodyczy, bombardujących nieruchomy tłum. Po chwili widowisko się kończy, helikoptery odlatują. Zostaję sama, jak idiotyczny, ironiczny Rejtan. Za moimi plecami trwa wciąż jeszcze codzienność, nawet jeśli skumulowana w niecodzienny sposób, coś, czego muszę bronić — syn, herbata, przyjaciele, lampy, firanki w oknach, rośliny w doniczkach, książki na półkach. A przede mną potworny, ogromny, nieprawdopodobny tłum.

„Chodź", mówi Kałmuk o skośnych oczach.

„Potrzebujemy żywności, wody i środków opatrunkowych", referują meksykańscy partyzanci. Jeden z nich ma głowę obwiązaną skrwawioną chustką.

Czarno ubrany SS-mann nie mówi nic, ale słyszę przecież to jedno, jedyne niemieckie słowo, które znałam, gdy przyjeżdżałam tu cztery lata temu, by na stałe zamieszkać w Berlinie. *Schneller. Schneller.*

Filmowa nierealność trwa. Jestem Longinusem Podbipiętą. Przekradam się przez ciemne korytarze i lochy, przez jakieś trzciny, bagna, zapadliska. Gdzieś tam muszę znaleźć posiłki. Świat staje się nagle nieprawdopodobnie kolorowy. Woda jest intensywnie niebieska, drzewa zielone, pola żółte jak słoneczniki Van Gogha, obracam głowę, żeby jeszcze raz rzucić okiem na to, co zostawiam, a co tylko ja mogę jeszcze uratować. Wielki czerwony budynek fabryki trójkątnieje i rośnie, wisi nade mną jak dziób jakiegoś monstrualnego statku, spokojnie kołyszącego się na gładkiej, błękitnej wodzie jeziora. Przede mną krwiście zachodzi czerwone słońce. Nikt i nic mi nie zagraża. Spokój. Mam na sobie czarny kombinezon do nurkowania. Skaczę do wody i miarowymi ruchami płynę przed siebie. W oddali majaczy jakiś kształt — dom na wyspie czy statek. Podpływam bliżej i widzę przed sobą białe burty motorówki. Wdrapuję się na pokład, nawet we śnie zdumiona nieco moimi możliwościami fizycznymi. Kilka osób w mesie pije kawę i piwo Beck's. Dostałam się do środka filmu reklamowego, dlatego wszystko jest tak nienaganne i kolorowe. „Pomocy — mówię — natychmiast potrzebuję pomocy. Dla tysięcy ludzi. Trzeba coś z tym zrobić". „Oczywiście", uśmiecha się nieskazitelnie przystojny jasnowłosy kapitan w białym mundurze. Podchodzi do pulpitu sterowni, naciska jakiś klawisz i z tyłu za mną monstrualna fabryka widmo, która była przecież moim domem, z hukiem wylatuje w powietrze. Płomienie są intensywnie pomarańczowe.

Ewa Maria SLASKA

NOWA KSIĄŻKA
WACŁAWA SOLSKIEGO
Żółta trójka
Trzydzieści opowiadań o losach ludzkich
Str. 180 **Cena: £5,00 - $11,00**
ANEKS, 61 Dorset Road, London W5 4HX, England

Zdrojowisko nad Niemnem

„Pociąg warszawski zdążający do Wilna po minięciu Białegostoku wznosi się na coraz to wyższy teren. Szyny kolejowe opuściły dorzecze Narwi i kierują się ku dorzeczu Niemna. Oko jadącego witają miłe, porosłe laskami pagórki: jesteśmy na wyżynie grodzieńskiej. Koło Oskółki tor kolejowy przebiega obok najwyższego wzniesienia wyżyny grodzieńskiej i wchodząc w dolinę dopływem Niemna będącej rzeki Łososny towarzyszy jej prawie do samego Grodna". Słowa niniejsze to cytat z broszury informacyjnej wydanej w roku 1937 nakładem Komisji Zdrojowej w Druskienikach i wydrukowanej czcionkami zakładów graficznych Znicz w Wilnie. Przypomnienia godne są one tym bardziej, że od strony krajobrazowej w pełni odpowiadają temu, co i dziś widać z okien wagonu przy podróży marszrutą Warszawa — Grodno — Druskininkai alias Druskieniki. I to niezależnie od tego, że aktualnie przychodzi na trasie tej przekraczać aż dwie polityczne granice: *jedną między Polską i Białoruską SSR i drugą między sowieckimi republikami Białoruską i Litwą.*

„Za Grodnem tor gwałtownie zwraca się na wschód, biegnie wzdłuż wielkich bagien, i za Wiercieliszkami wpada w lasy puszczy jezioroskiej. Po pewnym czasie stajemy na stacji Porzecze. Jadących wagonami bezpośredniej komunikacji zabierze teraz pociąg lokalny i po 20 minutach wysiadamy na stacji Druskieniki.

Ogarnia nas zdumienie. Przez długi czas oko oswoiło się z krajobrazem lasów sosnowych, a oto tu wyrasta przed nami kępa liściastej zieleni, jak oaza wśród bezmiaru sosnowych obszarów. Dookoła cisza, a u stóp tej zielonej kępy przewija się Niemen".

Dzisiejsze zdrojowisko Druskieniki chlubi się tym, że corocznie przyjeżdża tu na leczenie 100 tysięcy kuracjuszy tak z Litewskiej SSR jak i z całego Związku Sowieckiego, na tutejszy dworzec kolejowy docierają poprzez wspomniane powyżej Porzecze składy wagonów bezpośrednio z Moskwy i Leningradu. Margines swobody, z jakiego korzystała Litwa nawet w okresie, gdy nikomu nie śniło się jeszcze o gorbaczowowskiej pierestrojce widoczny jest w nowoczesności

zabudowy, wyraźnie odbiegającej od stereotypów socrealistycznego monumentalizmu. I tak na centralnej promenadzie kurortu piętrzy się gigant zakładu zdrojowego i fizykoterapeutycznej lecznicy z dwudziestometrową wieżą z wodociągami zdolnymi wyciągać w ciągu dnia 2 tysiące metrów kubicznych mineralnej wody. Z kontur gigantu wyziera zarówno spokój, jak i dynamika. A w elewacji frontowej umieszczona pokrętna jasna plecionka w oryginalny sposób kontrastuje z wystającymi ciemnymi betonowymi panelami.

Wśród urządzeń zakładu nie brak basenu, do którego woda spada z wysokości 4 metrów. Z kaskadowych kąpieli tego basenu kuracjusze korzystają w porze zimowej, latem natomiast wolą pluskać się pod gołym niebem na spiętrzonej rzece Ratnicza, po polsku: Rotniczanka.

Imponująco prezentują się sylwety dziesięciu obiektów sanatoryjnych do użytku kuracjuszy przeznaczonych, każdy z nich bardzo umiejętnie wpisany został przez litewskich projektantów w naturalne otoczenie i dawniejszą zabudowę. Na czoło wysuwa się sanatorium „Egle" (po polsku: jodła) chlubiące się wspaniale wyposażonym inhalatorium a także oddziałami: fizykoterapeutycznym i hydroterapeutycznym oraz wodami mineralnymi „Egle I" i „Egle 2". Ale niemniej okazałe są też takie wielokompleksowe sanatoria jak: ukierunkowane na gimnastykę leczniczą i oferujące m.in. podwodne masaże sanatorium „Njamunas", specjalizujące się w leczeniu narządów ruchu sanatorium „Puszinas", głównie terapii zaburzeń trawiennych oraz chorób układu krążenia służące sanatorium „Lietuva", a także sanatoria „Vilnius", „Draugyste", „Žilvunas" i „Dainava". Godne uwagi w tych sanatoriach są artystyczne dekoracje pomieszczeń.

Bogactwo Druskienik Nr 1 to solanki, które podawane bywają w postaci naturalnej, ogrzanej i gazowanej i których działanie polega na wzmożeniu czynności wydzielniczej żołądka i trzustki. Aktualnie w kurorcie eksploatowanych jest siedem mineralnych źródeł. Źródła te przeważnie różnią się między sobą, gdy idzie o koncentrację rozpuszczonych w nich soli i innych substancji, a do picia podawana jest przede wszystkim woda ze źródeł „Druskininkai" i „Dzukija". Poza tym wielkim bogactwem nadniemeńskiego zdrojowiska są pokłady borowiny o ustalonej renomie.

Druskieniki leżą na tarasie na prawym brzegu Niemna, ich centrum przedstawia się jako piaszczyste płaskowzgórze opasane od wschodu Rotniczanką, od południa spięte jeziorem Druskonie a od północy i zachodu oblane falami Niemna. Tutejszy mikroklimat charakteryzuje się łagodnością i wszędzie widać obfitość starannie utrzymywanych zielonych terenów. We wrześniu 1960 roku utworzono botaniczny rezerwat o powierzchni 45,8 ha, w skład którego wszedł park rekreacyjny, wyspa na Niemnie i część nadniemeńskich nadbrzeży. Ponadto oferują Druskieniki trasy spacerowe: w kierunku dworca, nad jeziora Druskonie i Ożerycis (po polsku: panieńskie oczy). A także na tzw. Pogankę i wzdłuż Rotniczanki.

W oczy przyjezdnych wpadają zaraz litewskie narodowe żółto-zielono-czerwone barwy i słyszy się litewski język, na 17 tysięcy stałych mieszkańców 14 tysięcy to Litwini, Polaków jest około tysiąca, a pozostała reszta to Rosjanie. Miasto rozłożone jest na planie

prostokąta, przeważają domy o trzech do pięciu piętrach, ale monotonię tę urozmaicają wysokościowce. Przy głównej promenadzie wznosi się okazała bryła neogotyckiego kościoła z czerwonej cegły, a ufundowana w roku 1865 przez rosyjskich bywalców Druskienik drewniana cerkiew usytuowana jest bardziej na uboczu. Gdzieniegdzie widoczne są pozostałości drewnianej zabudowy nadającej do lat 50-tych ton obliczu uzdrowiska.

Jak poinformował o tym piszącego te słowa druskienicki duszpasterz, ks. Konstantinos Gajauskas, na koszta budowy tutejszego kościoła według projektu Stefana Szyllera płynęły składki z całej Polski, jego budowniczym był ks. Bolesław Wołejko i poświęcenie świątyni nastąpiło w 1931 roku. Kościół pozostaje pod wezwaniem Matki Boskiej Szkaplerznej, jest pięknie odrestaurowany a we wnętrzu zwraca uwagę kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej jak również witraż ze św. Kazimierzem. Ks. Gajauskas zalicza się do tej części dzisiejszego litewskiego katolickiego kleru, który życzliwie odnosi się do wiernych narodowości polskiej i nie uchyla się od odprawiania polskojęzycznych mszy.

To nie przypadek, że jednej z głównych arterii miasta nadane zostało imię Czurlionisa. Przedmiotem szczególnej dumy druskieniczan jest to, że właśnie tu spędził dzieciństwo narodowy litewski kompozytor i artysta-malarz M. K. Czurlionis, a druskienickie krajobrazy zainspirowały jego geniusz. W roku 1975 w związku z obchodami stulecia urodzin Czurlionisa w eksponowanym punkcie uzdrowiska odsłonięto jego pomnik dłuta W. Vildžiunasa, zaś w roku 1963 w drewnianym domu należącym ongiś do jego rodziców otwarte zostało muzeum. M.in. w muzeum tym pokazywana jest fisharmonia i pianino oraz niektóre obrazy artysty a także wykonywane są jego utwory muzyczne.

Nazwa Druskieniki wywodzi się od litewskiego „druskas"—sól a tutejsze źródła solankowe znane były od czasów najdawniejszych. Miejscowością kuracyjną stały się Druskieniki w końcu XVIII wieku, kiedy zainteresował się nimi świat naukowy Wilna i wyszły pierwsze opisy kąpieliska. Wziętość uzdrowiska gwałtownie wzrastała od lat 30-tych i w połowie XIX wieku częstymi gośćmi są tu: Kraszewski, Czeczot, Moniuszko i Syrokomla.

Walory lecznicze Druskienik w pełni doceniane były w okresie, gdy w latach 1920-1939 uzdrowisko pozostawało w granicach Polski. Zarząd zdrojowiska dokonał w latach 1930 i 1936 głębokich wierceń w celu dotarcia do macierzystych nie zmieszanych z wodami gruntowymi złóż solanki, co dało w efekcie solankę znacznie bogatszą niż uprzednio eksploatowana. W roku 1937 bardzo uroczyście obchodzony był jubileusz stulecia założenia Zakładu Zdrojowego, nakładem Komisji Zdrojowej wyszła uświetniająca to wydarzenie księga pamiątkowa. Działało Druskienickie Towarzystwo Lekarskie i prowadzone były badania nad druskienickimi wodami, w których czynny udział brali profesorowie Uniwersytetu Stefana Batorego. Towarzystwo Przyjaciół Druskienik zaś przy poparciu Komisji Zdrojowej wydawało problematyce rozwoju uzdrowiska poświęcone czasopismo „Ondyna Druskienickich Źródeł" (było to wznowienie pisma pod takim właśnie tytułem, jakie drukowane było przy współudziale Kraszewskiego, Narbutta i Syrokomli w latach 1844-1846 w Grodnie).

Miłośnikiem Druskienik był Marszałek Józef Piłsudski i do dzisiaj żywa jest wśród druskieniczan bez względu na narodowość pamięć o nie istniejącym już drewnianym domu opodal ujścia Rotniczanki do Niemna, w którym on wypoczywał i gdzie udzielał audiencji zagranicznym mężom stanu, jak np. w roku 1930 włoskiemu ministrowi Grandi. Ba, swojemu umiłowaniu dla tutejszych stron dał Piłsudski wyraz we Wpisie do Złotej Księgi Druskienik, wpisie, który wzięty został następnie za motto do pięknego przewodnika po Druskienikach z roku 1935 pióra inżyniera Tadeusza Kuleszy. Przewodnik ten wyszedł przy współudziale druskienickiej Komisji Zdrojowej, a wydrukowały do Zakłady Graficzne Mejłachowicza w Grodnie.

Zacytujmy kilka przynajmniej zdań Marszałka z jego tchnącego poezją wpisu do Złotej Księgi Druskienik:

> „Kiedy Wielki Stwórca równię nadniemeńską rzeźbił, szedł linią surową i w silniejszym skurczu dłoni kształty ziemi lepił (...). Lecz gdy Stwórca-Rzeźbiarz do Niemna brzegu się zbliżył i zmęczony surowością pracy palcom spocząć pozwolił, z rozkoszy wolności i wypoczynku ku ziemi błogi uśmiech spoczywania posłał (...). Mała Rotniczanka skoczyła radośnie spiesząc ku Niemnowi jakby samą siebie prześcignąć chciała i tanecznym po kamieniach biegiem w niespodziane a na oścież otwarte wrota wąwozu się wsączyła (...). W ten sposób Druskieniki były niespodzianką myśli Stwórcy w odpoczynku, gdy Ten się uśmiechał".

Nie obeszło się również bez tego, by nadniemeńskie wczasy Piłsudskiego nie odbiły się echem w poezji polskiej międzywojennego dwudziestolecia. I tak istnieje — recytowała go na druskienickich imprezach Hanka Ordonówna — wiersz Tuwima tak oto zaczynający się:

Gdzie Rotniczanka wody niesie i w Niemen wpada wełną pian
Przyjeżdża tam co rok pod jesień ten zadumany starszy pan (...)

Ramy naszego szkicu są ograniczone, ale obok pochwały nadniemeńskiej przyrody przez Piłsudskiego pozwolimy sobie jeszcze zacytować rzewne elogium wód druskienickich przez J.I. Kraszewskiego. Oto ono: „Bóg wlał w te źródła moc dziwną, której żaden rozbiór chemiczny i mądrość ludzka nie pochwyci (...). Ta woda jakby Opatrznością umyślnie wyrobiona (...) ja w niej widzę prowidencjonalną opiekę Bożą nad nami a dla ludzi, którzy pierwsi u źródła tego ośmielili się powiedzieć za głosem tłumu «Tu jest zdrowie» — czuję prawdziwą i serdeczną wdzięczność".

Wszystko wskazuje, że wobec rozluźnienia barier granicznych coraz częściej zaglądać tu będą goście z Polski i to tym bardziej, że w odległym od Druskienik zaledwie 60 km miasteczku Lazdiai otwarte zostało świeżo przejście graniczne. Prowadzi ono do Ogrodnik na naszej Suwalszczyźnie.

I jeszcze jedna uwaga. Bawiąc w Druskienikach obowiązkowo zahaczyć należy o pobliską wieś Rotnicę (po litewsku: Ratnyczia). Na miejscowym cmentarzu zachował się grób Jana Czeczota zmarłego dnia 11 sierpnia 1846 roku w Druskienikach, autora Piosenek

wieśniaczych znad Niemna i Dźwiny, piosenkarza, którego imię — jak mówi wierszowany napis na głazie grobowym — „jest wiecznie związane z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem". Niestety, rzuca się w oczy, że grób jest zaniedbany, co dziwi tym bardziej, iż do Czeczota przyznaje się nie tylko literatura polska, lecz także białoruska i niedawno w środowiskach białoruskich święcone było stupięćdziesięciolecie jego zgonu.

Andrzej KEMPFI

Krajowe wydanie «Kultury»

Od lipca 1987 r. niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje się z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Krajowe wydanie «Zeszytów Historycznych»

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazały się już roczniki 1985, 1986, 1987, 1988. W roku 1989 poszczególne numery *ZESZYTÓW* wydawane są w miarę ukazywania się edycji oryginalnej.
Cena nr 88 — 2.150 zł; nr 89 — 3.000 zł + ewentualne koszty przesyłki — 250 zł.

***KULTURA* i *ZESZYTY HISTORYCZNE* są do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych. Ponadto zamówienia można składać w wydawnictwie TEST: 20-147 Lublin, Aleja Spółdz. Pracy 13.**

Konto: II Oddz. PKO Lublin, Rachunek Nr 43-528-96902-136.

Wiersze

Jehuda AMICHAJ

W ŚRODKU JABŁKA

Ty odwiedzasz mnie w środku jabłka.
Oboje słyszymy nóż,
który je obiera, dookoła, ostrożnie,
by nie przerwać pasemka skórki.

Ty mówisz do mnie, twój głos budzi ufność,
bo są w nim grudki ciężkiego bólu
tak jak w prawdziwym miodzie są grudki wosku
z pszczelego plastra.

Dotykam palcem twych warg,
i to również jest gest proroczy.
I twoje wargi są czerwone, i spalona ziemia jest czarna.
I prawdziwe jest wszystko.

Ty odwiedzasz mnie w środku jabłka,
ty ze mną ostaniesz w jabłku
póki nóż nie dokończy swej pracy.

* * *

BÓG LITUJE SIĘ NAD MAŁYMI DZIEĆMI

Bóg lituje się nad małymi dziećmi.
Trochę mniej, kiedy pójdą do szkoły.
Dla dorosłych już nie ma litości.
Czasami muszą leźć na czworakach,
w rozżarzonym piasku,
by odszukać punkt pierwszej pomocy,
broczący krwią.

Może zmiłuje się nad tymi, co prawdziwie kochają,
może będzie ich chronić i ześle im cień
jak drzewo nad śpiącymi na ławce
przy ruchliwym bulwarze.

Może dla nich i my
wyciągniemy ostatnie monety miłosierdzia,
które nasza matka zostawiła nam w spadku,
by nas chroniło jej szczęście
dzisiaj i w przyszłe dni.

Jehuda AMICHAJ

tłum. Ryszard Krynicki

Jacek GUZ

* * *

ptaku nie drżyj
niewiele wiedzieliśmy o wolności
wybacz niewiele wiedzieliśmy o sobie

szkło potłuczone płat skóry
każda próba drżenia
niewiele wiemy
a przed nami tak wiele

nie drżyj
nie przyznamy się do wolności
nie drżyj
będziemy wyrywać ci pióra

Jacek GUZ

Lublin, 8.III.1988 r.

Jerzy KRONHOLD

MARTWA NATURA

Tam gdzie półka powideł
w spiżarni mojej matki
chciałbym być małym słoikiem
gdzie duszek wegetacji
otrząsa krople ze skrzydeł
gdzie błyszczą węgla brykiety
i jasne świecą polana
gdzie rosną włosy szczotek
zawsze umyte i czyste
i młynek pachnącą szufladę
wysuwa jak syty język
gdzie w koszu szare bulwy
czekają na martwą naturę
a baba wysoka na łokieć
udaje pałac kultury
gdzie zioła schną dobrotliwe
kosaćce lebiody rumianek
gdzie kwasi się mleko na obiad
i pyszni grzybów naszyjnik
gdzie rubinami płonie karafka kryształowa
którą wypróżnia mój ojciec
kieliszek raz na tydzień

Cieszyn

PIOTR SKARGA 1988

Szkoda tych śliwek których nikt nie zbiera
poczętych dzieci które się nie rodzą
podań na które nie ma odpowiedzi
talentów zagrzebanych na prowincji
dni mijających bez śladu bez kreski
minut kapiących do dziurawej miski
butów zdzieranych cierpliwie w ogonku
sąsiada który wyjechał do Essen
śpiewów gaszonych salwą lub sikawką
listów zamkniętych za karę w karcerze

żarówek w dzień świecących zamiast w nocy
komórek wypłukanych spirytusem
życiorysów skróconych do połowy
strun tak pękniętych że pękają same
szyn tak zziajanych że tęsknią za złomem
stron ze spichlerza wyrwanych pamięci
książek ściganych listami gończymi
ścieżek zarosłych piołunem łopianem
słów wykreślonych ołówkiem kretyna
pociągów spóźniających się o życie
żandarmów skradających się jak złodziej
okien nie otwieranych na ulicę
domów sterczących jak strachy na wróble
przedsionków w których tłoczą się petenci
początków którym brakuje zakończeń
końcówek opłakanych dumną klęską

Jerzy KRONHOLD

Cieszyn

Adam LIZAKOWSKI

PIEKŁO

Barman z baru Czarny Kot rozlewa wódkę
a wieczór postrzelony w samo serce — kona
noc wypełnia ciemnością wszystko nawet kieliszki.

Niektórzy obywatele cesarstwa
układają się do snu w parkach
w piwnicach na strychach
w bramach szacownych instytucji.
Dziewczyny-anioły — nie stać je na skrzydła
prawie nagie stoją na rogach ulic
sprzedawcy narkotyków najdłużej są w swych norach
za chwilę i oni będą na ulicach.

Dwie stare kobiety prują stare wełniane swetry
cicho rozmawiają o wnukach —
szybko wyrastają.
W dusznych norach emigrantów —
ze wszystkich stron świata
dzieci idą spać, rodzice za chwilę

uczyć się będą wymowy i czytania dziwnych słów
stawką kiedyś było życie lub wolność
dzisiaj przetrwanie —
stare problemy bledną z czasem śmieszą
nowe o ostrych krawędziach ranią do szpiku łez.

Mężczyzna modnie i czysto ubrany
łagodnie uśmiecha się z ekranu
mówi do mikrofonu lub zebranych na sali
[tak samo modnie i czysto ubranych]
a może do telewidzów
telewizyjne oko puszcza obrazy
ulic, miast, jezior, rzek, twarzy ludzkich.

Mężczyzna mówi o złu
obiecuje naprawić zło.
powołał nawet do tego celu
specjalną komisję — on i specjalna komisja mają
ochronić cesarstwo przed złem
a może nawet 10 lub 120 państw, świat, kosmos.

Inni obywatele cesarstwa znudzeni telewizją
spoglądają na złote zegarki
odmierzające dla nich postęp cywilizacji —
przeklinają głupotę cesarza
w głębi serc martwią się o pozłacane ramy obrazów,
rzeźby, drogocenne szkatułki —
odpryskuje złoto,
przeklinają wschody i zachody słońca takie piękne
nie można od nich opodatkować biednych
— ale można drożej wynająć im mieszkanie z widokiem.

Na miarę swych potrzeb —
potrzeb swej cywilizacji
stwarzają
bohaterów i zbrodniarzy, kłamstwo i zbrodnię
zaprzysięgają się —
piekła i diabłów nie ma
— głupie przesądy minionych cywilizacji
wypierają się raju i Boga
który jest nieobecny —
ale usprawiedliwiony.

San Francisco 1988

PSALM ZŁODZIEI CZEREŚNI

W kościele św. Antoniego
W naszym miasteczku
jest Twój portret Panie
twarz masz umęczoną
krople krwi na skroniach
oczy czerwone i załzawione
usta z trudem wciągają powietrze.

Noc nadchodzi. Gdzie jesteś Panie
łóżko dla ciebie posłane
woda w misce czeka
przyjdź do nas
obandażujemy Twą głowę
uczeszemy włosy
umyjemy umęczone nogi
wyczyścimy buty
a na kolację zjesz chleb z masłem
i dżemem czereśniowym

Panie jesteś zmęczony
przyjdź do nas teraz
nie czekaj na Sąd Ostateczny
na którym nasze własne ciało
będzie świadczyć przeciwko nam
głowa powie „knułam intrygi"
oko powie „widziałem krew"
język powie „raniłem słowami"
ręka powie „kradłam"
noga powie „prowadziłam do złego".

Panie nawet jeślibyśmy zjedli
wszystkie czereśnie całego świata
i poznali wszystkie tajemnice
wszystkich czereśniowych sadów
bez Twojej miłości jesteśmy niczym
Bez ciebie słodycz czereśni
nie jest słodyczą
jedynie mokrym drewnem
rzuconym w ognisko,
które nie zapłonie płomieniem
a jedynie dym się uniesie
szczypiąc w oczy.

Panie miłość Twoja —
wiecznie kwitnące sady czereśniowe,
panna młoda w sukni płatków
czekająca na zaślubiny z armią pszczół.

SPOWIEDŹ CHULIGANA

Panie, prochem jestem marnym
którego stworzyłeś wedle swojej
woli i uznania,
któremu wlałeś do serca miłość i dobroć,
któremu zapomniałeś dać
ojczyznę niezależną. Panie jeśli myślisz
że nie kocham Ciebie
to się mylisz,
jeśli myślisz że w modlitwach
proszę ciebie o coś dla siebie,
to się mylisz,
jeśli myślisz
że duszę moją wypełnia nienawiść,
w żyłach pulsuje gorycz
a serce gorzkie jest jak piołun,
to się mylisz,
Panie ja wiem dla mnie świat stworzyłeś,
mężczyznę, kobietę
i węża oplatającego pień jabłoni
oko oceanu i brew kontynentów,
światło komnat królewskich
mrok cel więziennych
dla mnie zapalasz gwiazdy
na wieczornym niebie,
dla mnie stworzyłeś wiosnę,
ptaszki śpiewające pieśni
dawnych puszcz i pól,
złocisz lasy, srebrzysz jeziora.

Panie wybacz mi nie potrafię
chwalić cię
jak Dawid lub Salomon,
nie potrafię z taką siłą wierzyć w ciebie
jak bohaterzy
starego czy nowego testamentu
Panie jesteś srogim nauczycielem

od biologii
któremu nigdy nie przyjdzie do głowy
rzucić kamieniem za psem
lub kopnąć kota,
ale który bez litości ciągnie chłopców
za uszy, bije linijką
po dłoniach aż puchną.
Panie miej litość
zlituj się nade mną
ptakiem na którego zastawia się sidła
we własnym kraju jestem,

Panie zbliż się do mnie,
popatrz na me kajdany
uwolnij mnie, nie oddalaj się,
czy i ty obraziłeś się,
czemu się gniewasz...

Adam LIZAKOWSKI

Piotr MITZNER

JONASZ

Nie pamiętam już
jak się znalazłem
w brzuchu ryby
chyba po prostu
szedłem swoją drogą
brzegiem morza

Teraz przynajmniej
nie muszę wybierać
na lewo czy na prawo
teraz przynajmniej
nie utonę

Mogę jednak sprawić
że niemy potwór
przemówi moim głosem
albo ja się nauczę
jego milczenia

Piotr MITZNER

Archiwum polityczne

Mit pomocy Zachodu a polskie realia

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dość powszechnie wierzono, że kraje dyplomatycznie nazywane „rozwijającymi się" mogą rozpocząć rzeczywisty rozwój gospodarczy przy pomocy Zachodu, przez napływ kapitału i nowych technologii. Mit „pomocy zagranicznej" był żywy zarówno w krajach zacofanych jak i rozwiniętych gospodarczo. Leżał on także u podstawy koncepcji ekonomicznych ekipy Gierka. Mimo upływu lat i zmiany sposobu myślenia w świecie o sprawach gospodarczych mit ten pozostał niestety nadal żywy w Polsce. Z pomocą Zachodu wiąże się tam nadal przesadne nadzieje i w niej widzi remedium na rozwiązanie kryzysu, w jakim nasz kraj się pogrążył. Chęć uzyskania nowych kredytów i inwestycji była swoistą *idée fixe* ekipy Jaruzelskiego i przyjęła ją poniekąd opozycja, czego rezultatem był „plan Wałęsy" z postulatem kredytów na sumę 10 miliardów dolarów. Co gorsza, oczekuje się w Polsce, że sumy te, które rzekomo mają rozwiązać nasze problemy, da się od rządów zachodnich uzyskać.

Rezultatem jest rozczarowanie, że sumy dotychczas zadeklarowane (Wielka Brytania — 40 mln dol.; USA — 100 mln dol.) są nieproporcjonalnie mniejsze. Można mieć nadzieję, że powierzenie koordynacji pomocy Zachodu Komisji Wspólnego Rynku zaowocuje dość znacznym zwiększeniem kredytów, uruchomieniem kredytowych dostaw artykułów żywnościowych na dogodnych warunkach, a także, iż spłata starych długów zostanie odsunięta na dalsze lata, co byłoby oczywiście bardzo ważne. Z dotychczasowych rozmów oficjalnych i prywatnych z ekspertami zachodnimi należy jednak wnosić, że w żadnym wypadku nie będą to sumy astronomiczne, idące w miliardy dolarów. Nie jest to rezultatem złej woli Zachodu, braku życzliwości dla Polski czy niedoceniania znaczenia procesów demokratyzacji w

naszym kraju. Po prostu myśli się już tutaj innymi kategoriami i eksperci zachodni nie wierzą, by nawet owe 10 mld dolarów, dane Polsce, tak jak kiedyś pożyczano je ekipie Gierka, mogło rzeczywiście coś zmienić. Udzielenie nowych kredytów prowadziłoby głównie do dalszego dramatycznego zadłużania Polski bez wielkich szans na poprawę jej wypłacalności. To prawda, że pomoc Zachodu może na jakiś czas nieco poprawić zaopatrzenie rynku, może rozluźnić na kilka lat pętlę zadłużenia, ale bez zmian strukturalnych i bez zmian sposobu działania i myślenia o sprawach gospodarczych znaleźlibyśmy się w sytuacji jeszcze gorszej niż obecna.

Doświadczenia z pomocą tak zwanym krajom rozwijającym się były bardzo pouczające dla ekspertów i polityków zachodnich, a jeszcze bardziej obserwowanie rozwoju gospodarczego krajów dysponujących ropą naftową, które po raptownym podniesieniu jej ceny w latach siedemdziesiątych uzyskały ogromne dochody. Otóż okazało się, że nawet dopływ corocznie dziesiątków miliardów dolarów nie powoduje automatycznie uformowania wydajnej struktury gospodarczej. Wręcz przeciwnie, w specyficzny sposób petryfikuje on stare struktury, prowadzi do totalnej korupcji grup rządzących i do monstrualnego marnotrawstwa. Im większe sumy wydawano, tym więcej potrzebowano, a unowocześnienie gospodarki czyniło niewielkie postępy. Najjaskrawszym przykładem jest Meksyk, który nie tylko wydał wszystkie dochody z ropy naftowej, ale jeszcze zapożyczył się na 100 miliardów dolarów. Biedne kraje Trzeciego Świata, które nie mają czym spłacać zaciągniętych pożyczek, gdyż nie zdołały stworzyć nowych mocy wytwórczych, znalazły się w sytuacji niewypłacalnych dłużników i teraz mogą tylko prosić o całkowite lub częściowe umorzenie ich długów. A dodać do tego należy, że ich sytuacja nie jest wcale tak bardzo odmienna od krajów „realnego socjalizmu". Wiele z nich uległo bowiem starym socjalistycznym mitom upaństwowienia gospodarki albo zapożyczało wręcz wzorce sowieckie, z kołchozami i jedyną partią włącznie. Natomiast kraje Azji Wschodniej, jak Korea Południowa, Tajwan, Malezja, które nie korzystały niemal z kredytów zagranicznych ani nie miały wielkich dochodów z ropy naftowej, osiągnęły zdumiewające sukcesy.

Doświadczenia z udzielaniem kredytów i sprzedawaniem licencji Polsce, Węgrom, Czechosłowacji czy Rumunii potwierdzały tę samą prawidłowość: problem kredytów sam w sobie nie jest sprawą decydującą ani nawet ważną. Zasadnicze znaczenie ma chłonność gospodarki na nowe inwestycje, umiejętność ich programowania, prowadzenia i spożytkowania. A to zależy od nawyków i umiejętności kadr kierowniczych, od regulacji prawnych, struktur instytucjonalnych, mentalności itp. Pasożytnicze grupy rządzące, które nie chcą ani nie umieją stworzyć wydajnych

struktur gospodarczych, tak samo strwonią miliony zakumulowane we własnym kraju, jak miliardy otrzymane zza granicy. Co gorsze, uniemożliwiają one na ogół samo powstanie wydajnych przedsiębiorstw gospodarczych i skutecznie utrudniają ich funkcjonowanie. Formuła użyta w Warszawie przez prezydenta Busha — pomóżcie sobie sami a wtedy i Ameryka wam pomoże — wyrasta z tych właśnie nowych przemyśleń i koncepcji. Do tego należy jeszcze dodać, że w ciągu ostatniej dekady dokonał się na Zachodzie dość radykalny odwrót od interwencjonizmu państwowego. Doświadczenia cudze i własne pokazały rządom, że przedsiębiorstwa państwowe, które wiedzą, iż ich deficyt pokryty zostanie z budżetu, pozostają wiecznie w stanie deficytu. Co więcej, narasta on, a nie maleje. To samo dotyczy przedsiębiorstw prywatnych subwencjonowanych z budżetu państwa. Biurokratyzacja zarządzania wiąże się ze szczególną nieodpowiedzialnością i zanikiem inicjatywy wśród menadżerów i pracowników. Dopiero przy zmianie postaw, przy zmuszaniu przedsiębiorstw do efektywnego gospodarowania, potrafią się one zdobyć na niezbędny wysiłek. Polityka prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych wiąże się z radykalną zmianą całej polityki gospodarczej na Zachodzie. Deficyty budżetów państwowych budzą tam coraz bardziej gwałtowne protesty ekspertów i parlamentów. W tej sytuacji oczekiwania, iż rządy zachodnie wyasygnują miliardy dolarów, aby pomóc Polsce, zaspokojone być nie mogą, gdyż są sprzeczne z obecną filozofią gospodarowania.

W dyskusjach toczących się w krajach Europy zachodniej wokół pomocy Polsce wskazuje się dość wyraźnie, że pomoc w sensie ścisłym, to jest w postaci darowizn — kredytów w zamian bezzwrotnych — lub transakcji na szczególnych, niehandlowych warunkach, może być udzielona, choć w ograniczonym zakresie, tylko dla chwilowego podratowania rynku, dla odsunięcia widma masowych zaburzeń społecznych. Może też ona dotyczyć tworzenia firm konsultingowych, kształcenia i dokształcania specjalistów, menadżerów, ekspertów bankowości, spraw podatkowych, regulacji prawnych itp., to jest służyć zbudowaniu efektywnych struktur gospodarczych. Dla zwiększenia zasobu walut wymienialnych mogą też być odłożone płatności lub zmienione ich warunki (np. może zostać dokonana konwersja, zaakceptowanie ich spłacenia częścią tytułów własności przedsiębiorstw państwowych, co prowadziłoby — rzecz jasna — także do nowych inwestycji modernizacyjnych uznanych za niezbędne przez zachodnich współwłaścicieli).

Natomiast nowe kredyty mogą być udzielone, nawet na szczególnie dogodnych warunkach, ale tak jak czyni to Bank Światowy, to jest na konkretne, dobrze przygotowane projekty, opracowane według standardów zachodnich, nadzorowane podczas ich realizacji. Głównym zaś źródłem dopływu kapitałów i

technologii muszą być inwestycje przedsiębiorstw, koncernów i korporacji (prywatnych i z udziałem kapitału państwowego), na warunkach handlowych. Znaczy to, że Polska musi im zapewnić odpowiednie warunki działania, aby opłacało się im podejmowanie inwestycji i stwarzanie spółek na rynku polskim bardziej, niż np. na brazylijskim czy tajlandzkim. Państwa i parlamenty mogą tworzyć pewne systemy preferencji celnych, udzielać gwarancji itp. ale nie będą zastępować takich inwestorów.

Na podstawie moich własnych doświadczeń z wielkimi korporacjami włoskimi mogę stwierdzić, że nie zawsze kierują się one tylko kryterium zysku finansowego w krótkiej perspektywie. Uwzględniają także inne walory i korzyści trudno wymierzalne, profity z wejścia na nowe rynki itp. Mogą nawet akceptować inwestycje przynoszące mizerne zyski dla pewnych perspektywicznych przemian politycznych, które uznają za korzystne, jak postępy odprężenia, postępy demokratyzacji, a ich czołowi menadżerowie, myślący kategoriami politycznymi i społecznymi, mogą nawet mieć bardzo dużo ludzkiej sympatii dla Polski, chcieć jej pomóc wyzwolić się z pojałtańskiego podziału Europy i systemu totalitarnego. Nawet jednak najżyczliwszy nam wielki menadżer nie zaakceptuje projektu inwestycyjnego napisanego marnie, w którym brak podstawowych informacji, także dotyczących możliwości jego spłacenia. Projekt taki musi być nadto napisany porządnie, w obcym języku i na dobrej maszynie. Wysyłający powinien mieć telefaks albo choćby teleks i być przygotowany na to, że w wypadku wstępnej akceptacji otrzyma wiele dodatkowych pytań, na które odpowiedzieć musi niemal natychmiast. Co więcej, ludzie działający w gospodarce efektywnej nie są w stanie pojąć lekceważenia czasu, a więc oczekują, że niezbędne uzgodnienia będą dokonane w ciągu kilku dni, a nie miesięcy. Chcą mieć także indywidualnego, wiarygodnego partnera. Są to wszystko wymagania elementarne, o których nie warto by nawet pisać, gdybym nie wiedział, na podstawie własnych doświadczeń, jak często są one zaskakujące dla partnerów polskich.

Z dotychczasowych moich doświadczeń przy organizacji pomocy gospodarczej Polsce wynika, iż znacznie łatwiej jest znaleźć na Zachodzie wielkie korporacje chcące podjąć inwestycje w naszym kraju, niż uzyskać stamtąd dobre projekty. Wydaje się więc, że eksperci działający w kraju powinni skoncentrować swoje wysiłki nie na poszukiwaniu zachodnich kredytów (z ogólnikowym tylko wskazaniem na ich przeznaczenie), ale na przygotowaniu konkretnych projektów inwestycyjnych czy modernizacyjnych, gdyż mając je, kredyty się znajdzie. Należy też pamiętać, że według nowej filozofii gospodarowania ważniejszy jest czynnik ludzki, że zatem stosunkowo łatwo uzyskać możemy pomoc w postaci kształcenia specjalistów i dokształcania

ekspertów, w organizowaniu im staży, konsultacji i pomocy specjalistów zachodnich.

Trzeba też pamiętać, że na Zachodzie budowanie zakładów od podstaw, w szczerym polu, należy do rzadkości. Zwykle wykorzystuje się lub modernizuje już istniejące zakłady. Wsadzanie pieniędzy w mury i wykopy nie tylko podraża inwestycje, ale także niepomiernie je wydłuża. Wystąpienie do rządu zachodniego o kredyt miliardowy nie wiadomo na co, bez precyzyjnych wyliczeń, terminów itp., jest nie tylko skierowane teraz do niewłaściwego adresata, ale także jest błędem w sztuce. Można go popełnić tylko raz, nie więcej. Jeśli czas będzie upływał, a po pierwszym zupełnie utopijnym i niewłaściwie przygotowanym projekcie pomocy zagranicznej będzie przedstawiony następny, nielepszej jakości, dojdzie do skompromitowania polskich ekspertów i do całkowitego zniechęcenia partnerów zachodnich. Jeśli rząd nie był dotychczas w stanie przygotować i przeprowadzić rozsądnego programu reform, musi to zrobić opozycja, która zyskała teraz możliwości bezpośredniego współkształtowania polityki państwa. A obok wielkiej wizji reform trzeba też pamiętać o problemach wycinkowych, jak nieszczęsny papier toaletowy, problem mleka, opakowań itp.

Należy także uwzględnić, że czas pracuje raczej na naszą niekorzyść. Psychologiczny efekt zafascynowania Polską, po wyborach wygranych przez opozycję, będzie szybko zanikał. Za trzy miesiące będzie dużo trudniej rozmawiać niż dziś, a za pół roku sprawę Polski przesłonią inne kraje i wydarzenia. Gdy wygrało się bitwę, wszelkie negocjacje wykorzystujące ją, tak z przeciwnikami jak z sojusznikami, zaczyna się natychmiast. Zwracanie się do nich po latach i oczekiwanie zaspokojenia żądań byłoby po prostu śmieszne. A pamiętać też musimy o zadawnionych negatywnych stereotypach dotyczących Polaków, szczególnie zaś naszych umiejętności gospodarczych. Obecnie są one przytłumione i rzadko bywają przedstawiane wprost (patrz np. artykuł *Narcistic Poland Europe's Argentina* Thomasa H. Naylora w *International Herald Tribune* z 8 lipca 1989 i listy polemiczne ogłoszone w numerach następnych). Jednak z upływem czasu powrócą one z nową siłą, jeśli ograniczymy się do zadań nierealnych i lamentów, nie będąc w stanie wskazać naszym zachodnim przyjaciołom, czego od nich oczekujemy konkretnie, przedstawić projektów rozwiązujących jeden problem po drugim. Ponadto też musimy pamiętać o wpływie wydarzeń u naszego wschodniego sąsiada na sprawy polskie, a ściślej na ich percepcję na Zachodzie. Może on być dwojaki: w wypadku umocnienia się tam wpływów frakcji konserwatywnej zwiększą się obawy angażowania kapitałów w naszym kraju; jeśli zaś dojdzie do znacznego przyspieszenia tam tempa reform, jeśli Gorbaczow zdoła je przeforsować, uwaga i interesy Zachodu przesuną

się w kierunku Moskwy. Tylko w sytuacji takiej jak obecna, która przecież nie będzie trwać długo, Polska może liczyć na znaczne zaangażowanie rządów i kapitałów zachodnich.

W rozmowach delegacji polskich obecnie wojażujących po świecie dość często pojawia się teraz motyw: Polska jest na skraju przepaści, jeśli nam nie pomożecie, stoczymy się w nią, kraj pogrąży się w chaosie zaburzeń masowych, które sprowokować mogą interwencję Moskwy i załamią proces reform demokratycznych. Nawet jeśli jest to prawda, nie jest to argument zręczny. Z perspektywy zachodniego inwestora podstawowym kryterium przy podejmowaniu decyzji jest stabilność polityczna. Jeśli jakiemuś krajowi grozi destabilizacja, jeśli istnieje możliwość zamieszek i zmiany dość liberalnego reżimu na gorszy, w dodatku kontrolowany przez mocarstwo, z którym negocjacje nie są łatwe, to niestety będzie się on znacznie bardziej troszczył o bezpieczeństwo własnych kapitałów niż o los odległego narodu. Przedstawianie naszego kraju jako już zaraz mogącego pogrążyć się w nowym kryzysie może tylko spowodować zahamowanie kredytów. Taka jest brutalna prawda. Zupełnie inne efekty miałoby przedstawianie Polski jako kraju, który wypracował swój kompromis historyczny i nowy model stabilnego rozwoju, kraju, gdzie opozycja jest w stanie współpracować z rządem (znanym z braku sprawności ekonomicznej) i kontrolować jego posunięcia, by zapewnić tworzenie ram prawnych i instytucjonalnych dla przedsiębiorczości. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby opozycja mogła pilotować pewne projekty gospodarcze bezpośrednio, zademonstrować w dobrze opracowanych dokumentach ich realność i efektywność. W takim wypadku jej eksponenci wojażujący po Zachodzie mogliby liczyć na uzyskanie liczących się kredytów, nie danych, rzecz jasna, przez jednego dobrego wujaszka zza granicy, ale zebranych pracowicie milion po milionie od wielu różnych partnerów, mniejszych i większych, państwowych, półprywatnych i prywatnych.

Oczekiwanie rozwiązania naszych problemów przez obcy rząd jest w gruncie rzeczy projekcją dawnej komunistycznej wizji społeczeństwa, rezultatem „zniewolonego umysłu". Przedtem ubezwłasnowolnione społeczeństwo oczekiwało rozwiązania wszystkich swoich problemów przez pozornie wszechmocne KC i rząd, teraz zwraca się do przywódców bogatego Zachodu. Ten jednak odpowiada, nie zachowujcie się dłużej jak dzieci, sami rozwiązujcie swoje problemy, w tym nikt was nie może zastąpić, a my wam możemy w tym tylko pomóc i możemy was nauczyć, jak się to robi, jeśli przyjdziecie z konkretnymi pytaniami. Taki był przecież sens odpowiedzi Busha i z tego należy wyciągnąć odpowiednie wnioski, im szybciej, tym lepiej. To samo też można usłyszeć, choć nie zawsze w równie eleganckiej formie, od ekspertów zachodnich. Wielce znaczące było np.

porównanie Polaków przez Johna Sununu, szefa sztabu Białego Domu, do dzieci, które znalazły się w sklepie cukierniczym, wszystkiego by chciały, a nie wiedzą, jak na to zapracować. Takich reakcji nie możemy lekceważyć. Solidarność została mentalnie uformowana przez epokę stalinowską, co przejawia się także w nieporadności w podejściu do spraw gospodarczych (wytykał to od dawna Stefan Kisielewski). Trzeba jednak umieć wydobyć się z ram dawnych nawyków myślowych i nabrać nowych umiejętności.

Polska wkroczyła w nowy etap swych dziejów i obecnie opozycja współdecyduje o jej losie. Będzie ona za to nie tylko oceniona przez historię, ale całkiem niezadługo przez społeczeństwo. Sprawy gospodarcze i poprawa, choćby niewielka, albo jej brak, zadecydują o dalszym bycie Solidarności i wspierających ją sił politycznych. Wszystkie inne sprawy mają nieporównanie mniejsze znaczenie. Wydaje się zatem konieczne zasadnicze umocnienie i rozszerzenie grup ekspertów przygotowujących jej inicjatywy i projekty gospodarcze. Do tego niezbędne wydaje się przyciągnięcie Polaków mających praktyczne doświadczenia na Zachodzie lub mieszkających tam na stałe i szybkie dokształcanie specjalistów krajowych. Należy też przyciągnąć do współpracy ekspertów zachodnich, fundacje (np. z zaangażowaną w sprawy polskie Fundacją Sorosa w USA), wielkie korporacje, jak na przykład włoskie IRI, z bardzo bogatymi doświadczeniami w tej dziedzinie, które już zadeklarowało gotowość udzielenia takiej pomocy, itd. Bez tego nie da się w krótkim czasie przygotować nowych, jakościowo innych projektów reform i przedsięwzięć gospodarczych ani zainicjować nowego do nich podejścia. Eksperci-Polacy mieszkający za granicą także powinni odgrywać rolę znaczącą w nawiązywaniu nowych kontaktów gospodarczych i rozwijaniu już istniejących, gdyż jest do tego potrzebna taka znajomość spraw i ludzi, jakiej osoby stale mieszkające w kraju mieć po prostu nie mogą. W pracy nad reformą i nowymi inicjatywami, przy pomocy stażów na Zachodzie, mogłaby wyrosnąć nowa generacja ekonomistów i menadżerów, która mogłaby dalej prowadzić dzieło fundamentalnej przebudowy gospodarki polskiej. Jeśli nie zostaną natychmiast podjęte takie inicjatywy, kraj będzie nadal spełzał w pogłębiający się kryzys i niezadługo nadejść może dzień, w którym zawiedziony i rozwścieczony tłum zacznie na taczkach wywozić ze Zgromadzenia Narodowego tak partyjnych jak i opozycyjnych posłów i senatorów. Obym był fałszywym prorokiem!

Neapol, 23 lipca 1989 r. *Krzysztof GAWLIKOWSKI*

Widziane z Brukseli

ARKA BEZ NOEGO

Niedziela, 9 lipca 1989, godz. 6.30 rano. Silnik gra cicho, czarna limuzyna opuszcza pałac Rambouillet, nie zwracając niczyjej uwagi z wyjątkiem kilku agentów na służbie. Jacques Attali, najbliższy doradca prezydenta Mitterranda, spał tylko dwie godziny, ale postanowił odwiedzić słynny doroczny pchli targ w miejscowości Anet, oddalonej o 50 km. Szuka starych klepsydr, zegarów piaskowych. Jego kolekcja należy do nasłynniejszych na świecie. O godz. 10 był już z powrotem. Nie wiadomo, czy przywiózł z Anet coś ciekawego, ale 15 minut później w zegarach jego kolekcji piasek już się przesypał. Attali miał w kieszeni gotowy komunikat końcowy szczytu 7-miu najbardziej uprzemysłowionych krajów świata. W ten sposób szczyt siedmiu zakończył się w Rambouillet 9 lipca, prawie tydzień wcześniej niż się rozpoczął — 15 lipca, w Arce, ogromnej budowli w paryskiej dzielnicy Défense.

Co to jest szczyt siedmiu? Dokładnie nie wiadomo. Znacznie lepiej wiadomo, czym nie jest.

Po pierwsze nie jest prawdą, że szczyt trwał dwa dni, 14 i 15 lipca. Spotkanie „siedmiu" zaczęło się w istocie w Lascaux (tam gdzie obradowali już jaskiniowcy) w lutym 1989, przeniosło się w kwietniu na Antyle, potem w czerwcu do Evian i konsulatu francuskiego w Nowym Jorku i wreszcie dwa razy w lipcu do Rambouillet. Szczyt paryski poprzedziło pięć „mini-szczytów" przygotowawczych, w trakcie których doradcy prezydenta mozolnie poszukiwali możliwości kompromisu, ustalali najmniejszy wspólny mianownik we wszystkich sprawach, które znajdą się na wokandzie szefów.

Klub „szerpów"

Po drugie nie jest prawdą, że zasadniczą rolę w polityce światowej odgrywają prezydenci i premierzy wielkiej siódemki. To nie oni odwalili kolosalną robotę przygotowawczą, polityczną i intelektualną. To ich „szerpowie". Oficjalnie chodzi o „osobistych przedstawicieli szefów państwa i rządów". Nie mają oni legalnego istnienia, pracują w największym sekrecie, nie są

zapowiadane miejsca, daty i treść ich spotkań, ale stanowią najbardziej chyba wpływową grupę ludzi na świecie, tylko z wyjątkiem ich szefów. Grupie przewodzi zawsze przedstawiciel kraju-gospodarza.

Oni sami nazwali się „szerpami" (zabrakło mi tego w słowniku Kopalińskiego) od nepalskich tragarzy i przewodników, bez których nie byłoby możliwe ujarzmienie Himalajów i zdobycie Everestu. Porównanie nieskromne, ale trafne. Bez „szerpów" nie byłoby 15-tu już politycznych Everestów — od pierwszego, w tym samym właśnie pałacu Rambouillet w 1975 r. aż po paryską Arkę w 1989 r. Szerpowie: francuski Attali, amerykański McCormack, japoński Kunihiro, włoski Vattani, kanadyjski Taylor, angielski Wicks, niemiecki Tietmeyer i wspólnorynkowy Lamy, są naturalnie wspomagani przez ekspertów finansowych i innych, ale kiedy są sami, stanowią najbardziej snobistyczny klub niewielu osób wyrażających „świadomość świata", rozumiejących wymogi współzależności między krajami i kontynentami, węzły planetarnej władzy.

Mówiąc po prostu, jest to zamknięty zespół składający się z bardzo inteligentnych i kompetentnych ludzi, mających zaufanie swych szefów i dostęp do najlepszych informacji na świecie. No i wiedzących, jak i jaki z nich można zrobić użytek z korzyścią dla ich własnych krajów, ich szefów oddzielnie, i wszystkich razem naturalnie także.

Po trzecie nieprawdą jest, że szczyt odbywa się w siódemkę. Uczestniczą w nim — to prawda — przede wszystkim prezydenci lub szefowie rządów (zależnie od struktury władzy) siedmiu nie — jak to błędnie określa prasa — najbogatszych (bo sułtanat Brunei np. jest bogatszy), nie najbardziej uprzemysłowionych (bo Szwajcaria jest bardziej), ale chyba najsilniejszych (to znaczy wszystko razem) państw demokratycznego kapitalizmu. W Arce paryskiej zasiedli więc pani Thatcher (Anglia), Mitterrand (Francja), Bush (USA), Kohl (RFN), Uno (Japonia), de Mita (Włochy) i Mulroney (Kanada).

Oraz — i dlatego chodzi o szczyt nie „siedmiu", a „ośmiu" — dołączył do nich Jacques Delors, przewodniczący Komisji Wykonawczej EWG. No i niewiele brakowało, a szczyt siedmiu czyli ośmiu byłby się odbył w dziewiątkę. Zaproponował mianowicie swój udział Michaił Gorbaczow, który wystosował do zebranych uroczysty list na temat chęci Związku Sowieckiego uczestniczenia w międzynarodowym wysiłku naprawy świata...

Po czwarte nieprawdą jest, że szczyt ma służyć wyłącznie do dyskretnej wymiany myśli na najwyższym poziomie. Tak może było piętnaście szczytów temu. Kiedy w 1975 r. ówczesny prezydent Francji, Giscard d'Estaing, zaprosił wówczas tylko czterech panów, chodziło mu rzeczywiście o wymianę pomysłów.

Świat był na krawędzi katastrofy z powodu szoku i szantażu naftowego i trzeba było znaleźć sposób wyjścia z niewoli energetycznej, uniknięcia kryzysu w skali światowej. Znaleziono tak skutecznie, że w rok później, na drugim szczycie, zastanawiano się już jak zaradzić nadmiarowi nafty i powstrzymać spadek cen benzyny. Mniejsza o benzynę, i tak będzie droga, ważne, że był to okres kiedy rzeczywiście był kominek, dyskrecja, umiar i prawdziwa dyskusja, kiedy unikano rozgłosu, prasowej reklamy, i kiedy dziennikarzy trzymali na odległość żandarmi z psami — na szczęście, na łańcuchu.

Wspominam o tym nie dlatego, abym pochwalał szczucie dziennikarzy psami nawet na łańcuchu (czasem zresztą żałuję), ale aby uwypuklić różnice między początkowym okresem szczytowej pruderii, a szczytowym rozpasaniem ostatnich lat, a zwłaszcza roku pańskiego 1989. 15-ty szczyt można było bez ryzyka przenieść do Hollywood, gdyby Kalifornia była wystarczająco bogata, aby sobie na takie fanaberie bezkarnie pozwolić. Prezydent Mitterrand widocznie może. Postanowił mianowicie przy okazji 15-tego szczytu „sprzedać" Francję światu i zarazem postawić sobie pomnik. Kilka pomników. *Non omnis moriar*, powiedział i tak skombinował szczyt, aby szefowie najbogatszych krajów świata zjechali się akurat w 200-ną rocznicę „sankiulotowej" rewolucji francuskiej i aby ok. 40-tu specjalnie zaproszonych szefów państw trzeciego świata zebrało się w 200-ną rocznicę proklamacji karty praw człowieka, które dziś ciągle jeszcze są w ich krajach całkowicie i regularnie gwałcone.

Szefowie bogaci i biedni jadali oddzielnie, ale wszyscy razem uczestniczyli w inauguracji nowoczesnej piramidy w prastarym Luwrze i nowej opery na placu starej Bastylii, chociaż dla większości ich narodów problem ciągle jeszcze polega na nauce nie śpiewu i nie baletu (poza dyplomatycznym), a czytania i pisania.

Przesadna skromność

Po piąte nie jest prawdą, że chodzi o skromną wymianę poglądów bez żadnych ambicji do narzucania ich komukolwiek innemu. To przesadna skromność. Przepraszam moich czytelników, ale nie obejdzie się bez kilku liczb. Sześciu zebranych panów i jedna pani (ósmego, Delorsa, pomijam na razie, bo jest i tak częściowo wliczony do siódemki) stanowią tylko 12% ludności świata (622 miliony na 5 miliardów), ale reprezentują nie mniej niż dwie trzecie wszystkich dóbr wyprodukowanych na świecie.

Jeżeli uwzględnić PIB czyli wewnętrzny produkt brutto, to znaczy całość dóbr i usług wytworzonych przez poszczególne kraje, to siódemka zebrana pod łukiem Arki w Paryżu zajmuje

siedem pierwszych miejsc, nie biorąc pod uwagę Związku Sowieckiego. Fachowcy uważają, że ZSSR zajmowałby na tej liście miejsce trzecie, ale naturalnie — z uwagi na jakość statystyk sowieckich — nie można tego dokładnie obliczyć. W 1986-tym roku, według źródeł bankowych, siódemka wyprodukowała 65% światowego PIB. Dla porównania chciałbym powiedzieć, że reszta BIP dzieli się między pozostałe kraje uprzemysłowione (Szwecja, Szwajcaria, itp) — 10,7%, całość krajów Trzeciego Świata — 16,5%, no i rzekomo uprzemysłowione kraje realnego socjalizmu w Europie Wschodniej — 8,5%.

Jeszcze chciałbym dodać, że USA — to nie niespodzianka — są najbogatszym krajem świata: ich PIB wynosi ok. 5,5 tryliona dolarów rocznie. Potem idą dwa kraje, które przegrały II wojnę światową, to znaczy Japonia i Niemcy Zachodnie, potem Francja, Włochy (też przegrały wojnę), a potem już zwycięzcy, choć biedniejsi: Wielka (coraz mniejsza) Brytania i Kanada.

Do tego remanentu należy w tym miejscu dopisać Europejską Wspólnotę Gospodarczą, czyli EWG. 12 jej członków produkuje mniej więcej tyle co USA (kilkaset głupich miliardów różnicy), ale trzeba uczciwie natychmiast sprecyzować, że najbogatsze kraje wspólnoty już raz figurują w statystyce globalnej.

Trzeba też powiedzieć, że statystyki globalne nie oddają wiernie obrazu bogactwa i poziomu życia obywateli. W przeliczeniu na tzw. głowę mieszkańca supremacja „siedmiu-ośmiu" jest mniej ewidentna. Na listę ludzi dobrze żyjących wpisują się bowiem i sułtan Brunei, i król Arabii saudyjskiej a także obywatele Szwajcarii i krajów skandynawskich. Ale i na liście „na głowę" Stany Zjednoczone są na pierwszym miejscu, Kanada na drugim, i po tym w kolejności RFN, Japonia, Francja, Anglia i Włochy. No i żeby za bardzo nie męczyć, ale jednak przekonać mojego Czytelnika, że jest w dobrym towarzystwie, powiem, że siedmioro na szczycie załatwia 51% całego eksportu światowego i że na tej liście ZSSR nie jest w stanie wyprzedzić Włoch ani Kanady, nie mówiąc już o innych z tego grona.

Ten długi, nudny, ale pouczający wywód prowadzi do wniosku, że grupa siedmiu czyli ośmiu, to prawdziwy dyktatoriat świata. Wystarczy przejrzeć dokumenty opublikowane przez paryskie wydanie szczytu (proszę się nie martwić, zrobiłem to za was), aby przekonać się, że ambicje siódemki sięgają mocno poza fazę rozmyślań, niewinnej wymiany niewinnych idei.

Długa i zasadnicza deklaracja ekonomiczna, zapowiadająca, że spotkanie paryskie „otwiera nowy cykl szczytów", deklaracja polityczna, zawierająca listę pochwał, nagan, porad: Chiny są zganione, Jugosławia, Polska i Węgry — pochwalone, Gorbaczow potraktowany z sympatią choć bez zachwytu dla jego osiągnięć gospodarczych. Niczego chyba nie brak: jest i karta praw człowieka, i ekologia, i terroryzm, no i jest trzecio-

światowe zadłużenie, chociaż seria eksplozji społecznych, jakie ono powoduje, czyli główne zmartwienie bogatych, nie znajdowało się oficjalnie na wokandzie.

Wszystko więc jest, ale prawdziwy szlagier jest gdzie indziej. Z całego paryskiego *happening*'u historia zanotuje przede wszystkim gwałtowne rozszerzenie się sfery zainteresowania i akcji super-bogatej siódemki w kierunku wschodnim, na kraje komunistyczne.

Drang nach Osten

Jak do tego doszło? Skąd takie olśnienie? Dlaczego Zachód, który wykazywał zawsze tyle respektu dla pojałtańskiego porządku w Europie, teraz nagle przejrzał i ujrzał?

Spróbujmy odpowiedzieć.

Przede wszystkim, nie nagle. Zaczęło się właściwie, aż wstyd przypominać, w Helsinkach w 1975 r. Wtedy, ale rozumieli to tylko najmądrzejsi, Zachodowi udało się w tzw. Akcie Końcowym z Helsinek w zamian za uznanie terytorialnego pojałtańskiego *status quo* w Europie przeszmuglować serię postanowień z zakresu praw człowieka, podłożyć coś w rodzaju bomby z opóźnionym zapłonem. Naturalnie, z wyjątkiem kilku śmieszków, nikt nie brał wtedy poważnie sowieckich ani wschodnioeuropejskich zobowiązań poszanowania praw jednostki ludzkiej i obywatelskiej. Tylko niewielu wierzyło wówczas, że ustalenia ludzkie z Helsinek dadzą o sobie znać któregoś dnia.

Dały. Bomba zaczęła wybuchać najpierw w Polsce, potem na Węgrzech, teraz, z daleka już słychać, także w ZSSR. Mniejsza o chronologię. Po 15-tu latach konwulsji polskich, po 5-ciu latach *pieriestrojki* i *głasnosti*, kiedy władze na Wschodzie doszły już do wniosku, że komunizmu, nomenklatury i sowietyzmu nie da się uratować według stalinowskiego modelu, przy użyciu wyłącznie bagnetów, gułagu i strachu, że mimo wszystko i z niesmakiem, ale jednak trzeba uznać rolę człowieka i jego pragnień w historii, gospodarce i polityce, że nie obejdzie się bez wpuszczenia Sacharowa do Najwyższego Sowietu i Solidarności do Sejmu, kiedy Kreml zrozumiał, że niewolnicy mogą budować piramidy, ale do skonstruowania komputera trzeba człowieka wolnego, wtedy Zachód zrozumiał, że otwiera się nowa, wielka szansa.

Zachód był niewidzialny w obliczu tragedii węgierskiej w 1956 roku, obojętny wobec dramatu czechosłowackiego w 1968 roku, cyniczny (poza Reaganem) w polskim grudniu 1981 r. Teraz, w latach 1988-89, coś zadrgało w sercach, mózgach i, nieśmiało, w portfelach stolic zachodnich.

Pod tym względem specjalna i oddzielna (to już wielka nowość) deklaracja szczytu paryskiego na temat stosunków Wschód-Zachód jest tylko delikatnym podsumowaniem kalkulacji i spekulacji myślowych, toczących się od dawna w ich sztabach. Trudno cytować całość, nie ma tam, poza samym faktem, wiele (*if any*) nowego.

W ośmiu punktach deklaracja potwierdza przywiązanie siedmiu-ośmiu do wolności, demokracji i praw człowieka, stwierdza, że ujawniły się podobne aspiracje w Europie Wschodniej, wyraża nadzieję, że procesy demokratyzacyjne będą trwać nadal, wzywa rząd sowiecki do potwierdzenia czynem (rozbrojenie) swych słownych obietnic, stwierdza gotowość do współpracy gospodarczej opartej o zdrowe zasady handlowe i wreszcie, deklaruje chęć udzielenia pomocy ekonomicznej, (wszyscy razem i oddzielnie, ale także na szczeblu właściwych instytucji międzynarodowych, np. Klub Paryski, grupujący wierzycieli Polski), w tym także, co jest specjalnie podkreślone, szybkiej pomocy żywnościowej dla Polski, niezbędnej dla utrzymania dynamiki reformatorskiej.

Mówiąc krócej i jędrniej, bez dyplomatycznych zygzaków i ozdobników, przywódcy świata zachodniego (zachowując naturalne niuanse) doszli do wniosku, że świat komunistyczny wszedł w fazę agonii ideologicznej i katastrofy gospodarczej (najdalej w tej analizie poszedł Brzeziński w swej ostatniej książce, z której *Kultura* drukowała już fragmenty). Jeżeli jednak Polską w roku 1989 roku może rządzić triumwirat z grudnia 1981 roku, to znaczy że mimo agonii ideologicznej i katastrofy gospodarczej kraj ten nie wszedł jeszcze w fazę rozpadu systemu. Siódemka postanowiła w tym rozpadzie dyskretnie uczestniczyć, pomóc w jego przyspieszeniu, ułatwić, bez gwałtu, emancypację polskiej (i węgierskiej) prowincji imperium sowieckiego, wpływając na pogłębienie różnic gospodarczych, ustrojowych, systemowych, filozoficzych i instytucjonalnych.

To naturalnie musi kosztować. Zachód na razie nie chce — i nie byłoby to możliwe (a szkoda) — po prostu wykupić Polski i Węgier od Moskwy. Gorbaczow zresztą na razie nie sprzedaje. Ale Zachód gotów jest tym krajom pomagać wyjść z kryzysu, to znaczy uczynić to, do czego sam ZSSR nie jest zdolny. Gorbaczow jest skłonny, jego własna sytuacja go do tego zmusza, taki proces tolerować, mimo, że wszystkie inwestycje gospodarcze Zachodu zależą od inwestycji politycznych Wschodu: „więcej kredytów w zamian za więcej demokracji", taka jest praktyczna, choć brutalnie jasna konkluzja długich i zawiłych deklaracji siódemki w Paryżu.

Kapitalistyczny i demokratyczny Zachód znalazł się w nowej sytuacji: może, albo i musi, stać się arbitrem stylu, zasięgu i tempa reform w Polsce i na Węgrzech, to znaczy uczestniczyć w wychodzeniu dwóch sojuszników ZSSR z dyktatury komunistycznej ku czemuś innemu. Niektórzy już wiedzą, że to coś innego będzie demokracją parlamentarną, moim zdaniem jest jeszcze za wcześnie, aby to coś innego dokładnie definiować.

Widmo destabilizacji krąży nad Europą

Do uczestnictwa Zachodu w tym procesie doszło na potrójnej zasadzie: nieukrywanej sympatii, wykalkulowanego ryzyka i ograniczonych kosztów. I wprowadzenia do gry nowego w tej orkiestrze instrumentu, obliczonego właśnie na wyjątkowe koncerty. Grać mianowicie zaczęła Komisja Wykonawcza EWG w Brukseli.

Przyjrzyjmy się po kolei tym wszystkim elementom.

1) Co do sympatii, sprawa jest jasna. Polaków, Węgrów, Czechów, Rumunów, Bałtów (niepotrzebne skreślić), bardzo lubią na świecie, kiedy sprawiają kłopoty Sowietom, osłabiają imperium, rozsadzają je od wewnątrz, zmieniają na korzyść demokracji układ sił na świecie, to wszystko bez pośredniego zaangażowania zachodnich imperialistów.

2) Na tym właśnie polega wykalkulowane ryzyko. Wszystko należy tak organizować, aby osłabiać blok komunistyczny, usamodzielniać satelitów, ale nie drażnić Sowietów. Nie jest to operacja łatwa, ani prosta. Trzeba uważać na zakrętach, trzeba przede wszystkim bać się tzw. destabilizacji, to znaczy dwojakiej w zasadzie sytuacji.

Pierwsza to taka, w której Polacy, zdenerwowani faktem, iż profesor uniwersytetu zarabia 15 dolarów miesięcznie, albo że średnia płaca wystarczy na zakupienie 20 kg wołowiny (mogę się mylić, nikt nie wie, ile może kosztować mięso za sześć tygodni, to znaczy po upływie czasu, jaki dzieli chwilę pisania tych słów od ich wydrukowania), w wyniku czego dojdzie do strajków, a może i do „wydarzeń" jak w 56, 70 czy 80 roku w Poznaniu i Gdańsku. Politycy wszak pamiętają, że wszystkie polskie rewolty wybuchały w związku z ceną mięsa. To, naturalnie, pozór, przyczyny są zawsze głębsze, ale to tkwi w pamięci.

Drugi typ sytuacji to taka, w której destabilizacja rodzi się w wyniku „nieodpowiedzialnych" (do niedawna był to ulubiony termin tylko komunistów, teraz także kapitalistów) aktów np. polskiej młodzieży, manifestującej w Krakowie przeciwko stacjonowaniu sowieckich wojsk pod Legnicą.

Obie takie „destabilizacje" niosą ze sobą, jak sądzą stratedzy na Zachodzie, ryzyko interwencji typu chińskiego, sowieckiego czy polskiego (model 1981), a co za tym idzie ryzyko zakłócenia *détente* w ogóle, a stosunków sowiecko-amerykańskich w szczególe.

3) Trzeba więc destabilizacji unikać. Nie może, naturalnie, obejść się bez pewnych kosztów. Politycznych i finansowych. Należy starać się nie dopuścić do sytuacji, w której taka delikatna operacja byłaby zagrożona z powodu nadmiernych apetytów politycznych, np. idei powierzenia prezydentury republiki Lechowi Wałęsie, lub apetytów *tout court*, to znaczy zamieszek na tle głodowym.

Dlatego, w płaszczyźnie politycznej, byliśmy świadkami tak dziwnego zjawiska jak mocne poparcie udzielone przez połączone siły Zachodu, reprezentowane tu przez panią Thatcher oraz panów Busha i Mitterranda, nie Lechowi Wałęsie, jedynemu kandydatowi uprawnionemu do objęcia prezydentury w świetle wyborów, a generałowi Jaruzelskiemu, „odważnemu patriocie" i „odpowiedzialnemu politykowi", uważanemu za czynnik „stabilizacji" (w optyce Kremla), chociaż na Zachodzie, klęska wyborcza taka, jaką poniosła w Polsce partia generała Jaruzelskiego, oznaczałaby jego własne przejście na emeryturę i trwałe wycofanie się jego partii z rządzenia krajem.

Zachód uważa, że ma swoje racje. Przyznał Jaruzelskiemu coś w rodzaju domniemania niewinności. Postawił na Jaruzelskiego nie MIMO jego roli w niszczeniu Polski, a Z POWODU tej roli. Uważają tutaj, że Jaruzelski tak dobrze zna mechanizm niszczenia i marnowania majątku narodowego, że będzie mu łatwiej niż innym wykazać elastyczność, antydogmatyzm i pragmatyzm.

Zachód stawia na Jaruzelskiego nie MIMO tego, że był autorem zamachu z 13 grudnia, a właśnie DLATEGO. On powinien wiedzieć najlepiej, że taki zamach do niczego nie prowadzi. Ponieważ, jak się tu rozumuje, Jaruzelski był wśród twórców i zarządców modelu ustrojowego, który doprowadził Polskę do historycznej ruiny, to on powinien najlepiej wiedzieć, że dla Polski nie ma innego ratunku jak tylko w demokracji, że każda inna droga prowadzi do gwałtu, klęski i nieszczęścia. Zachód wreszcie ma nadzieję, że ten „oficer sowiecki w polskim mundurze", jak go kiedyś określił amerykański minister obrony, postanowił właśnie udowodnić, że tak nie jest. I że Moskwa jemu właśnie na to wszystko pozwoli.

Takiej koncepcji politycznej odpowiada naturalnie scenariusz gospodarczy. Jesteśmy więc świadkami mobilizacji połączonych sił i zasobów zachodniego świata — a w tym najbogatszej na świecie siódemki-ósemki. Powiedzmy od razu, że widoczny i wymierny wynik tej mobilizacji nie odpowiada ani możliwościom Zachodu, ani nadziejom Polaków. Nie mówiąc już o ich potrzebach. Nikt rozumny nie powinien był zresztą spodziewać się niczego innego. Tym bardziej więc, zanim przejdę do rzeczy, chcę powiedzieć, że w niektórych momentach starania Polski o pomoc zachodnią przypominały — w

najlepszym razie — opowieści o Alicji w krainie czarów, a w najgorszym — po prostu żebractwo. Do czegoż innego odnieść można fakt, iż memorandum Jaruzelskiego nadesłane do Brukseli dla użytku narady EWG w sprawie pomocy dla Polski opiewało na 3 miliardy dolarów i na 2 lata, a pomoc na tej naradzie przyznana nie sięgała powyżej 8,5% tej sumy. Nawet jeżeli dojdą nowe obietnice, to i tak rzeczywistość będzie niewspółmierna do zamówienia.

Bez fantazji

Znamy już więc filozofię pomocy Zachodu. Ma ona także swoją metodologię. Można ją ująć w kilku punktach w następujący sposób:

a) Z wyjątkiem szybkich dostaw żywności (ok. 200 milionów dolarów przez najbliższe dwa lata), pomoc zachodnia (obietnice Mitterranda i Busha, rozłożenie spłaty kredytów i nowe kredyty) będzie stopniowa, krok po kroku, w miarę widocznego postępu reformy politycznej. Inaczej mówiąc, odmiennie niż w latach 70-tych, pomoc zachodnia nie powinna umacniać schematów gospodarki uspołecznionej i wzbogacać związanej z nią klasy społecznej, czyli nomenklatury, a wprost przeciwnie — dynamizować zmiany, likwidować biurokrację, tworzyć klasę menadżerów.

b) pomoc będzie pozbawiona wszelkich fantazji, będzie przeznaczona na konkretne cele, przede wszystkim związane z dynamizowaniem mechanizmów rynkowych i przedsiębiorczości prywatnej. Chodzi o takie konkretne inwestycje, gdzie istnieje wysoka szansa sukcesu. Ma to być gwarancją, że nowe kredyty (a będą takie niedługo) nie zostaną tak zmarnowane jak w latach 70-tych. Podobnie, jak nie powinna zostać zmarnowana szansa, jaką będzie ułatwienie dostępu na rynki zachodnie dla polskich towarów, do tej pory prawie wykluczonych ze sklepów w Paryżu czy Brukseli.

c) rozmiar pomocy odpowiadać będzie wysiłkowi samych Polaków. Zachód mówi: „pomóż sobie sam, a my ci pomożemy". To znaczy, mówiąc po prostu, że Zachód spodziewa się, iż Polacy są gotowi i zgodzą się przejść bez konwulsji przez okres, stosunkowo długi, sporych trudności, wyrzeczeń i zaciskania pasa. Już dziś widać, jak się „urynkowienie" odbija na cenach. A co będzie po definitywnym zlikwidowaniu subwencji? Czy państwo wiedzą, co to jest konflikt między miastem a wsią? Po 45 latach socjalizmu?

d) całość operacji podlegać będzie ostrej kontroli. Nie wiadomo jeszcze, w jaki sposób będzie ona sprawowana. Ale można się domyślać, że jeżeli „management" będzie rządowy, to jakieś

ciało społeczne będzie się temu przyglądać. I odwrotnie. Ma dojść do utworzenia specjalnej „super-komisji" sejmowej do spraw reformy gospodarczej. Będzie to zapewne podstawowa formuła „koalicji *de facto*" partii i Solidarności. Sposób administrowania udziałem Zachodu w reformowaniu Polski będzie jednym z zasadniczych sprawdzianów operatywności i skuteczności działania tej „superkomisji".

Trzecia strona Busha

Mandat Komisji EWG w organizowaniu pomocy dla Polski nie polega na organizowaniu dokarmiania Polaków. Jacques Delors, przewodniczący Komisji ma wielkie ambicje. Chciał zawsze rozszerzyć prerogatywy ponadpaństwowej Komisji na sferę polityczną. Otwarcie na Wschód to jego pierwsza wielka szansa. Nie chce jej zmarnować. „Nauczymy Polaków, jak funkcjonuje wolny rynek", powiedział Delors z nadmiernym zapewne optymizmem.

Bush nie bez kozery zgodził się bez oporu na powierzenie tej misji biurokratom z EWG. Z jednej strony jest to dowód na nieistnienie amerykańskiej hegemonii w polityce Zachodu. Z drugiej strony nakłada to na Europę Zachodnią także większe zobowiązania finansowe. Ale jest i trzecia strona. Otóż cała operacja jest częścią realizowania doktryny Busha. Ma to być jego odpowiedź na atrakcyjny propagandowo, ale pusty slogan Gorbaczowa.

Wspólnemu Domowi Europejskiemu, według Gorbaczowa, w którym obywatele prowincji wschodnich musieliby jednak nadal mieszkać według kwaterunku socjalistycznego i w socrealistycznych meblach, Bush przeciwstawia wizje Europy jednoczącej się, ponad murami berlińskimi i ponad jałtańskimi opadami, na zasadzie triumfu demokracji w tych prowincjach wschodnich, bez żadnego kwaterunku, tak aby każdy mógł się umeblować według własnego gustu. Operacja Polska-EWG ma przyczynić się do stworzenia możliwości takiego przemeblowania. Nie jestem jednak pewny, czy należy jej przypisywać takie aspiracje.

W każdym razie Gorbaczow zapowiedział, że postara się takie zamiary unieszkodliwić. Taki był właśnie *message* absolutnie zaskakującego i bardzo dziwnego listu prezydenta Związku Sowieckiego do 7-miu (plus 1) prezydentów zebranych w Arce w Paryżu. List był właściwie bez sensu, absolutnie surrealistyczny. Nie warto go nawet cytować, to co w nim jest, jest nieporozumieniem. Gorbaczow proponuje np. udział Moskwy w rozwiązaniu najbardziej palącego problemu współczesnej gospodarki, jakim jest zadłużenie Trzeciego Świata, choć ZSSR nie

tylko nie jest wierzycielem, ale sam właściwie kwalifikuje się do tej kategorii. Gorbaczow woła o wymianę technologiczną, choć wiadomo, że byłaby ona właściwie jednokierunkowa. Gorbaczow proponuje wreszcie włączenie *pieriestrojki* do ekonomicznego obiegu świata, choć ZSSR nie dysponuje żadnym „kluczem" do wejścia na te salony: nie ma wymienialnej waluty, nie ma prawdziwych cen, taryf itd., jast członkiem zbankrutowanego organizmu integracyjnego, to znaczy RWPG, hamującego, a nie dynamizującego współpracę z zagranicą.

Ale ja Gorbaczowa dobrze rozumiem. Jego polityczne intencje są jasne. „Nowe myślenie" dyplomatyczne zmusiło go do zapukania do drzwi Arki w Paryżu. Wszystko lepsze niż stanie za drzwiami. Jakiś typ, nawet niepoważny, inicjatywy w sferze gospodarczej powinien był uzupełnić wielkie plany Gorbaczowa w dziedzinie rozbrojenia politycznego i wojskowego. Dlatego nie mógł on pozostać na uboczu centralnego w świecie wydarzenia. Sowiecka super-potęga nie chciała się dać zepchąć bez walki na margines zachodniego procesu urządzania świata, a Gorbaczow, przyzwyczajony do monopolizowania ekranów telewizji, nie chciał pozwolić odebrać sobie roli pierwszego amanta. List miał „ściągnąć kołdrę" na Gorbaczowa i pokazać go, choćby pośrednio, w najelegantszym towarzystwie świata. Gorbaczow dumnie wystąpił jako partner, a nie jako petent. W oczach Zachodu było to śmieszne, ale on myślał zapewne, że takie towarzystwo pozwoli mu nadrobić straty prestiżowe poniesione wśród strajkujących górników Kuzbasu lub mordowanych Turków w Uzbekistanie.

Pierwsza legalna ingerencja

Taka operacja się nie udała, list poszedł między bajki. Niezupełnie słusznie. Ważne jest bowiem nie to, co w liście było, a to, co z tego listu wynikało, choć napisane nie było. W istocie Gorbaczow chciał przypomnieć, że „nic o nas bez nas" w odniesieniu przede wszystkim do intencji siedmiu wobec ewolucji Europy Wschodniej. Było to, z punktu widzenia Kremla, tym bardziej niezbędne, że szczyt paryski zebrał się natychmiast po triumfalnej podróży Busha do Polski i na Węgry, po której Zachód nie krył, że demokratyzacja Wschodu jest w jego optyce głównym wyzwaniem końca XX wieku.

Operacja EWG (plus USA)-Polska-Węgry to pierwsza legalna, czyli tolerowana oficjalnie przez Moskwę zwyczajna, a może nadzwyczajna ingerencja Zachodu w wewnętrzne sprawy dwóch krajów Europy wschodniej, członków Paktu Warszawskiego. Przy czym jest to taka ingerencja, w której nie można Zachodu

oskarżyć o egoizm materialny. Wszystkie kraje RWPG razem „konsumują" niecałe 7% handlu zagranicznego EWG, a i ten nikły procencik ma tendencję spadkową. Globalne zadłużenie wschodniej Europy wobec Zachodu sięga... 150 miliardów dolarów, bez większych szans na szybki początek ich spłaty. Operacja EWG-Polska ma więc charakter nie altruistyczny (nie przesadzajmy), a wyłącznie polityczny. List Gorbaczowa przypomina, że on o tym wie i że operacja ta odbywać się będzie pod okiem Moskwy.

Dwa fakty wyznaczyły ostatnio sens manewru. Po pierwsze, Gorbaczow wygłosił przemówienia w Bonn, Paryżu i Strasburgu, w których bez ogródek powiedział, że proces zbliżenia obu części Europy nie może się odbyć za cenę rezygnacji z ustroju socjalistycznego na Wschodzie. Wykładnię praktyczną przeprowadził — i to jest po drugie — generał Jaruzelski. Na pytanie posła Ślisza z Solidarności wiejskiej, dlaczego odmawia powierzenia misji premiera przedstawicielowi zwycięskiej wszak opozycji, generał wyjaśnił, że nie może tego uczynić, albowiem sąsiedzi Polski — NRD, Czechosłowacja i ZSSR (w tym właśnie porządku) — byliby niezadowoleni. Inaczej mówiąc, w niezależnej Polsce polski prezydent odmawia szefowi polskiej opozycji sformowania polskiego rządu po wyborach, w których naród polski udzielił niewątpliwego mandatu polskim politykom przeciwnym filozofii trzech wspomnianych sąsiadów.

Tego w liście Gorbaczowa do paryskiego szczytu nie ma, ale tylko to właśnie powinni sobie prezydenci zapamiętać. Asystują przy narodzinach doktryny Gorbaczowa. Nie zastępuje ona, a tylko kompletuje i unowocześnia doktrynę Breżniewa. Inaczej mówiąc, doktryna Breżniewa przestaje obowiązywać, jeżeli chodzi o wybór drogi do socjalizmu. Każda jest dobra, byle w nim zostać. Doktryna Breżniewa obowiązuje natomiast nadal, także pod Gorbaczowem, gdyby ktoś zechciał wejść na drogę nie DO, a OD socjalizmu.

Mitterrand jako gospodarz szczytu otrzymał misję zredagowania i wysłania odpowiedzi (już zapewne odpowiedział) na list Gorbaczowa: grzecznie ale chłodno, dziękujemy, poczekamy. Gdybym ja miał ten list napisać, to byłbym serdeczniejszy. Powiedziałbym, że chętnie powitamy *pieriestrojkę* w naszym towarzystwie, chętnie ją włączymy do akcji na naszym terenie, poniesiemy nawet pewne koszta, pod warunkiem jednak, że Gorbaczow najpierw udowodni jej przydatność i skuteczność w Kuzbasie, Donbasie, Turkmenii i Estonii. I w Polsce, jako że na fali *pieriestrojki* ma nastąpić to, co Michnik nazywa „destalinizacją" stosunków polsko-sowieckich.

No i na zakończenie. Z *Gazety Wyborczej* dowiedziałem się, że działa już w Polsce Towarzystwo Przyjaciół EWG. Jest to chyba pierwszy kraj na świecie, w którym takie towarzystwo powstało. Mówiąc jednak między nami, byłoby znacznie lepiej, gdyby to w Brukseli, w EWG, powstało Towarzystwo Przyjaciół Polski.

Prawdziwych...

Leopold UNGER

Pisane 6 sierpnia 1989

PS. Kilkadziesiąt chyba razy w tym artykule użyłem słowa i pojęcia „Zachód". Jest to naturalnie coś w rodzaju nadużycia semantycznego i intelektualnego, ale nie miałem wyboru. W istocie słowo to kryje sporą liczbę niuansów i różnic w wielu, czasem istotnych, szczegółach. Trudno przecież twierdzić, że nie ma różnic między Ostpolityką RFN a Francji czy USA. Są naturalnie, ale ich uwzględnienie nie było technicznie możliwe w artykule dziennikarskim przecież, a nie naukowym. Jestem jednak przekonany, że w odniesieniu do generalnych i zasadniczych tendencji demokratycznych państw Zachodu, mój semantyczny „reduktyzm" nie stanowi logicznego przestępstwa.

L.U.

O wielki program energetyczny

ROZMOWA Z BERNARDEM LAPONCHE*

Robert KACZMAREK: — *Pojęcie oszczędności energii wydaje się dziś naturalne i nie wymagające szczególnych teorii...*

Bernard LAPONCHE: — Równie oczywiste jest pojęcie spożycia, a przecież teorie konsumpcji mogą ujawniać bardzo złożone mechanizmy. Potrzeba głębokich studiów nad problemami oszczędności energii tłumaczy się natychmiastowymi korzyściami, jakie można tą drogą osiągnąć. Zwykle sądzi się, że w grę wchodzą ułamki mocy do uzyskania poprzez wprowadzenie

* Bernard Laponche: dyrektor International Conseil Energie w Paryżu, doradca francuskich i międzynarodowych organizacji w sprawach racjonalnej gospodarki energetycznej, b. dyrektor generalny francuskiej Agence pour la Maitrise de l'Energie.

norm energooszczędnych. Otóż, proszę Pana, chodzi o dziesięć procent, trzydzieści i więcej: spróbujmy to przeliczyć na wzrost poziomu konsumpcji, oszczędności budżetowe, zwolnione fundusze inwestycyjne...

R.K.: — *Oszczędności nie zawsze jednak uchodziły za warunek koniunktury.*

B.L.: — Momentem zwrotnym był kryzys naftowy lat siedemdziesiątych. W krajach uprzemysłowionych przekonano się, że gospodarka może się rozwijać normalnie — w tempie, powiedzmy, 2-3 procent rocznie — przy niezmienionym spożyciu energii na mieszkańca. Po prostu stale ulepsza się systemy i obyczaje konsumpcyjne...

R.K.: — *Sfera produkcji wydaje się Panu pod tym względem mniej interesująca?*

B.L.: — Wszyscy powołują się na produkcję, gdy mowa o oszczędzaniu energii. Oczywiście, że trzeba podporządkowywać procesy produkcyjne ostrym kryteriom oszczędnościowym. Moim zdaniem jednak za mało uwagi poświęca się potencjałowi ukrytemu w rozrzutnym spożyciu.

R.K.: — *A jednak w krajach Europy wschodniej największe marnotrawstwo występuje chyba w przemyśle.*

B.L.: — Oczywiście — mianowicie w spożyciu przemysłowym. Jeśli idzie o stosunki społeczne, to ma Pan zapewne wizję normalnego społeczeństwa. Trzeba się zatem przygotować na problemy związane z konsumpcją, by nie dać się przez nie zaskoczyć pewnego dnia: słabo izolowane lodówki, domy o przepuszczalnych elewacjach, które pompują ciepło w próżnię, samochody pożerające benzynę... Powiedziałbym nawet, że niski poziom wyjściowy spożycia sprzyja jego rozsądnemu wymiarowaniu na przyszłość. Lepiej dziś stawiać na wydajne lodówki niż za dziesięć lat stawiać nowe elektrownie.

R.K.: — *Jak to wygląda w kraju zamożnym, jakim jest Francja?*

B.L.: — Dla właściwej oceny procesów, zachodzących od kilkunastu lat w światowych układach energetycznych, konieczne jest posługiwanie się pojęciem intensywności energetycznej, to jest stosunkiem wartości pierwotnej energii spożytej w danym kraju do wartości produktu ogólnego brutto. Na Zachodzie w ciągu ostatnich 15-tu lat doszło do rozdzielenia dwóch wskaźników: wzrostu ekonomicznego i spożycia energii na mieszkańca. Za

cenę 100 mld FF na inwestycje w racjonalne użytkowanie energii Francja zaoszczędziła w latach 1974-1985 dwieście miliardów franków na imporcie paliw.

R.K.: — *Łącznie z oszczędnościami paliwowymi wynikającymi z rozwoju energetyki nuklearnej?*

B.L.: — Nie: chodzi o ogólny program oszczędności energii spożywanej we Francji, wprowadzany we wszystkich dziedzinach od roku 1974, daty utworzenia Agencji Kontroli Energii (Agence pour la Maitrise de l'Energie).

W pierwszym roku zaoszczędzono u nas 5 milionów ton równoważnych ropy, w dziesięć lat później — już 34 miliony ton. W roku 1990 oczekuje się zaoszczędzenia 65 milionów ton równoważnych, co przy cenie 20 dolarów za baryłkę odpowiada 10 miliardom dolarów... Rozkład oszczędności mogę podać na przykładzie roku 1982. Z trzydziestu milionów ton równoważnych ropy 16 zaoszczędzono w spożyciu indywidualnym i w usługach, 8 w przemyśle, 5 w transporcie, półtora na zmniejszeniu strat przed spożyciem.

R.K.: — *Inwestycje o jakich Pan wspomniał wymagają jednak kolosalnych kwot.*

B.L.: — Ocenia się, że dwie trzecie oszczędności wynikają z inwestycji — z tego połowa z inwestycji w nowe technologie. Ale jedna trzecia to wynik walki z rozrzutnością, sprawa rozsądnej struktury cen i dyscypliny... Na przykład obniżenie o jeden stopień Celsjusza temperatury w mieszkaniu pociąga zmniejszenie o 7% spożycia energii, uważny kierowca może zaoszczędzić kilkanaście procent benzyny. Aluminium odzyskane wymaga jedenaście razy mniej energii: inwestycje w takich wypadkach mogą się zwrócić bardzo szybko, ale potrzebne jest pewne współdziałanie społeczeństwa, na przykład żeby nie mieszać odpadów...

R.K.: — *Społeczny odruch oszczędzania można wywołać drogą mobilizacji politycznej wokół wielkiego programu, ale żeby odruch przeszedł w zwyczaj, musi się on opłacać. Tymczasem opłacalność jest kategorią względną, mającą swoje znaczenie w odniesieniu do całego sposobu życia. W Polsce nie brak kierowcom motywacji do oszczędzania benzyny — przede wszystkim brak samej benzyny — natomiast nie ma wydajnych samochodów, celowo zaprojektowanej sieci dróg, dobrych nawierzchni... W aktualnej sytuacji opłacalne jest jedynie pozostawienie samochodu na ulicy, bo nie da się powiedzieć „w garażu". Potrzebna jest wizja całościowa, bez której nie sposób podejmować decyzji szczegółowych, na przykład o*

inwestycjach samochodowych. Czy na Zachodzie wszędzie obserwuje się takie integralne tendencje oszczędnościowe?

B.L.: — Uderzający jest przykład Japonii, gdzie wzrostowi produktu ogólnego o 66% w ciągu ostatnich 15 lat towarzyszyła całkowita stabilizacja spożycia energii na mieszkańca. Poprzez przestawienie części przemysłu na produkcję o niskim spożyciu oraz zastosowanie nowoczesnych rozwiązań technologicznych, Japończycy zmniejszyli swój współczynnik intensywności energetycznej o 30%. Ich strategia zakłada wysiłek głęboko przemyślany i pełny: innowacje technologiczne, nowe, uzupełniające się źródła energii, wtórne jej wykorzystywanie dla kilku procesów produkcyjnych na raz, surowe normy rynkowe spożycia energii dla przedmiotów powszechnego użytku.

W Stanach Zjednoczonych oszczędności nie należą jeszcze do priorytetów, tym niemniej stanowią wyraźną tendencję gospodarczą od końca lat siedemdziesiątych. Do dziś poprawiły one współczynnik intensywności o 26%, przy wzroście produktu brutto o 42%. W dalszym ciągu możliwości USA są ogromne, bo spożycie na mieszkańca jest tam dwa razy większe niż w Europie zachodniej.

Ogólnie biorąc, to właśnie kraje europejskie przyczyniły się w największym stopniu do ograniczenia światowego spożycia energii. W 1986 roku Rada Ministrów Wspólnoty przyjęła plan dalszych oszczędności, jakie w ciągu 10 lat doprowadziłyby do zmniejszenia współczynnika intensywności energetycznej o 20%. Jeśli jednak poszczególne państwa Wspólnoty nie podejmą zdecydowanych działań to cel ten może zostać chybiony.

R.K.: — *Rządy w obawie przed bezrobociem nie uczynią niczego, co zahamowałoby wzrost gospodarczy i rozwój inwestycji. Oszczędność energii zatem nie musi być priorytetem, zwłaszcza że kurs ropy ustabilizował się na niskim poziomie. Czy oznacza to, że może istnieć zasadnicza sprzeczność pomiędzy wzrostem gospodarczym i oszczędnością energii?*

B.L.: — Oczywiście, że nie, wręcz przeciwnie. Ale doraźne powody polityczne mogą skłonić rządy do chwilowego odwrócenia uwagi od oszczędności energii. Na szczęście przeciwdziałać temu będzie nowy czynnik polityczny — ekologia. Nawet władze sprzyjające inwestycjom za wszelką cenę unikać będą konfliktu ekologicznego — a przecież wiadomo, że najmniej szkodzi środowisku ta energia, która została zaoszczędzona. We wszystkich krajach, także w Polsce, jak sądzę, nadzwyczaj korzystne jest łączenie tych dwóch spraw: racjonalnej gospodarki energetycznej — w tym także i rozsądnego inwestowania — i ochrony środowiska.

Innym czynnikiem trwale wpływającym na tendencje oszczędnościowe na Zachodzie są obyczaje konsumentów. Rynek nie przyjmie nowego towaru, jeśli nie wykaże się on niskim spożyciem energii.

Dla globalnego bilansu sytuacja w krajach uprzemysłowionych ma znaczenie podstawowe, bo z szesnastoma procentami ludności świata spożywają one 54% ogólnej energii (dane z roku 1987). Udział ich jest i pozostanie decydujący — mimo, że spożycie energii na mieszkańca od 1973 roku utrzymuje się tam na niezmiennym poziomie lub nawet maleje, natomiast zwiększa się w pozostałej części świata. W umownych jednostkach równoważnika tony ropy naftowej w USA spożycie na mieszkańca w 1973 roku wynosiło 8,4 tony, a w 1987 — 7,6 tony; w Japonii odpowiednio 3,1 i 3,2; w RFN 4,3 i 4,5; we Francji 3,5 i 3,7. W tym czasie spożycie na mieszkańca w ZSSR wzrosło z 3,5 tony do 4,8 tony. Jeszcze wymowniejsze są liczby dotyczące współczynnika intensywności energetycznej, ponieważ stanowi on syntezę wzrostu i wydajności gospodarowania. W Stanach zmalał on w omawianym okresie z 0,76 do 0,56, w Japonii z 0,46 do 0,32, w RFN z 0,54 do 0,43, we Francji z 0,47 do 0,40. W ZSSR wzrósł z 0,80 do 0,90.

W krajach komunistycznych duże spożycie energii wynika po części z warunków klimatycznych, ale głównymi czynnikami są marnotrawstwo i błędna strategia gospodarcza: struktura przemysłu i jego przestarzałość, niskie ceny energii i wynikające stąd rozrzutne obyczaje konsumentów, wreszcie polityczne i ideologiczne raczej niż rynkowe prawa rządzące produkcją i rozdziałem energii.

R.K.: — *W gospodarkach komunistycznych nadal surowce wtórne są tańsze od pierwotnych, nawet jeśli nie ustępują jakością. Ani nie opłaca się zbierać tego aluminium, bo cena skupu niska, ani odzyskiwać go do produkcji, ponieważ produkt końcowy na surowcach wtórnych będzie tańszy. W normalnej gospodarce taniość produktu to konieczność korzystna dla wytwórcy, w planowej — nie, ponieważ wynika stąd mniejszy przerób planu i niższe premie. Wybór procesów energochłonnych raczej niż energooszczędnych nie jest sprawą złej woli, lecz logiki centralnego planowania, które przeżywa drugą młodość poprzez mechanizmy kontroli: w Polsce będzie to regionalizacja w rolnictwie lub arbitraż w przyszłych sporach samorządowych. Oszczędności energetyczne dotąd nie staną się powszechnym sposobem gospodarowania, dokąd nie ulegnie całkowitej zmianie system cen i dokąd pojęcie zysku będzie mogło w jakiejś dziedzinie podlegać systematycznym interwencjom organu centralnego...*

B.L.: — Dla krajów Trzeciego Świata zwiększenie wydajności

procesów energochłonnych jest wręcz sprawą przeżycia. Niezwykłym przypadkiem jest Korea Południowa. Spożycie energii na mieszkańca pomiędzy 1973 a 1987 wzrosło tam ponad dwukrotnie, a współczynnik intensywności energetycznej zmalał z 0,37 do 0,36. W liczbach bezwzględnych oznacza to, że produkt brutto rośnie u nich zacznie szybciej, niż spożycie energii.

W większości krajów, także w ZSSR, zrozumiano, że rozwój gospodarki nie może się obejść bez poprawienia wydajności energetycznej — ale pozostaje tam jeszcze bardzo dużo do zrobienia...

R.K.: — *...żeby choć drgnęło...*

B.L.: — Właśnie. W Moskwie opublikowano długofalowe plany, które zakładają zmniejszenie intensywności energetycznej o 40% w ciągu 15-20 lat. Przypuszczam, że to jest nie do osiągnięcia.

R.K.: — *Dlaczego?*

B.L.: — Byłoby to więcej, niż gdziekolwiek na Zachodzie w ciągu ostatnich piętnastu latach, takiego spadku nie znajdzie Pan pomiędzy liczbami, jakie cytujemy powyżej.

R.K.: — *Zwłaszcza, że nie widać by się działo coś zasadniczo nowego w ZSSR, a skądinąd także i w Polsce, w systemie gospodarczym, w metodach planowania, w strukturze cen... Obejmując władzę Gorbaczow ogłosił plan redukcji spożycia energii, które na przykład w roku 1987 miało spaść o 1,8 %. W rzeczywistości wzrosło ono owego roku o blisko 1 %.*

B.L.: — Technologicznie zmniejszenie intensywności energetycznej w ZSSR o 40% jest możliwe, zważywszy wysokie jak dotąd marnotrawstwo. Ekonomicznie wyzwanie takie jest dla kraju bardzo interesujące...

R.K.: — *Zdaniem niektórych specjalistów przemysł surowców energetycznych w ZSSR w 50 % pracuje na siebie, to znaczy energia wydobytej ropy, gazu i węgla w połowie idzie na wyprodukowanie rur i urządzeń wydobywczych. Być może w Polsce nie jest tak źle, zważywszy, że wydobycie nie przesuwa się u nas do tak niedostępnych stref klimatycznych i geologicznych — ale to „ekonomicznie interesujące wyzwanie" jakim jest zasadnicza oszczędność energii, stanowi dla ZSSR chyba ostatnią szansę uniknięcia gigantycznej blokady całej gospodarki... Uwypukla to przy okazji współzależności energetyczne w ramach dzisiejszego imperium sowieckiego, jakie trzeba się starać obrócić na naszą korzyść. Nie chodzi więc o integrację programów oszczędnościowych, ale o wprowadzenie u nas ostrych norm i używanie ich jako czynnika gospodarczego o uniwersalnym zastosowaniu. Przypuszczam, że mógłby to być u nas jeden z wiarygodnych elementów ogólnego programu rygoru, jaki przyjdzie w końcu z narodem negocjować...*

B.L.: — Jak dotąd nic nie wskazuje na to, by Rosjanie mieli podołać organizacyjnie wielkiemu programowi oszczędności energetycznych. Tematem tym zajmują się u nich wszyscy i nikt zarazem, a przy tym nic nie ulega w gruncie rzeczy zmianie. Potrzebne jest drastyczne ograniczenie spożycia poprzez podniesienie wydajności energetycznej w produkcji i transporcie, poprawienie skuteczności ogrzewania, wytworzenie nowych obyczajów konsumpcyjnych. To oczywiście wymaga najgłębszych zmian systemu gospodarczego.

R.K.: — *Zacząć by zatem wypadało od ogólnego raportu na temat tego, co jest: oceny rozrzutności w przemyśle, transporcie, w spożyciu indywidualnym... Prześwietlenie całej gospodarki to wielka robota, ale w Polsce nadal jeszcze możliwa.*

B.L.: — Przeprowadzenie pełnej analizy wymagać będzie wysiłku wielu ludzi. Na razie problemem jest brak organizmu, którego zadaniem byłoby opracowanie programu racjonalnej gospodarki energetycznej. Trzeba więc zacząć od powołania na szczeblu rządowym takiej komórki, która rozpoczęłaby działalność od opracowania polityki inwentarza, o jakim Pan mówi, zalecając masowe badanie systemów energetycznych fabryk i urządzeń, a także rynkową ocenę spożycia indywidualnego. Do zadań takiej komórki należałoby następnie zaproponowanie środków zaradczych przy pełnej świadomości tego, co dzieje się w świecie, a z drugiej strony na co Polskę stać. Środki zaradcze dotyczyć będą zarówno sfery technologicznej, jak prawnej i handlowej. Przypuszczam, że przygotowany w ten sposób raport byłby dobrym materiałem do negocjowania pomocy zagranicznej...

R.K.: — *...w kilku obszarach tematycznych na raz: bilans energetyczny, ekologia, transfer technologii...*

B.L.: — Po opracowaniu programu w poszczególnych działach gospodarczych agencja, której utworzenie postulujemy, proponuje środki zaradcze dotyczące technologii, systemu cen, ustawodawstwa... Potem można przedstawić Komisji Europejskiej albo bezpośrednio rządom gotowy plan: oto mamy plan, chcemy współpracować z waszymi ekspertami, inżynierami, biurami studiów i wytwórcami, czy chcecie się w to zaangażować? Ale w program! Nie w moralne hasło!

R.K.: — *Propozycja dla zachodnich rządów musiałaby uwzględniać, choćby w części, ich interesy: rządy te mogą na przykład pokrywać koszty zatrudnienia własnych fachowców, angażować ułatwienia podatków na korzystne dla obu stron inwestycje...*

B.L.: — Mamy pewne doświadczenia w tworzeniu tego rodzaju programu. Trzeba, by ktoś się u was tym zajął: nawet, gdybyśmy stąd chcieli coś zrobić, nie wiadomo z kim w Polsce rozmawiać. W szeregu krajów Trzeciego Świata powołano ostatnio takie komórki o sporych kompetencjach: l'Agence pour la Maitrise de l'Energie w Tunezji, l'Agence pour la Rationalisation de l'Utilisation de l'Energie w Algerii, CENERGIA w Peru, KIER i KEMCO w Korei Południowej, ECCT w Tajlandii. Trzy tygodnie temu wróciłem z Kostaryki, gdzie pracowaliśmy nad utworzeniem i tam podobnej agencji.

Na początek wystarczy kilkanaście osób: ekonomiści, inżynierowie, specjaliści od finansów... Następnie niezbędne będą decyzje polityczne, które uruchomią analizę na wielką skalę, a potem wdrożenie środków zaradczych...

R.K.: — *Ma Pan na myśli umożliwienie tych wdrożeń przez mechanizmy rynkowe...*

B.L.: — Oczywiście, ale rynek, zwłaszcza w fazie początkowej, nie obejdzie się bez koordynacji politycznej, w danym przypadku — tak jak Pan mówi — wielkiego programu energetycznego. Na początku nie kosztuje to drogo. Kiedy się robi przegląd energetyczny fabryki, od razu widać, gdzie się marnuje energia. Zaradzenie oczywistemu marnotrawstwu nie wymaga zwykle nadzwyczajnych środków. Znam przypadki, gdzie drogą elementarnych zabiegów zmniejszono zużycie o 30, 40 i więcej procent.

R.K.: — *W fabrykach?*

B.L.: — W konkretnych fabrykach: w cementowniach, w hutach.

R.K.: — *W fabryce zysk może przyjść szybko, ale w odniesieniu do całej gospodarki te dziesiątki procentów o jakich Pan mówił na początku, rozłożyć się musi na 10-20 lat. Problem gospodarki polskiej to nie tylko przestawienie jej na działalność rynkową, to przede wszystkim — jak sądzę — zmiana jej modelu technologicznego. W przypadku energetyki chodzi o nadmierną zależność od węgla, którego wydobycie przekracza u nas wielkości krytyczne. Polski węgiel, niegdyś faworyt komunistów, jest dziś zmartwieniem całej gospodarki, która przy tym żyć bez niego nie może. Potrzebne są odważne rozwiązania w energetyce — tymczasem potężnieje u nas ruch przeciwko budzącej lęk i społeczną niechęć sowieckiej energetyce nuklearnej, władze Solidarności oczekują załatwienia problemu od komunistów, a komuniści nie kryją przywiązania do znanych sobie rozwiązań. Wygląda na to, że komunistów interesuje głównie utrzymanie lub nawet zwiększenie wydobycia, a Solidarność — ochrona warunków pracy, a więc w sumie zmniejszenie wydobycia...*

B.L.: — Pogodzić ich może ogólny plan rozsądnego wykorzystania węgla w gospodarce. Trzeba wprowadzać system mieszany produkcji elektryczności i ciepła, szczegółowo przeglądnąć bilans energetyczny całej gospodarki, zapoznać się ze stanem energetyki węglowej w świecie... Niedaleko od was Dania, która nie produkuje węgla, ma najlepsze na świecie elektrownie węglowe, bardzo wydajne, pracujące właśnie w systemie mieszanym i bardzo czyste. To samo Niemcy Zachodnie. Rozwijają się nowe technologie gazyfikacji i transportu... Węgiel jest głównym bogactwem Polski i ani można, ani trzeba go zarzucać, należy nim rozsądnie gospodarować. Zanim więc będziemy rozmawiać o utrzymaniu czy wręcz zwiększeniu wydobycia, porozmawiajmy o oszczędnościach... Węgiel to kolejna dziedzina, gdzie można szukać funduszów za Zachodzie, pod warunkiem, że zaproponuje się odważny i rozsądny program. Węgiel bynajmniej nie należy do przeszłości. W roku 2000 największa część energii, 28%, nadal będzie uzyskiwana z węgla.

Inna rzecz, że należy różnicować źródła energii. Wcale się nie dziwię oporowi w Polsce przeciwko elektrowniom nuklearnym. Ale jest jeszcze rosyjski gaz, podstawa technologii czystej i bardzo wydajnej. Jeśli istnieje obawa o zależność polityczną związaną z dostawami z ZSSR, to trzeba się starać umieścić nie na końcu rurociągu, lecz w punktach pośrednich. Takie przypadki znam gdzie indziej. Algeria dostarcza gaz dla Tunezji, ale Tunezja, zawsze pełna nieufności w stosunku do swego wielkiego sąsiada, zabiegała o podłączenie w środku gazoduktu Algeria — Włochy. Także Marokko jest zainteresowane algierskim gazem — ale w obawie przed zależnością polityczną stara się zainteresować Hiszpanię budową linii Algeria — Hiszpania, poprzez Marokko...

R.K.: — *Nie można jednak liczyć na zasadnicze zwiększenie podaży rosyjskiego gazu. Oni wydobywają go i za mało na swoje potrzeby, i znacznie ponad własne możliwości. Zatem nie zwiększenie dostaw, tylko skuteczniejsze wykorzystanie dostępnego dziś gazu...*

B.L.: — Uzupełniającym rozwiązaniem byłoby masowe wykorzystanie drewna. Przy racjonalnym wyrębie połączonym z

odpowiednim zalesieniem jest to znakomite źródło odnawialnej energii. Bioenergetyka dostarcza dziś we Francji 8 milionów ton równoważnych ropy. Istnieją u nas całe bloki mieszkalne ogrzewane z bardzo nowoczesnych kotłowni na drewno. Przy okazji aktywizuje to region. Plantacja 10 tys. hektarów pewnego rodzaju trzciny prowansalskiej, wycinana w rotacji pięcioletniej, pozwala utrzymać w ruchu elektrownię o wydajności 35 MW. Nie wiem, czy w Polsce możliwa jest uprawa tego rodzaju trzciny, ale na przykład w Finlandii, która ma przecież klimat znacznie ostrzejszy, bioenergetyka znajduje masowe zastosowanie.

W świecie rozwijane są zastosowania energii wiatru, słońca, wnętrza ziemi, w niektórych krajach na skalę przemysłową, np. w USA, Japonii, RFN, Francji...

R.K.: — *W Polsce liczy się już w tysiące małe, prywatne źródła energii...*

B.L.: — Układ: węgiel — energia wodna — gaz — drewno stanowi dobrą kombinację technologiczną dla Polski. Nowe źródła i nowe systemy wytwarzania energii to zajmujące i ważne tematy, ale problemem pierwszorzędnym jest opracowanie, a następnie rygorystyczne wdrożenie racjonalnej, to znaczy wydajnej i oszczędnej gospodarki tymi źródłami, które istnieją. W Polsce zużycie energii na mieszkańca jest wyższe, niż we Francji. Nawet jeśli klimat gra tu swoją rolę, jest nad czym pomyśleć...

Paryż, lipiec 1989

Robert KACZMAREK

Martwa wiza

Los Europy Środkowej każe trzymać pod ręką spakowane walizki, ponieważ człowiek zawsze gotów do pospiesznego wyjazdu lub przymusowej deportacji ma bilet w jedną stronę i paszport z martwą wizą, upoważniającą do jednorazowego przekroczenia granicy. Dobrze zna poczekalnie dworców kolejowych i samotność sali odlotów, gdy po oddaniu walizek przychodzi taka dziwna chwila, kiedy czujesz jakby nagle pozbawiono cię przeszłości, z którą wkrótce będziesz musiał pomieścić się w tanim pokoiku hotelowym, bo prędzej czy później odzyskasz ją jak zagubiony kwit bagażowy. Wyjazd nie jest katastrofą, zaś w pozostawaniu nie ma żadnego bohaterstwa. Nie wierzcie moralistom. Każdy ma prawo zrobić ze

swoją wolnością, co zechce. Oskarżanie emigrantów o ucieczkę lub dezercję to polska choroba psychiczna. Biblia uznaje tułaczkę za zwyczajną odmianę ludzkiego losu: „Tak mówi Pan Zastępów (...) Budujcie domy i zamieszkujcie je, zakładajcie ogrody i spożywajcie ich owoc (...) A starajcie się o pomyślność miasta, do którego skazałem was na wygnanie i módlcie się za nie do Pana". (Jer. 29, 4-7). Kraj, który szczodrze rozdaje biedę i reglamentuje swobody ma mniejsze prawo wytykania ludziom decyzji o wyjeździe. Zerwanie wymaga odwagi i wcale nie musi być przegraną, ponieważ w wielu przypadkach okazuje się szczególną odmianą daru, choć zdaje się, że tułacze bardziej boją się mijającego czasu. Być może dlatego ich pamięć zostaje nasycona szczegółami zmysłowych doznań, jakie daje obcowanie z ojczyzną z pewnego oddalenia. Nie ma w tym ani śladu konfliktu czy alienacji, ale pamięć płata figle. Najbardziej twórczy okazuje się efekt obcości. Nieprzypadkowo sławne dzieła literatury polskiej powstawały na wygnaniu. Utwory te są obrazoburczym połączeniem modlitwy z klątwą, co nadaje im znaczenie uniwersalne.

W 1927 roku Władimir Nabokow napisał następującą pochwałę emigracji: „Świętujemy dziesięć lat wolności. Takiej wolności, jaką znamy my, nie zaznał żaden być może naród. W tej szczególnej, niewidocznej Rosji, która nas otacza, karmi i podtrzymuje, ożywia dusze, upiększa sny — nie ma żadnej reguły prócz nakazu miłowania jej i żadnej władzy prócz naszego własnego sumienia (...) Kiedyś będziemy wdzięczni ślepej Klio za to, że pozwoliła nam zakosztować tej wolności i na wygnaniu przejmująco pojąć i przeżyć rodzinny kraj. (...) Nie ciskajmy więc gromów na wygnanie. Powtórzmy w te dni słowa antycznego wojownika, o którym pisze Plutarch: 'nocą, na pustynnych polach z dala od Rzymu rozbiłem namiot i mój namiot był mi Rzymem' ".

Wygnanie nie jest nieszczęściem. Istnieje naród, który do niedawna składał się wyłącznie z tułaczy. Milan Kundera przypisuje mu szczególne miejsce. „Naród żydowski jest mi drogi — pisze w jednym z esejów — dlatego, że moim zdaniem w jego losie koncentruje się, odbija i znajduje swój symboliczny obraz los środkowoeuropejski. Czym jest Europa Środkowa? — Leżącą między Niemcami a Rosją strefą małych narodów. Podkreślam słowa: mały naród. A kim są Żydzi, jeśli nie małym narodem *par excellence* — jedynym spośród wszystkich małych narodów, który przetrwał cesarstwa i niszczycielski marsz historii". Pomiędzy patetycznym oburzeniem dzisiejszych głupców a namiotem opisanym przez Plutarcha istnieje przepaść. Każdy sposób wydaje się dobry, dlatego ludzie potępiający pęd do emigracji lubią szantażować innych ojczyzną, a czynią to tak często, że przyczyniają się do pomniejszania wielkich słów. Według ich rozumowania ojczyzna to klatka, której swojskie pręty i kraty powinien lizać każdy. Przy takim rozumowaniu miłość ma być łańcuchem. Nikt nie zastanawia się, jak niewiele zostaje po takim przywiązaniu. Podobno uczniowie Pitagorasa zanim otrzymywali od mistrza prawo osądzania czynów i udzielania rad, musieli milczeć przez pięć lat, bo tyle trwała nauka pokory. Niektórzy z owych moralistów, różni „prawdziwi Polacy" i „szczerzy patrioci", są wysłannikami kraju podszytego strachem, niezdolnego

do podejmowania ryzyka, w którym proces utraty odwagi toczy się coraz szybciej. „Zawsze czuję potrzebę ucieczki", powiedział mi niedawno pewien malarz, którego obrazy przypominają mapy chromosomu Y, skopiowane z podręcznika medycyny. Skłonność do pustosłowia to przygnębiająca polska cecha. Polacy okazują się strasznym narodem, żyjącym w przeciągu historii, gdzie zamiast myślenia karierę robią inwektywy i obelgi, za pomocą których teraźniejszość podpisuje się pod przeszłością. Najbardziej przykra rzecz: słuchanie nadętych wypowiedzi hurrapatriotów. Miłość ojczyzny nie wymaga podniesionego głosu. Krzyki zagłuszają wyrzuty sumienia, ponieważ kategoryczne i nazbyt pewne siebie akty wiary wydają się podejrzane. Modlitwę *Confiteor* uważano za bezpośrednią rozmowę z Bogiem, dlatego w Średniowieczu zalecano, aby odmawiać ją szeptem.

Artur STANKIEWICZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □ PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Kraj

Trzy brzydkie choroby polskiej opozycji

Choroby, jak wiadomo, noszą nazwy obce, najczęściej łacińskiego pochodzenia. Który to obyczaj utrzymany został w niniejszym tekście.

Choroba pierwsza czyli komunionizm

Słowiańskimi odpowiednikami terminu komunionizm są: *sobornost'* i wspólnotowość. Komunionizm w życiu politycznym polskiej opozycji polega na niezwykle silnym, wewnętrznym przymusie bycia razem za niemal wszelką cenę. A w każdym razie za cenę tuszowania rozbieżności i co za tym idzie niepodejmowania konkretnych decyzji (bo te mogą być nieakceptowane przez wszystkich) oraz wyżywaniu się w gestach symbolicznych (bo te są na ogół powszechnie akceptowane). Komunionizm jest przeciwnikiem demokracji. Ta bowiem polega m.in. na jawności konfliktów oraz umiejętności znajdowania kompromisów, a także na prawie mniejszości do głoszenia niepopularnych w danym momencie poglądów. Komunionizm opiera się na przeświadczeniu, że ujawnione podziały uniemożliwiają, lub w każdym razie utrudniają porozumienie i ewentualne wspólne działania, i że wobec tego należy koniecznie zachować j e d n o ś ć. Tymczasem w polityce jest dokładnie na odwrót. O ile respektujemy demokratyczne reguły gry, łatwiej jest osiągnąć porozumienie gdy uznaje się istnienie rzeczywistych podziałów. W takiej bowiem sytuacji poszukuje się kompromisu w konkretnej sprawie, bez troski o zachowanie jedności w ogóle. Gdy natomiast chce się za wszelką cenę zachować jedność, wspólnotowość pozorną, wówczas najlepiej nie decydować o niczym. I jeśli można, zrzucić wszystko, co nieprzyjemne na barki charyzmatycznego przywódcy.

Czyli w praktyce na tych, którzy obwarowali się na pozycjach wokół takiego przywódcy.

Mogłoby się wydawać, że polityczny komunionizm opozycji związany jest z religijnością społeczeństwa polskiego. Byłoby to — moim zdaniem — mniemanie błędne. Do istoty religii należy wyraźne oddzielenie sfery *sacrum*. Wspólnotowe przeżycia i mniej lub bardziej zrytualizowane zachowania się w sferze *sacrum* z istoty swej nie dają się, bez chorobliwych zniekształceń, przenieść do sfery *profanum*, do której jednoznacznie należy polityka. Dlatego też skłonny jestem przypuszczać, że faktyczną szkołą komunionizmu opozycji jest kolejka przed sklepem. A raczej przenikająca socjalizm atmosfera kolejki. (Rzecz w tym, że opozycjoniści, a już szczególnie czołowi rzadko kiedy zajmują się zaopatrywaniem domu w co innego niż aura poświęcenia dla sprawy.) Związek fałszywej wspólnotowości z atmosferą kolejki polega na tym, że to właśnie w kolejce jesteśmy wszyscy razem, mamy wyraźny cel i z pozoru przynajmniej jesteśmy równi. W kolejce panuje wolność słowa, a ponieważ służy ona tu przede wszystkim ekspresji uczuć, przeto każda wypowiedź jest równie dobra. Jeśli mam rację, to komunionizm polskiej opozycji jest rezultatem czterdziestu lat sowietyzacji.

Przeciw powyższemu wysunąć można trzy — przynajmniej — zastrzeżenia: że nie jest to obraz prawdziwy; że dzięki komunionistycznym postawom społeczeństwo mogło przetrwać; że krytyka moja godzi w zasadniczą, a uwidocznioną w nazwie, ideę związku, który wszak jest stosem pacierzowym opozycji.

Obiekcja pierwsza powoływać się może na fakt istnienia partii i ugrupowań politycznych (liczne PPS, bodaj czy nie liczniejsze partie liberałów, WSN, grupa „Głosu" itd.), a przede wszystkim na to, że szanse uchwalenia czegokolwiek na dowolnym zebraniu politycznym są niewielkie, ponieważ na sali, co dyskutant, to inna propozycja. Otóż przykłady powyższe dowodzą prawdziwości mojej tezy o komunionizmie jako chorobie opozycji. Partie i ugrupowania polityczne nie rozwijają się, bo nikt się do nich nie zapisuje. A wstrzemięźliwość tę tłumaczy między innymi obawa przed wyłamaniem się z owej wspólnoty, jaką rzekomo tworzy opozycja. Nie jest natomiast prawdą, że na zebraniach politycznych czy ważnych zebraniach związkowych każdy mówi co innego. Praktyka jest taka, że w kółko mędli się dwie, trzy, maksimum cztery propozycje. A mędli się je bez końca po to, by być razem i zachować jedność. Stąd niechęć do głosowania i skrajny tej niechęci rezultat — owe słynne głosowania wielokrotne, w których toku sala raz po raz odwołuje to, co przed chwilą uchwaliła. A wszystko z obawy przed zakłóceniem jedności.

Obiekcja druga, logicznie sprzeczna z pierwszą, jest zapewne prawdziwa, lecz nie trafna. Z tego, że zachowania się wspólnotowe pozwoliły na przeżycie różnych fal komunistycznych represji nie wynika, że są one przydatne jako zasadniczy napęd polityczny opozycji d z i ś.

Obiekcja trzecia, zgodnie z którą krytyka komunionizmu godzi w ideę solidarności oparta jest albo na nieporozumieniu albo na świadomej a niełądnej podmianie znaczeń. Po pierwsze, czym innym jest solidarność w stosunkach międzyludzkich w życiu codziennym,

a czym innym solidarność jako zasada działań politycznych. Jeśli człowiek jest prześladowany, jeśli dotknęło go jakieś prywatne nieszczęście, jeśli przeszkadzają mu w tworzeniu czegoś wartościowego w sferze kultury, to winienem być z nim solidarny niezależnie od tego, co każdy z nas sądzi na temat indeksacji czy sposobu typowania kandydatów na posłów przez Komitet Obywatelski. W takich i podobnych przypadkach postulat solidarności jest oczywisty i stosunkowo łatwo przekładalny na konkretne postępowanie. Natomiast solidarność w działaniach politycznych, jeśli tylko nie dotyczy sytuacji skrajnych, jest w gruncie rzeczy postulatem niejasnym. Zdarza się — tak przecież było w czasie kampanii wyborczej — że postulat ten używany jest do tłumienia demokracji, a nawet zwykłej swobody wypowiedzi. Generalnie rzecz biorąc takie używanie postulatu solidarności politycznej, które negliżuje sprawę indywidualnego sumienia (innego nie ma) i odwołuje się do postaw komunionistycznych, sprzyja działaniom typu mafijnego.

Choroba druga — syndrom manipulacyjny

Wyjaśnijmy najpierw, że znaczna część stosunków międzyludzkich związana jest z różnymi technikami perswazji czyli skłanianiem „tego drugiego" do pożądanych przez nas zachowań się. Marzenie o tym, by z relacji międzyludzkich wytrzebić perswazję jest utopijne i zrealizować się może jedynie jako dyktatura jawna lub ideologiczna, tj. posługująca się nadużyciami językowymi. Z powyższego wynika, że wykluczenie perswazji z działań politycznych byłoby albo niemożliwe, albo zgubne. Komuniści likwidując na dziesięciolecia politykę — co polegało nie tylko na represjach, lecz na ogłuszaniu przy pomocy propagandy — sprawili, że opozycjoniści wszelką perswazję polityczną traktują jako coś podejrzanego czyli manipulację. (W praktyce granice między perswazją a manipulacją bywają nieostre, co dla przejrzystości wykładu pomijam).

Syndrom manipulacyjny pojawił się w życiu politycznym opozycji wraz z sierpniowymi strajkami 1980 r. Jego pierwotnym źródłem był całkowity i w pełni zasadny brak zaufania robotników do komunistów. Nieufność ta jednak nader szybko objęła tzw. ekspertów a następnie działaczy związkowych i politycznych. (Z wyjątkiem Wałęsy, który skądinąd jest zręcznym manipulatorem. Gdyby nim nie był nie mógłby tak długo utrzymać swej niezwykłej a społecznie aprobowanej pozycji).

Generalnie rzecz biorąc, fobia manipulacyjna (tj. obawa, lęki przed manipulacją) polega na spontanicznym, uwewnętrznionym i trwałym założeniu, że za każdą propozycją kryje się inna, „prawdziwa", i że faktycznym celem każdego wnioskodawcy jest oszukanie, jeśli nie całego narodu, to w każdym razie tej sali, w której się znajdujemy. Komunionizm, o którym mowa była przed chwilą, podsyca te postawy lękowe, po prostu dlatego, że konkretne propozycje zmuszają do podjęcia decyzji, a trudne decyzje — innych nie mamy do wyboru — prowadzą do p o d z i a ł u. Tak tedy do propozycji odnosimy się nieufnie, bo z góry zakładamy, że są manipulacją, a wniosków przyjmować nie chcemy, bo decyzje prowadzić

mogą do podziału. Obie zatem choroby powodują ten sam skutek, mianowicie paraliż polityczny oraz puszczanie pary w gwizdek.

Dlaczego jednak mówię nie o fobii, lecz o syndromie czyli zespole manipulacyjnym? Ano dlatego, że znaczna część tzw. gremiów kierowniczych („Solidarności", komitetów obywatelskich, okapu* — ciała różne, ludzie na ogół ci sami) nie potrafiąc (?), nie chcąc (?) wydobyć się z mazi mniemanej jedności i zdając sobie sprawę z siły lęków manipulacyjnych uznała, że w tej sytuacji jedynym sposobem zapewniającym skuteczne działanie jest sprawna manipulacja. Można oczywiście powiedzieć, że założenie to było słuszne skoro jego realizacja sprawiła, że gremia stały się kierownicze, wolno jednak mniemać inaczej. Ja tedy sądzę, że był to i jest jeden z poważniejszych błędów popełnianych przez gremia. Istota tego błędu polega na tym, że posługując się manipulacją wzmocniły one w opozycji, w tym wśród własnych zwolenników fobię manipulacyjną, a więc postawy utrudniające sprawne działania, w tym najpilniejsze tj. dotyczące polityki gospodarczej.

Syndrom manipulacyjny opozycji polega na wzajemnym wspieraniu się dwóch z pozoru wrogich sobie składników: lęków przed manipulacją i manipulacyjnych działań. Jest to choroba brzydka, poważna i — jeśli wolno tak powiedzieć — wyjątkowo niemądra.

Choroba trzecia — ignorancja arytmetyczna

Jako choroba opozycji ignorancja arytmetyczna polega na całkowitej nieumiejętności liczenia pieniędzy innych niż „moje", a w związku z tym na totalnej lunarności imaginacji gospodarczej. Jeśli o gospodarce tak rozumuje „przeciętny Polak", to wszystko w porządku, bo podobnie rozumuje „przeciętny Francuz", z tą różnicą że „przeciętny Francuz" ma do czynienia z gospodarką a nie z gospodarką socjalistyczną. Mimo to polityk opozycyjny nie powinien sobie w tej sferze pozwalać na luksus „przeciętności" — musi umieć liczyć zarówno tak, jak jego „zwykli" współziomkowie, ale również tak, by mieć choćby przybliżone wyobrażenie o stanie całości.

Przyznaję, że w socjalizmie trudno jest liczyć. Nie wiadomo bowiem, co ile naprawdę kosztuje oraz, ile czego naprawdę wytwarzamy. Nie wiedzą tego również komuniści. Nie jest bowiem tak — o czym kiedyś pisałem — by częstowali nas oni fałszywymi statystykami, dysponując w ukryciu prawdziwymi danymi; te drugie nie istnieją, a jeśli istnieją, to nie ma gwarancji, że są prawdziwe. Ignorancja arytmetyczna polityków opozycyjnych nie jest — jak u komunistów — wadą wrodzoną, jest chorobą nabytą wskutek trwałego kontaktu z socjalizmem, ale chorobą poważną.

Przykładowo: wiadomo, że znaczna część polityków opozycyjnych głosi, iż możliwe jest bezbolesne przejście od socjalizmu do kapitalizmu czyli miękkie lądowanie na wolnym rynku. Na pytanie skąd wziąć pieniądze które by to zapewniły, słyszy się odpowiedzi:

* Potoczna nazwa OKP, tj. Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

— z redukcji wydatków na aparat państwowy ze szczególnym uwzględnieniem wojska i aparatu bezpieczeństwa;

— z Zachodu (zarówno od rządów jak i prywatnych byznesmenów);

— z uruchomienia rzeczywistych pieniędzy ulokowanych zarówno w PeKaO jak i w przysłowiowej pończosze.

I tu cierpiący na ignorację arytmetyczną opozycjonista zaczyna liczyć, a z liczenia tego wypada mu, że owe koszta to strachy na Lachy, nic bowiem łatwiejszego jak przejść od socjalizmu do kapitalizmu — wystarczy tylko pozbyć się nomenklatury. Ludzi nomenklatury należy rzecz jasna poddać sprawdzianowi i tych, którzy niczego nie umieją lub umieją i nie chcą (w sumie będzie ich dobra połowa) trzeba wyrzucić. Zlikwidować należy samą zasadę nomenklatury. Tu jednak mówimy nie o polityce kadrowej a o liczeniu pieniędzy.

Otóż nie jest prawdą, by każda złotówka wydawana dziś na wojsko, bezpiekę i aparat państwowy (na ogół zapomina się o partyjnym, którego zasady utrzymania są całkowicie utajnione), nie jest tedy prawdą, by każda taka złotówka dawała się przerobić na złotówkę produkcyjną. Oczywiste marnotrawstwo tych pieniędzy polega również na tym, że znacznej ich części nie da się zużyć na wytwarzanie mebli czy kiełbasy. Można i należy je wycofać z obiegu, ale jedynie część z nich (nie wiadomo zresztą jaką) da się uruchomić z pożytkiem gdzie indziej.

Tyle o liczeniu złotówek. A teraz o liczeniu dolarów na wierzbie.

Otóż Zachód pieniędzy nie da, a w każdym razie nie da ich tyle, by w sposób odczuwalny łagodziło to lądowanie na rynku. Pewnie to niesprawiedliwe: najpierw sprzedali nas w Teheranie, potem latami wspomagali budowanie socjalizmu a na jego gospodarczy demontaż skąpią. Ale z tej konstatacji nie wynika nic, prócz generalnej refleksji na temat absurdalności świata, w którym żyjemy. Pozostaje zatem owe kilka miliardów dolarów unieruchomionych w kraju. Nie jest tego dużo, ale mogą to być realne pieniądze. Tyle, że ku zmartwieniu socjaldemokratów nie da się ich przeznaczyć na żadne socjalne osłony (nikt nie ofiaruje na to własnych dolarów) a po prostu na uruchomienie kapitalistycznej produkcji, z której posiadacze owych dolarów będą ciągnęli *excusez le mot* zyski. I których to zysków część będą mogli wedle swego uznania przeznaczać na dalsze zysków pomnożenie.

Słowem liczyć możemy jedynie na siebie, ale po to, by móc liczyć na siebie trzeba umieć liczyć tj. wykurować się z arytmetycznej ignoracji. Nie będzie to łatwe. Bowiem schorzeniu temu sprzyja strach przed spojrzeniem prawdzie w oczy i jeszcze większy strach przed powiedzeniem prawdy społeczeństwu: jeśli naprawdę chcemy mieć sprawną gospodarkę tworzącą podstawy zamożności kraju, to w pierwszym okresie czeka nas „pot i łzy", co i tak będzie tańsze niż stanie przez następne dziesięciolecia w jednej wielkiej socjalistycznej kolejce po chleb, makaron, krzesła, lodówkę, czajnik, opaski higieniczne, wołowinę z kością, zapałki i różne inne delikatesy.

By zaś móc to uczciwie powiedzieć musi się opozycja wyleczyć z trzech brzydkich chorób: komunionizmu, syndromu manipulacyjnego i arytmetycznej ignorancji.

lipiec, 1989

LEOPOLITA
(Roman Zimand)

P.S. Rozwiązywanie pseudonimu za życia autora jest wyłącznym prawem danego autora. Swój rozwiązując, (w prasie emigracyjnej pisuję od 1971 r., w tym jako Leopolita od 1976) zaznaczam, że teksty polityczne będę sygnował ustalonym trzynaście lat temu pseudonimem. Oddzielając w ten sposób — na ile to możliwe — pisarstwo polityczne od socjologii kultury i historii literatury, które są moim zawodem wyuczonym i uprawianym.

R.Z.

Trzecia fala

W telewizji wyglądało to tak: 16 czerwca grupa młodych ludzi stanęła na schodach warszawskiego kościoła św. Krzyża (kościół położony jest w bezpośrednim sąsiedztwie uniwersytetu). W rękach trzymają transparenty, flagi z symbolami Niezależnego Zrzeszenia Studentów i „Solidarności". Kamera najeżdża na twarz jednego z młodych demonstrantów. Chłopak skanduje wraz z innymi: „sowieci do domu". Grupa nie jest zbyt liczna — przed świątynią zebrało się raptem około stu osób.

Później kamera pokazuje szerszy plan. Pod okolicznymi domami stoją milicjanci. Nie mają bojowych tarcz ani hełmów, tylko krótkie pałki. Na pobliskim przystanku czeka na autobus kilku zwyczajnych przechodniów. Nowym Światem jeżdżą samochody. Niby normalny obrazek warszawskiej ulicy; tylko te okrzyki młodzieży i nawoływania milicji żeby się rozejść.

Nagle milicjanci podbiegają do kościelnych schodów. Młodzież cofa się, lecz za chwilę w kierunku milicjantów lecą kamienie, śruby, butelki z benzyną i żrącym kwasem. Kamienie i śruby to na demonstracjach rzecz jakby normalna, lecz koktajl Mołotowa pojawił się na polskich ulicach po raz pierwszy od wczesnych miesięcy stanu wojennnego. I to w momencie, kiedy „Solidarność" znów jest legalna, w zgromadzeniu narodowym zasiada spora grupa niezależnych deputowanych, w gazetach można napisać wszystko lub prawie wszystko, a milicja rozbija demonstracje, lecz z reguły nie tak brutalnie jak kiedyś.

Ta demonstracja skończyła się w miarę spokojnie. Na krótko zatrzymano kilku uczestników manifestacji, a reszta rozeszła się na skutek interwencji księdza. Uliczne zajścia telewizja opatrzyła komentarzem o politycznych awanturnikach, głupocie i nieodpowiedzialności.

Naoczni świadkowie relacjonują przebieg demonstracji mniej więcej w identyczny sposób. Jeżeli już pojawią się jakieś różnice, to tylko w opisie zachowania młodzieży. Rozejm zawarty dzięki mediacji księdza od św. Krzyża polegał na tym, że milicja pozwoli demonstrantom rozejść się, jeżeli złożą na kościelnych schodach kamienie i butelki z benzyną. Układ został złamany: ostatnia butelka poleciała już po zawarciu rozejmu, lecz nie w stronę milicji, ale pod koła jadącego ulicą żółtego Trabanta. Szczęśliwie skończyło się tylko na strachu.

Kolejna demonstracja, 30 czerwca, również w Warszawie, w Alejach Jerozolimskich, zapisana została na wielu zdjęciach. Tym razem jej naczelnym hasłem było: „Jaruzelski musi odejść". Fotografie przedstawiają młodych ludzi maszerujących środkiem szerokiej ulicy. Niosą transparenty „Solidarności Młodych", Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarność" (warszawska struktura, która występuje obok oficjalnych władz Związku, kwestionuje politykę Wałęsy), czarne flagi Międzymiastówki Anarchistycznej. W pewnym momencie pierwsze szeregi idących opierają się o tarcze oddziałów ZOMO, przegradzających demonstrantom drogę pod budynek Komitetu Centralnego PZPR. Dochodzi do przepychanki, bijatyki (w czasie utarczek ucierpieli także postronni obserwatorzy, m.in. dwóch fotoreporterów), do akcji wkraczają armatki wodne. Zdjęcia przedstawiają biegnących milicjantów z podniesionymi pałkami; leżące na ziemi wielkie śruby i kamienie, szczątki milicyjnej tarczy. Widać również płomienie. Znów rzucano butelkami z benzyną.

Świadkowie twierdzą, że przypadkowi przechodnie przestraszyli się koktajlu Mołotowa. Na widok płomieni ludzie schowali się w pobliskich sklepach, a komentarze wygłaszane pod adresem demonstrantów nie były zbyt przychylne (rzecz jasna, milicji również nie oszczędzono).

Butelki z benzyną to warszawska specjalność ostatnich tygodni. Wcześniej koktajl Mołotowa pojawił się tylko 1 maja bieżącego roku we Wrocławiu (podobno butelki miały być też 3 maja, ale — wedle co bardziej bojowych wrocławiaków — tego dnia ZOMO uciekło z miasta). W kraju — sądząc przynajmniej po zewnętrznych pozorach — jest w miarę spokojnie, a tu naraz zradykaliżowana młodzież sięga po bardzo ostre środki. Nic więc dziwnego, że płomienie na ulicach rodzą masę pytań i wątpliwości. Te podstawowe brzmią mniej więcej tak:

— Kim są ci młodzi ludzie i dlaczego rzucają butelkami? Używanie koktajlu Mołotowa jest sprzeczne z solidarnościowym

etosem *non-violence*, a ze stosunków między opozycją i władzą rozmowy „okrągłego sytołu" wyeliminowały — przynajmniej na razie — przemoc.

Najlepiej niech odpowiedzą sami:

Maciek ma 24 lata, studiuje na Uniwersytecie Warszawskim. Jest jednym z animatorów „Solidarności Młodych" — pokoleniowej struktury powstałej w połowie kwietnia bieżącego roku. Na razie jest ich niewielu, raptem 40-50 osób. Ale Maciek jest przekonany, że z dnia na dzień „Solidarność Młodych" będzie miała więcej uczestników. Organizacja nie ma władz, wewnętrznej stratyfikacji. Należą do niej przede wszystkim uczniowie szkół zawodowych, chłopaki w wieku 17-18 lat. Jest też kilku studentów.

Maciek mówi, że chłopcy z zawodówek są bardzo „ciężcy w prowadzeniu", dopiero zdobywają jaką taką orientację polityczną, uczą się działać. Zaczynali praktycznie od zera, bez pomocy starszych, bez programu. Połączyła ich sytuacja — w pewnym momencie doszli do wniosku, że zmiany w Polsce są czysto pozorne, a coś robić trzeba. Coś — to znaczy uliczne zadymy. Ale nie są to demonstracje dla demonstracji, a raczej zarzucony przez starszą opozycję pomysł na aktywność. W końcu ulica musi do kogoś należeć, więc lepiej, żeby należała do młodzieży, niż do ZOMO.

— *Nie tylko my wychodzimy na ulicę, choć chyba jesteśmy grupą najliczniejszą* — opowiada Maciek. — *Obok „Solidarności Młodych" jest jeszcze „Wolna Polska" (też uczniowie, lecz przede wszystkim z liceów ogólnokształcących) czy „Międzymiastówka Anarchistyczna" (struktura powstała na bazie dawnego Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego). Teraz, po udanej zadymie 16 czerwca, chcą do nas podłączyć się inni, na przykład MRK „S" i PPS-RD. Oni poczuli, że młodzież im ucieka, więc teraz starają się nas dogonić. Ale, praktycznie, to zgredy bez programu.*

Dla chłopaków z „Solidarności Młodych" zgredami są właściwie wszyscy, którzy przekroczyli 25 rok życia, albo działają w organizacjach opozycyjnych o dłuższym niż „Solidarność Młodych" rodowodzie, a do zgredów w zasadzie nie można mieć zaufania. Zresztą już nie raz — wypominają to z żalem — na starszych się przewieźli. Sojuszników szukają wśród równolatków, inni są bardziej wrogami niż partnerami, a jeśli nie wrogami, to przynajmniej ludźmi całkowicie obojętnymi na sprawy młodej, wstępującej w życie, generacji.

Na kim więc się przewieźli?

Na Wałęsie, bo w końcu to młodzież ubiegłorocznymi strajkami wywalczyła „Solidarność", która teraz pokazuje młodzieży plecy. Im zależy na Związku takim, jak w 1981 roku, bez aneksu do statusu zakazującego strajków. Większość z nich nie pamięta tamtej „Solidarności", niewiele o niej wie. Ale tamta

„Solidarność" ma legendę, bo była ostrzejsza, bardziej stanowcza. Także podziemne struktury stanu wojennego nie zwykły kapitulować w wyniku jakichś negocjacji czy porozumień. A jeszcze na dodatek Wałęsa nie dał im nic.

— *Ale przecież nic nie obiecywał.*

— *Nie szkodzi* — odpowiada Maciek — *przynajmniej powinien zrewanżować się za ubiegły rok.*

Zawiedli się na Andrzeju Gwieździe. Co prawda, od czasu do czasu skandują jego nazwisko, ale są przekonani, że Gwiazda jest radykalny tylko w słowach, a do prawdziwej roboty wcale się nie pali. Programowo ma do zaproponowania jeszcze mniej niż Wałęsa, a poza tym spór między tymi działaczami ma podłoże czysto personalne, a w takie utarczki młodzi wdawać się nie będą. Przecież podczas spotkania na Uniwersytecie Warszawskim Gwiazda potraktował młodzież jak gówniarzy, obraził ich. To facet, któremu zależy na klakierach, a nie na uczciwym partnerstwie.

Nic dla nich nie znaczy „Solidarność Walcząca" i Kornel Morawiecki.

— *Może dlatego* — zastrzega się Maciek — *że jesteśmy w Warszawie, a nie we Wrocławiu. Nie znam nikogo z „SW", kto brałby udział w przygotowywaniu naszych zadym. Oni w Warszawie wydają jakieś pisemko, ale na gazetkach robota się nie kończy. A zresztą w samym Wrocławiu „Solidarność Walcząca" też jest bardziej mitem niż zwartą organizacją. Widziałem tamtejsze zadymy. Tam ulicą dyryguje PPS-RD.*

Co myślą MRK „S" i PPS-Rewolucja Demokratyczna? MRK „S" prowadzi własną rozgrywkę z Bujakiem, a jego liderzy też traktują młodzież z góry; ten nam się przyda, tego możemy wziąć, a ten odpada. Natomiast PPS-RD utopiła się w rewolucyjno-demokratycznych mrzonkach. No i na dodatek ta bezradność na demonstracjach, *non-violence*, która w polskiej rzeczywistości przeżyła się z kretesem.

Młodzi warszawscy zadymiarze mówią, że nie będą już więcej ofiarami, nie dadzą się bić. To żadna sztuka, kiedy jakiś facet wychodzi na ulicę „ze szmatą" (transparentem) i pierwszy lepszy zomowiec może go zwinąć, a przy okazji jeszcze dołożyć. Tak było przez lata, lecz już dłużej nie będzie.

— *Kto więc rzuca butelkami?*

— *Nie wiem* — uśmiecha się Maciek — *po prostu lecą.*

— *Ale dlaczego lecą?*

— *A czym ludzie mają rzucać?*

— *Wiele osób traktuje koktajl Mołotowa jak polityczną prowokację.*

— *Niech myślą, co chcą.*

Młodzież z „Solidarności Młodych", z „Wolnej Polski" czy „Międzymiastówki Anarchistycznej" wychodzi na ulice, bo po

prostu ma dość. Na opozycji się zawiedli, a slogany o braku zaufania podpierają konkretnym przykładem.

— *Co oni (oni, to w tym momencie opozycja) zrobili z NZS-sem? Albo — co NZS, przez zwyczajne kunktatorstwo, zrobił ze sobą? Ich historia to klasyczny przykład błędu popełnionego przez młodzież. Szefowie NZS-u pewnie kombinowali tak: podziałamy w Zrzeszeniu, a potem kariera w „Solidarności", czy inna ciepła posadka. Dlatego hamowali radykalizm studentów, we wszystkim oglądali się na Wałęsę i jego doradców, nie chcieli się nikomu narazić. Więc nie ma co się dziwić, że władza ich olała; NZS nie jest zarejestrowany. W końcu zdobyli się na rozpaczliwy gest — strajk — akurat w czasie sesji. Jedni chcieli strajkować, inni woleli być w domu. Zresztą nawet ci, którzy siedzieli na Uniwerku wiedzieli, że sprawa jest beznadziejna. Teraz środowisko się podzieliło. Zrzeszenie straciło autonomię, jaką miało w opozycji. Spieprzono taką fajną sprawę, zamiast organizacji zostawiono tylko pustkę, która otacza młodzież. Lecz ta pustka to również szansa dla nas.*

— *Nie sądzicie, że koktajl Mołotowa to także gest rozpaczy?*

— *Jakiej rozpaczy? Przecież łatwiej siedzieć w domu, albo pojechać na wakacje. My działamy, staramy się coś robić.*

Zadymiarze wychodzą na ulicę, bo wiedzą, że nie mają perspektyw. Czują, że tylko z racji wieku są najbardziej upośledzeni, a nadziei i pomocy znikąd. Za kilka lat będą dorośli, będą chcieli zamieszkać w swoich czterech ścianach, pracować za godziwe pieniądze. Za kilka lat będzie jeszcze gorzej.

— *Ale przecież butelki nie poprawią waszej sytuacji?*

— *A co innego może ją poprawić? Butelki przynajmniej zmuszą władzę i opozycję do myślenia.*

Zadymy są również po to, żeby spłacić dług wobec ZOMO. Kamienie, śruby, butelki ciskane są wtedy, kiedy milicja zaczyna „fikać", kiedy atakuje demonstrację. Pewnie, że czasami butelka może polecieć pod koła przypadkowego samochodu, może wystraszyć przechodniów, ale oni są napaleni, chcą oddać to, co kiedyś dostali sami, albo co oberwali ich starsi bracia. W ich przekonaniu to nie jest bijatyka — to normalna samoobrona, walka.

— *Kamień przeciwko pałce — tak się dzieje podczas większości rozbijanych demonstracji na całym świecie. Ale benzyna? Trafi butelka jakiegoś zomowca i skutkiem może być jego okaleczenie, w końcu waszego rówieśnika, Bogu ducha winnego chłopaka, który na dodatek jeszcze niewiele rozumie.*

Chwila milczenia — na to odpowiedzieć nie potrafią. Ale zaraz odzyskują głos.

— *Może wtedy władza coś zrozumie.* Non-violence *nie jest już środkiem nacisku. Takich, co tylko krzyczą, a bronić się nie potrafią, czerwony olewa. A przecież władza też się boi, więc groźba, że będzie ostro, może na nich podziałać.*

— *A jak zaczną strzelać?*

Znów cisza i za chwilę pewna odpowiedź.

— *Nie zaczną.*

— *Lecz ja nie mówię o planowanej decyzji, tylko o przypadku. Człowiek, na którym zapali się mundur, człowiek, który się boi, jest zdolny do wszystkiego. Obym nie miał racji, ale może na was zaciążyć straszna współodpowiedzialność za zdrowie, nawet za ludzkie życie.*

— *To się wlicza w koszta* — słychać cichutki głos. — *A zresztą, co komuniści zrobili w Pekinie* (głos tężeje)*? Rozjechali czołgami bezbronny, pokojowy tłum. Jeżeli u nas zechcą strzelać, to pretekst zawsze się znajdzie.*

— *Demagogia* — mówię, bo bardzo chciałbym mieć rację.

— *Nie. Tylko fakty.*

Czy demonstracje są kanalizowaniem narastającej od lat agresji? Z pewnością tak — zresztą nikt z zadymiarzy tego nie ukrywa. Powiedzą nawet — pół żartem, pół serio — że jeśli ktoś z uczestników ich organizacji, szczególnie nowy albo młodszy, nie da komuś po głowie w dyskotece, wówczas trudniej go utrzymać w ryzach, bo po prostu chce się bić. Wspominają też, że ich ruch może z czasem, raczej bezwiednie, przerodzić się w ślepy terroryzm. Tego naprawdę nie chcą. Ale właśnie tego się boją. Butelka — w ich przekonaniu — leci wtedy, gdy polecieć musi. A kiedy musi? — to wyznaczają nastroje zadymy.

Maciek z „Solidarności Młodych" wie, że koktajl Mołotowa użyty w czasie zadymy „sowieci do domu" nie spowoduje, że sowieckie czołgi zwieją z Polski z podkulonymi lufami. Ale jest przekonany, że manifestacje pod hasłem: „Jaruzelski musi odejść" sprawiły, że generał być może stracił apetyt na prezydencki fotel. W najbliższej przyszłości zadymy mogą stać się — jego zdaniem — jedną z najskuteczniejszych form nacisku. Przecież ludzie są coraz bardziej niezadowoleni. Kraj czeka fala strajków, a młodzież, szczególnie ucząca się, strajkować nie może, więc wyjdzie na ulice. Wtedy już musi się udać. Będą wolne wybory, w których komuniści padną na cztery łopatki, sowieckie wojska opuszczą Polskę. To co, że od razu nie będzie lepiej. Ale wreszcie będziemy u siebie, nikt nam nic nie będzie kazać, nie będziemy nikogo prosić.

— *Wszyscy teraz pytają tylko o butelki* — mówi Maciek. — *Pyta esbecja, dziennikarze z* Gazety Wyborczej. *Znaleziono sobie niezły temacik, sensację. A nikt nie chce zrozumieć, że radykalna młodzież jest trzecią falą.*

Bo pierwsza fala to wałęsowska „Solidarność"; Związek i opozycyjna grupa parlamentarna. Druga to PPS-RD, MRK„S", „Solidarność Walcząca", KPN. Tylko robią szum, krzyczą, lecz w efekcie też żeglują w kierunku legalności. (Jak mógł Moczulski startować do wyborów, kiedy nawet dziecko wiedziało, że

przegra. Popełnił polityczne bałwaństwo i teraz na nic się zdają KPN-owskie oświadczenia, że są silni. Kilka procent głosów mówi za siebie). I pierwsza i druga fala nie zrozumie społecznych nastrojów, bo dzisiaj są to tylko elity bez powiązań z masami. Przyszłość — tego są bardzo pewni — może należeć tylko do nich.

A co o radykalnej młodzieży mówią dorośli?

Przedstawiciele władzy oceniają ich jednoznacznie (można to zresztą wyczytać w państwowych gazetach); członkowie nowych struktur to polityczni awanturnicy, rozbijacy, ludzie grzeszący głupotą, która powinna być karalna. Uliczne zadymy — zdaniem władz — „godzą w polskie przemiany demokratyczne". W podtekście takiego stwierdzenia ukryta jest myśl, że podobnych demonstracji z nadzieją oczekuje beton, aby wykazać, że Polsce potrzebne są rządy silnej ręki, że aż strach pomyśleć, co w kraju się stanie, jeżeli nad Wisłą nie zapanuje twardy zamordyzm. Jeśli tak jest w rzeczywistości, oznacza to, iż polskie porozumienie stoi na zbyt kruchych podstawach, żeby się do niego nadto przywiązać.

Opozycja również nie szczędzi młodym krytycznych uwag. Po pierwsze: demonstracje nie sprzyjają duchowi „okrągłego stołu". Po wtóre: wznoszone przez demonstrantów hasła drażnią politycznego przeciwnika-partnera nie tylko w kraju, ale też za granicą. Po trzecie: butelki z benzyną nie są przyjętą w Polsce metodą politycznego nacisku (oni, opozycja, nas olewają — mówi Maciek. — Nawet *Trybuna Ludu* pisała o 30 czerwca jako o nielegalnych, ale jednak demonstracjach, a *Gazeta Wyborcza* nazwała je bijatykami). Wreszcie po czwarte: młodzież myśli schematami, głosi demagogiczne hasła bez pokrycia, nie ma autentycznego programu działania; autentycznego, czyli możliwego do zrealizowania tu i teraz.

Członkowie „Solidarności Młodych" czy „Wolnej Polski" przyjmują krytykę bez żadnych ekscytacji.

— *Są w Polsce radykalne ugrupowania* — mówią — *na przykład KPN albo LDPN, mają spisane na papierze piękne programy, i ten papier stanowi cały ich kapitał. Pewnie, że Wałęsa jest najsilniejszy, ale ludzie nie wytrzymują tego dogadywania się z władzą, kiedy każdy widzi, co naokoło się dzieje.*

To prawda — my nie mamy programu, politycznego oblicza. Nie będziemy smażyć pustych deklaracji. Ale mamy pomysł na działanie: zadymy. Młodzieży dziś już nie można zaproponować czegoś miękkiego. Żarty się skończyły i chcemy, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Przyjrzyj się zresztą sam. Manifestacja z 16 czerwca była tylko naszą robotą. Lecz 30-go przyłączyło się do nas sporo ludzi, którzy w Alejach znaleźli się przypadkiem. Zgoda — większość szła chodnikiem. Następnym razem pójdą ulicą. Bo zadyma to wyjście dla zbuntowanej ulicy. I tylko my — jak na razie — to wyjście pokazujemy.

Może więc podstawowe pytanie dnia dzisiejszego brzmi: jak wielu ludzi — nie tylko młodych — uzna, że główne polskie problemy rozstrzygną demonstracje?

Tomasz JERZ

OŚWIADCZENIE WYDAWNICTWA „PoMOST"

W *Gazecie Wyborczej* nr 32 z 21 czerwca 1989 r. w rubryce „Niezależni" zamieszczono notkę dotyczącą naszego Wydawnictwa. Została ona „opracowana" przez osobę posługującą się inicjałami j.m. na podstawie foldera WYDAWNICTWA PoMOST przygotowanego przy okazji XXXIV Międzynarodowych Targów Książki, które odbyły się w Warszawie w maju br. W wyniku licznych tendencyjnych zmian i skrótów, w *Gazecie Wyborczej* ukazał się tekst, w którym nie pozostało nic z oryginału.

1. Tekst pochodzący z foldera:

WYDAWNICTWO PoMOST prowadzi podziemną działalność wydawniczą od 1986 r.

Pierwsze pozycje książkowe WYDAWNICTWA PoMOST ukazały się pod znakiem nieistniejącego od marca 1988 r. wydawnictwa MOST przeredagowano w sposób zasadniczo zmieniający jego sens:

„Wydawnictwo PoMOST działa od 1986 r. wydając pierwsze książki pod firmą podzielonego w marcu 1988 r. Wydawnictwa MOST".

Otóż zgodnie z decyzją z 25.03.1988 Komisji Arbitrażowej w składzie K. Bieliński, G. Boguta, J. Kofman, rozstrzygającej konflikt w Wydawnictwie MOST, wydawnictwo to przestało istnieć, a w jego dotychczasowe miejsce powstały: Wydawnictwo Wolnego Pisma „MOST" i Wydawnictwo „PoMOST", między które został podzielony m.in. dotychczasowy dorobek edytorski Wydawnictwa „MOST".

2. W kolejnym fragmencie tekstu w folderze pisaliśmy:

„Celem WYDAWNICTWA „PoMOST" jest zapewnienie możliwości nieskrępowanego funkcjonowania wolnego słowa przez dostarczenie do rąk czytelników niecenzurowanej książki. Trudna historia naszego kraju spowodowała, że od wieków główne ośrodki polskiej myśli politycznej i kultury skupiały się na emigracji. Pragniemy, czemu daje wyraz nazwa nowego wydawnictwa, tworzyć pomost między twórcami emigracyjnymi a krajem".

W *Gazecie Wyborczej* fragment ten zyskał brzmienie:

„Celem wydawnictwa jest tworzenie pomostu między ośrodkami emigracyjnymi a krajem.

Tak dokonany skrót nie tylko wprowadza czytelnika w błąd, mylnie podając jako cel naszej działalności środki przyjęte do jego realizacji, ale również wypacza zupełnie jego sens.

3. W dalszym ciągu w folderze pisaliśmy:

„Stąd współpraca z:

— nieocenionym dla polskiej kultury Jerzym Giedroyciem, szefem Instytutu Literackiego w Paryżu. Jej owocem są krajowe edycje książek z Biblioteki *Kultury* i reedycja *Zeszytów Historycznych*,

— Ireną Lasotą i Jakubem Karpińskim, redaktorami ważnej dla krajowego czytelnika serii „Konfrontacje", publikowanej przez IDEE (Instytut na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej),
— emigracyjnym wydawnictwem POLONIA,
— emigracyjnym wydawnictwem PULS.

Trudno stwierdzić, czemu z przytoczonego powyżej fragmentu w *Gazecie Wyborczej* zamieszczono nazwiska Ireny Lasoty i Jakuba Karpińskiego, pomijając nazwisko Jerzego Giedroycia, oraz nazwy obu Instytutów i wydawnictw emigracyjnych. Tego rodzaju dowolnego wyboru nie da się wytłumaczyć ograniczoną ilością miejsca.

4. Uderza zupełny brak końcowego fragmentu tekstu foldera, który ma dla nas charakter deklaracji:

„WYDAWNICTWO PoMOST będzie kontynuować podziemną działalność wydawniczą, aż do czasu, gdy w Polsce znikną wszystkie bariery ograniczające wolność słowa".

Notka, która ukazała się w *Gazecie Wyborczej* na temat naszego Wydawnictwa została przygotowana w sposób niedopuszczalny. Takiego doboru i skrótu fragmentów tekstu, charakteru wprowadzonych zmian, wypaczających zupełnie jego sens nie można tłumaczyć brakiem kompetencji j.m.

Wolność słowa (w tym prasy) i możliwość działania niezależnych gazet, takich, jaką chce być *Gazeta Wyborcza*, była i jest pragnieniem społeczeństwa i dążeniem wielu niezależnych instytucji i osób. Z tego względu oczekiwania co do rzetelności informacji i opracowań publikowanych w *Gazecie Wyborczej* są tak duże.

Z całą pewnością notka na temat Wydawnictwa PoMOST nie jest w stanie tym wymaganiom sprostać. Ze względu na wagę sprawy, jaką jest wiarygodność niezależnej prasy, działającej tak oficjalnie, jak i w podziemiu, przekazujemy nasze oświadczenie — z prośbą o zamieszczenie — do prasy niezależnej.

WYDAWNICTWO PoMOST

otrzymują: *Gazeta Wyborcza, Tygodnik Solidarność, Kultura Niezależna, Wola, Przegląd Wiadomości Agencyjnych, CDN — Głos Wolnego Robotnika, Orientacja na Prawo, Contra.*

Warszawa, 21.06.1989

OŚWIADCZENIE

W nawiązaniu do komunikatu Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność" z dnia 21 III 1989, uczestnicy walnego zebrania członków Komisji stwierdzają, że w wyniku daleko idących przemian politycznych zachodzących w naszym kraju (legalizacja Związku, powstanie opozycji parlamentarnej), dotychczasowe formy i zakres działania Komisji nie są dostosowane do potrzeb chwili.

Podjęcie nowych zadań wynikających z potrzeb i oczekiwań społecznych wymaga sprecyzowania zakresu kompetencji KIiP, wypracowania nowych form organizacyjnych oraz stworzenia podstaw materialnych dla jej działalności.

Przyjmowanie spraw bez rzeczywistej możliwości ich załatwienia prowadziłoby jedynie do stworzenia niepotrzebnych złudzeń i narażało na szwank dobre imię „Solidarności" i KIiP.

W związku z tym, Komisja Interwencji i Praworządności postanawia

zawiesić swą dotychczasową działalność od dnia 1 IX 1989 w celu przeprowadzenia reorganizacji.

W latach 1986-1989 Komisja Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność" skutecznie uniemożliwiała władzom tłumienie niezależnej działalności związkowej i opozycyjnej, zapewniając podejmującym ją osobom pomoc moralną, prawną i finansową, przyczyniając się w ten sposób do przetrwania NSZZ „Solidarność" w okresie rozpadu struktur organizacyjnych, narastającego marazmu i zwątpienia.

W nowej sytuacji głównym zagrożeniem są konsekwencje niezbędnych przemian gospodarczych; nasza działalność musi więc być skoncentrowana na ochronie praw pracowniczych i ekonomicznych społeczeństwa. Poczucie zagrożenia podstaw egzystencji oraz trudności życia codziennego mogą stać się źródłem niepokojów społecznych, blokujących reformy i podważających demokratyzację stosunków w kraju.

Podjęcie działalności interwencyjnej nastawionej na szybkie i skuteczne rozładowywanie konfliktów oraz budzenie pośród szerokich rzesz pracowniczych poczucia, że interesy ich będą zabezpieczone jest niezbędne dla zachowania zaufania społecznego do NSZZ „Solidarność".

Skuteczne działanie Komisji Interwencji i Praworządności w tym zakresie oraz konieczność dalszej obrony praw ludzkich i obywatelskich wymagają stworzenia prawnych i materialnych podstaw dla nowych form pracy Komisji.

Dla osiągnięcia stawianych tu celów konieczne jest:

1. Utrwalenie autonomicznego charakteru KIiP w ramach NSZZ „Solidarność" i jednoznaczne określenie zakresu jej zadań i wynikających stąd kompetencji. Istnienie Komisji jako struktury autonomicznej w ramach Związku wynika z charakteru jej dotychczasowej działalności obejmującej swym zasięgiem ogół społeczeństwa. Spotkało się to z powszechnym uznaniem i przyczyniło do zwiększenia siły atrakcyjnej Związku i umacniania jego pozycji politycznej.

2. Zapewnienie odpowiednich środków materialnych, na które powinny się składać dotacje Związku oraz fundusze zgromadzone dzięki niezależnym inicjatywom Komisji.

3. Stworzenie Funduszu Ochrony Pracowników w Okresie Reformy. Fundusz taki, pozostając pod kontrolą NSZZ „Solidarność" stanowiłby narzędzie rozładowywania konfliktów ekonomicznych w zakładach pracy.

Spełnienie tych podstawowych warunków jest niezbędne dla dalszego działania Komisji Interwencji i Praworządności w ramach Związku.

Komisja Interwencji i Praworządności
Warszawa dn. 24.VI.1989 r. *NSZZ „Solidarność"*

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W marcu 1985 świeżo wybrany generalny sekretarz KPZS Michaił Gorbaczow oświadczył, że ZSSR znalazł się w stanie przedkryzysowym. Minęło kilka lat i *gensek* w ślad za wszystkimi obywatelami przyznaje, że ZSSR znajduje się stanie głębokiego kryzysu. Nie pamiętam, aby od czasów wojny figurował w *Prawdzie* (23 lipca 1989) na jednej i tej samej stronie artykuł pod tytułem „Dni trwogi — o wydarzeniach w Abchazji" oraz korespondencja TASS z Kuzbasu pod tytułem „Trwają rozmowy z górnikami". Są to komunikaty z dwóch frontów: frontu walk narodowych, trwających od końca 1986 roku w Ałma-Acie, i frontu zamieszek robotniczych, wybuchłych w lipcu 1989 roku.

Ponad cztery lata niedowarzonych reform, połowicznych zmian, zmienianych miesiąc po ich uchwaleniu decyzji, a przede wszystkim słów, słów, słów. Towarzyszy im nieustępliwie coraz dokuczliwsze pogarszanie się warunków życia. Słowa „deficyt" zawsze po rosyjsku używano w liczbie pojedynczej. „Deficyt towarów" — to brzmi jasno i przekonywująco, nie wymaga żadnych dopełnień. W epoce *pieriestrojki* zaczęto mówić „deficyty", w liczbie mnogiej. Liczba pojedyncza nie wydaje się dość pojemna na objęcie wszystkich braków.

Charakterystyczną cechą gorbaczowowskiej „rewolucji" — jak lubi nazywać swoją *pieriestrojkę* — był do niedawna brak zaburzeń społecznych. Wybuchające w fabrykach strajki trwały zazwyczaj bardzo krótko, bo administracja spełniała żądania, tyczące z reguły płacy albo czasu pracy. Rozmawiając niedawno z jednym z najmądrzejszych i najbardziej przenikliwych sowieckich dziennikarzy, spytałem go, dlaczego nie ma ruchów społecznych, dlaczego nie powstają niezależne związki zawodowe. Odpowiedział mi, na poły tylko żartując: bo nie było dyrektywy.

Dnia 10 lipca nocna zmiana górników z kopalni im. Szewiakowa nie wyszła z szybu, a pierwsza nie zjechała na dół. Tak brzmi początek pierwszego komunikatu o strajku, jaki ukazał się w

sowieckiej prasie, mianowicie w piśmie *Trud* 12 lipca. Notatka, zatytułowana „Czym się skończyło milczenie ministra", informowała ponadto, że 11 lipca strajkowały wszystkie cztery kopalnie stutysięcznego miasta Mieżdurieczeńska w obwodzie kemerowskim (zachodnia Syberia). Tytuł notatki nawiązywał do informacji, która ukazała się w *Trudzie* poprzedniego dnia: przewodniczący KC związków zawodowych górników opowiadał, że ministrowi przemysłu węglowego przedstawiono żądania, których ignorowanie może doprowadzić do skutków — jakich, tego przywódca związkowy nie powiedział. Następnego dnia wybuchł strajk w Mieżdurieczeńsku, do którego bardzo szybko dołączyli górnicy ze wszystkich kopalni Kuzbasu, drugiego co do wielkości zagłębia węglowego ZSSR. W poszczególnych kopalniach powstały komitety strajkowe, które następnie połączyły się w komitet rejonowy. Na jego czele stanął Tejmuraz Awaszani, były funkcjonariusz związków zawodowych, usunięty za Breżniewa za radykalizm, obecnie deputowany ludowy.

Górnicy żądali, aby na rozmowy przyjechał premier Ryżkow. Posłano im komisję rządową pod przewodem Nikołaja Sluńkowa, członka Biura Politycznego i sekretarza KC. W Komisji znaleźli się także wicepremier ZSSR i przewodniczący centralnej rady związków zawodowych. Podczas negocjacji wybuchły nowe strajki w Donbasie (Ukraina), największym zagłębiu węglowym ZSSR. Dnia 10 lipca strona *Izwiestii* wyglądała jak komunikat frontowy: „Rostow nad Donem. Donbas. Kuzbas. Workuta. Pawłograd. Karaganda. W każdym mieście to samo: górnicy rzucają pracę, zbierają się na placu, ślą telegramy z żądaniami". *Izwiestia* informowały, że 20 lipca jest ostatnim dniem strajku w Kuzbasie, ale 19 lipca rozpoczął się strajk w zachodnim Donbasie (Pawłograd).

Czego żądali robotnicy? O ekonomicznym stanie Związku Sowieckiego i warunkach życia w nim napisano już tysiące artykułów i dziesiątki książek, nikt jednak nie napisał niczego równie wyrazistego jak żądania górników. W dziedzinie żądań ekonomicznych górnicy zaczęli od mydła. To wstrząsnęło światem. Górnicy domagali się 800 g mydła na miesiąc. Zgodnie z sowieckim kodeksem pracy górnikom należy się 400 g mydła miesięcznie — taką normę ustalono w 1923 roku i nikt nie narzekał, dopóki w sklepach było mydło. Ale oto już od kilku miesięcy wielkiemu mocarstwu, które w dziedzinie wojskowo-strategicznej osiągnęło poziom Stanów Zjednoczonych, nie udaje się zaopatrzyć swej ludności w mydło ani inne środki czyszczące. Jest to jedna z nierozwiązywalnych zagadek *pieriestrojki*. Górnicy żądali też żywności. Stanowią oni dobrze płatną kategorię robotników, jeśli jednak niczego nie mogą kupić, to co im po pieniądzach? Domagali się też lepszych warunków pracy. Nie płaci im się np. za czas zjazdu i dojścia do miejsca wyrębu, co w kopalniach Kuzbasu zajmuje dziennie 3-4 godziny. Nie daje im się wolnej niedzieli, kiedy dzieci nie idą do szkoły i nie pracuje żona.

Stawiano też żądania, które zachodnia prasa uznała za „polityczne". Górnicy chcą mianowicie sami rozporządzać dochodami z węgla i sami decydować o inwestycjach, które chcieliby przeznaczyć przede wszystkim na budowę mieszkań. Jest charakterystyczne, że

wszyscy poparli żądanie zamknięcia kooperatyw jak źródła niesprawiedliwego bogactwa.

Dnia 19 lipca Rada Najwyższa ZSSR wysłuchała deputowanych z górniczych rejonów. Podsumował przewodniczący Rady Najwyższej i generalny sekretarz w jednym ciele, Michaił Gorbaczow: „Wypada podzielić stanowisko górników, którzy tu wystąpili. Jest to postawa gospodarska, poważna, ostra, ale sprawiedliwa...". Gorbaczow zaapelował, ażeby „na tym przełomowym etapie reformy przeobrażeń [co to jest „reforma przeobrażeń", nie jest jasne — A.K.] przejawić wysoką odpowiedzialność". Zauważył, że „ludzie dalecy od *pieriestrojki*, od socjalizmu, od interesów narodu" nie śpią. „Oni się tu i ówdzie postarają. Oni się i dziś starają. Ledwie wzburzyli się górnicy Kuzbasu — już się tam zjawił DS[1] i nie tylko on". Gorbaczow wypowiedział interesującą myśl. Powołując się na słowa przewodniczącego związków zawodowych Litwy przeciwko destabilizującym strajkom, Gorbaczow poparł ideę, że „należy pozwolić robotnikom na organizowanie się, a będzie mniej strajków" (*Prawda* z 20.7.89). Oczywiście ma rację: z żywiołem znacznie trudniej walczyć. Organizacją zawsze można manipulować.

Kilka dni później, kiedy górnicy, po zaspokojeniu — na razie na papierze — wszystkich ich żądań zaczęli wracać do pracy, Gorbaczow stwierdził: „Ogólnie muszę powiedzieć, że wychodzimy z bardzo ciężkiego kryzysu. Była to dla nas najcięższa próba przez cztery lata *pieriestrojki*. Był Czarnobyl, były inne ciężkie sytuacje, ale mimo to dzisiejsze wydarzenia wyodrębniam jako najpoważniejsze, najtrudniejsze" (*Izwiestia* z 24.7.89).

22 lipca Gorbaczow podpisał razem z Ryżkowem telegram do przewodniczącego komisji rządowej prowadzącej rozmowy w Donbasie. Wezwali oni górników do podjęcia pracy, obiecali „podjąć niezbędne decyzje". 23 lipca udzielił wywiadu telewizji centralnej i przyznał, że „gospodarką i krajem wstrząsają dreszcze", że „ogólnie rzecz biorąc nie tędy droga" [chodzi o strajki — A.K.], ale „górnicy na pewno mieli po temu powody". Chwalił górników za to, że „mimo wszystko nie dopuścili do tego, by sytuacja wymknęła się z rąk".

27 lipca w gazetach ukazał się „Apel do narodu sowieckiego" Rady Najwyższej, zawierający to, co już powiedział Gorbaczow. Rada Najwyższa tłumaczyła narodowi sowieckiemu, że przeznacza dodatkowo 10 miliardów rubli na zakup towarów powszechnego użytku i lekarstw. Ponadto w październiku 1989 podniesione zostaną najniższe emerytury najuboższych kategorii rencistów.

Narzuca się oczywiście pytanie, skąd wziąć pieniądze. Jeszcze kilka miesięcy temu zdradzono po raz pierwszy, że na budżecie państwa „ciąży deficyt". Najpierw przyznano się do 60 miliardów, potem do stu, dziś oficjalna liczba wynosi 120 miliardów. Amerykańscy ekonomiści uważają, że deficyt ZSSR wynosi 160 miliardów dolarów (*Time* z 7.8.89). Krótko mówiąc, jest deficyt i nie ma pieniędzy. Na pomoc dla emerytowanych członków partii przeznaczono — na propozycję Gorbaczowa — 500 milionów rubli ze składek

1. *Demokraticzeskij Sojuz* — nieformalna organizacja, która nazywa się partią i stawia sobie za cel zmianę systemu w ZSSR.

partyjnych (*Izwiestia* z 21.7.89). Skąd wziąć 10 miliardów rubli na zakup za granicą artykułów konsumpcyjnych i lekarstw, nie powiedziano. Nie zdradzono też, gdzie się dokona zakupów. Najprawdopodobniej w Stanach Zjednoczonych, ponieważ europejski rynek nie będzie w stanie zaspokoić potrzeb obozu socjalizmu. Najważniejsze jednak zostało powiedziane: Gorbaczow zgodził się na masowy zakup żywności na Zachodzie, przed czym się bronił przez cztery lata, odrzucając propozycje takich ekonomistów jak Nikołaj Szmielew i Wasilij Seliunin, którzy uważają, że zaspokojenie przynajmniej niektórych potrzeb sowieckiego konsumenta pozwoli mu przetrwać *pieriestrojkę*. Gorbaczow skłaniał się do strategii Abla Aganbegiana, który uważa, że nie należy się bardzo zadłużać.

„Kredyt zaufania narodu do *pieriestrojki* zaczyna się wyczerpywać", powiedział deputowany W.I. Oskobojnikow (*Izwiestia* z 20.7.89). Jest możliwe, że świadomość tego faktu skłoniła Gorbaczowa do zmiany kursu. Strajki górników przekroczyły być może rozmiary, które generalny sekretarz uważa za dopuszczalne. Ich skutki są trudne do przewidzenia. Wynik na dziś jest dla Gorbaczowa pozytywny. Podpisany w Kuzbasie protokół wymienia przyczyny napiętej sytuacji społeczno-ekonomicznej w rejonie, tzn. i strajków; dyktat i porażka ministerstw i rządów, niekompetencja miejscowych organów partyjnych i państwowych, coraz gorsze zaopatrzenie ludności w żywność i towary pierwszej potrzeby (*Izwiestia* z 20.7.89). O niczym innym nie mówi Gorbaczow od ponad czterech lat: winne są miejscowe organy władzy, prowincjonalni naczelnicy. Komentator *Komsomolskiej prawdy* (25.7.89) mógł z pełnym uzasadnieniem pisać: „Myślę, że główny wniosek ze strajku górników jest jednak optymistyczny. Pokazał on, że klasa robotnicza jest za zmianami gospodarczymi, które głosi partia. Jest za *pieriestrojką*, a przeciwko tym, którzy ją hamują...". Wynika z tego, że strajk wybuchł w imię Gorbaczowa i partii. Fakt, że pierwsi przerwali pracę górnicy obwodu kemerowskiego, którego pierwszy sekretarz ostro atakował Gorbaczowa na kwietniowym plenum w 1989 r., jest zapewne przypadkiem. W każdym razie A. Mielnikow został usunięty. Zanim to nastąpiło, zdążył powiedzieć o strajku: „Oto łamie się system administracyjno-nakazowy, ruszyła uderzeniowa fala dołów. Nie widzę żadnej sprzeczności między żądaniami strajkujących a ideami, jakie wysunął KC partii" (*Moskowskije nowosti* z 23.7.89).

Fala strajków, jaka w lipcu przetoczyła się przez Związek Sowiecki, nie mogła nie budzić skojarzeń z Polską. Liczni komentatorzy wspominają o Polsce lat 70-tych i 80-tych. Anatol Druzenko, który między sierpniem a wrześniem 1980 roku był korespondentem Moskwy w Polsce, wspomina, że w pierwszych komunikatach z Warszawy w ogóle nie padało słowo „strajk" — zastępował je zwrot „przerwa w pracy". Artykuł Druzenki nosi tytuł „Ostrzeżenie Kuzbasu" (*Moskowskije nowosti* z 23.7.89). Druzenko zgadza się, że „analogie są w polityce rzeczą delikatną", ale przypomina, że wydarzenia w Polsce lat 80-tych zaczęły się od żądań czysto ekonomicznych, które szybko zostały zaspokojone. Autor zgadza się z tymi, którzy powtarzają „ZSSR to nie Polska", ale uprzedza: „przez zadośćuczynienie konkretnym żądaniom górników nie rozwiązaliśmy ogólnych problemów".

Nie ulega wątpliwości, że ZSSR to nie Polska. Związek Sowiecki poszedł znacznie dalej. Jego problemy, nawet te, które przypominają polskie, nie są do nich podobne. Przemysł węglowy jest jedną z najbardziej skorumpowanych gałęzi przemysłu w ZSSR. W kopalniach wydobywa się kamienie, umownie zwane węglem. „Całe eszelony kolejowe — pisze dziennikarz — wożą po kraju bezwartościowe kamienie. Te kamienie nazywa się węglem, wydobytym przez nieistniejących robotników, za który jednak zapłacono rzeczywistymi pieniędzmi" (*Komsomolskaja prawda* z 27.7.89). Plany z reguły można wykonać tylko dzięki fałszerstwom albo wielkim naruszeniom wymogów bezpieczeństwa. Płaca górnika zależy nie od tego, jak pracuje, a od tego, czy dyrektor kopalni potrafi „skombinować" plan. Dziennikarz pisze: „Nie biuro zależy od kopalni, lecz kopalnia od biura". O mafii węglowej mówi się całkiem otwarcie.

„ZSRR to nie Polska" jest prawdą także dlatego, że Związek Sowiecki to imperium. Apel Rady Najwyższej do narodu zaczyna się od słów trwogi: „Wydarzenia ostatnich czasów, strajki i przerwy w pracy, konflikty narodowościowe, które wybuchają to w tym, to w owym rejonie...". W połowie lipca rozgorzała Abchazja. Wieloletni konflikt między Abchazcami, stanowiącymi we własnej republice mniejszość, i przeważającą wiekszością Gruzinów to przycichał, to się rozżarzał, jednak nigdy dotąd nie przybrał postaci zbrojnych walk. „Nie widzieliśmy jeszcze takiej ilości broni w rękach ludności", oświadczył oficer wojsk wewnętrznych. Ta broń to najnowsze karabiny maszynowe, butelki zapalające, amonal (*Prawda* z 23.7.89). Gazety donoszą o zabitych żołnierzach i oficerach, skierowanych do Abchazji dla zaprowadzenia ładu. „Obsada personalna wojsk wewnętrznych — pisze *Sowietskaja Rossija* 23.7.89 — nie raz musiała zapewniać bezpieczeństwo ludzi sowieckich, bronić ich interesów w Sumgaicie, Karabachu, Armenii, Ferganie, Nowym Uzenie". Lista nie jest pełna.

Opieszałość władz zwraca uwagę. Jeśli nie liczyć Tyflisu, gdzie bardzo szybko posłano dziesiętników dla krwawego uśmierzenia pokojowej demonstracji, wszędzie indziej wojska wewnętrzne tygodniami polują na winnych rozruchów. W Abchazji „mała wojna" trwa już cztery tygodnie. Władze tłumaczą się górami. To prawda, ale dolina fergańska jest płaska jak talerz, a tam także „uśmierzenie" zajęło dużo czasu. Co więcej, władze ewakuowały z obwodu Meschów, zwiezionych tu na rozkaz Stalina. Szepce się, że władze moskiewskie, które nigdy nie myślały o groźbie walk domowych, nie mają dość wojska, żeby wszędzie równocześnie tłumić rozruchy. Oficjalnie wojska wewnętrzne MSW liczą 300 tys. ludzi — 20 dywizji. Ile liczą naprawdę? Wiadomo, że trwa w tej chwili pobór do armii MSW.

Istnieją być może inne powody opieszałości władz. Gorbaczow może lubi, żeby konflikt najpierw nabrzmiał, a potem dopiero szuka dlań rozwiązania. Poza tym jednak przychodzi mi na myśl stara cesarska dewiza „dziel i rządź". Dziś np. Gruzini znaleźli się w stosunku do Abchazców w skórze „starszego brata". Kiedy zaczął narastać ruch narodowy w Mołdawii, okazało się nagle, że w republice żyje nieliczny naród Hahauzów, prawosławnych Turków, którzy chcieliby się wyzwolić spod jarzma Mołdawian. Koniec końców

wszystkie te krwawe rozruchy na obrzeżach imperium stanowią w oczach ludności kraju zapowiedź wielkiej rzezi, która zacznie się, jeśli zniknie łapa Moskwy, niekiedy ciężka ponad miarę, ale dobroczynna. Raz jeszcze wydaje się trafne niezmienne hasło: niczego innego być nie może, bez Gorbaczowa — zginiemy.

Wobec fali strajków, zabitych i rannych w Abchazji utworzenie międzyrejonowej grupy deputowanych wydaje się zdarzeniem mniej dramatycznym. Jest ono rzeczywiście mało dramatyczne, ale ważne, może nie tyle samo w sobie (chociaż dawniej w sowieckim „parlamencie" nic podobnego nie istniało, ponieważ nie był on parlamentem), ale dlatego, co się za tym kryje. Muszę od razu uprzedzić, że utworzenie międzyrejonowej grupy deputowanych nie robi jeszcze ze zjazdu deputowanych ludowych parlamentu. Nadaje jednak najwyższemu organowi władzy sowieckiej pozory parlamentu.

Już na zjeździe była mowa o utworzeniu międzyrejonowej grupy deputowanych. Grupa moskiewska, reprezentująca lewicowo-radykalną inteligencję, proponowała innym deputowanym podzielającym jej poglądy, aby się do niej przyłączyli. Na zjeździe nie udało się stworzyć grupy. O jej powstaniu zawiadomił Borys Jelcyn 19 lipca na zebraniu Rady Najwyższej. Celem grupy jest — oświadczył — „zacieśnienie kontaktów między deputowanymi, pogłębione opracowanie poszczególnych projektów ustaw itd'.". Jelcyn podkreślił, „że uwzględnianie alternatywnych punktów widzenia, szerokiego spektrum poglądów wszystkich warstw społecznych i analiza rozmaitych wariantów rozwiązań nabrzmiałych problemów w ważkich kwestiach życia są teraz szczególnie ważne" (*Izwiestia* z 20.7.89).

Po dwóch dniach obrad grupa się ukonstytuowała. W jej skład weszło 388 osób (wszystkich deputowanych jest 2.500). Dla zwołania nadzwyczajnego zjazdu deputowanych, który grupa chciałaby zebrać we wrześniu, potrzeba 450 głosów. Grupa liczy na głosy 138 deputowanych z Nadbałtyki. Wybrano komitet koordynacyjny w liczbie 25 członków, a z niego prezydium z pięcioma współprezydentami: Borysem Jelcynem, akademikiem Sacharowem, estońskim akademikiem Wiktorem Płamem, historykiem Jurijem Afanasjewem i ekonomistą Gawriłą Popowem (*Russkaja mysl* z 4.8.89). W rezolucjach grupy zwraca uwagę apel o zniesienie monopolu KPZS na władzę i o prawo do tworzenia organizacji politycznych, zawodowych i innych. Wyodrębniono punkt o prawie wszystkich obywateli do urządzeń liczących i powielających.

Rezolucja i propozycje brzmią pięknie. Co z nich wyjdzie, pokaże przyszłość. Co więcej, międzyrejonowa grupa stanowi bezsporną mniejszość na zjeździe, na którym króluje absolutna demokracja z pierwszym demokratą Michaiłem Gorbaczowem na czele. Utworzenie międzyrejonowej grupy odzwierciedla przede wszystkim różnice zdań, jakie zrodziły się po zjeździe między inteligencją (głównie moskiewską), żarliwymi rycerzami *pieriestrojki* i jej ojcem, ich głównym protektorem i dobroczyńcą — Michaiłem Gorbaczowem. Przepaść (głęboka szczelina?) zarysowała się na zjeździe. W każdym razie na zjeździe Gorbaczow jeśli nie powiedział, to pokazał, że Murzyn zrobił swoje i Murzyn może odejść. Rozłam rysował się dawno. „Inteligencja" (nazywam tak bezwarunkowych zwolenników Gorbaczowa, bo inne słowo nie przychodzi mi na myśl)

jeszcze przed zjazdem zauważyła, że generalny sekretarz za szybko zbiera w rękach wszystkie cugle władzy, że za łatwo zmienia stanowisko w zależności od swoich własnych interesów politycznych. Jego postępowanie na zjeździe — na którym zachowywał się jak jedyny gospodarz, który wszystkim i wszystkimi dyryguje — wstrząsnęło nawet jego najgorętszymi zwolennikami. Jurij Afanasjew na zebraniu założycielskim grupy międzyrejonowej jasno sformułował dylemat: Gorbaczow musi wybrać, czy chce być przywódcą nomenklatury, czy przywódcą *pieriestrojki*. Politolog Andranik Migranian pisał w analizie ruchu strajkowego: „Niepokojące jest to, że centrum nie wyprzedza rozwoju wydarzeń, jakie rodzą się w dole i w pewnym momencie przeradzają się w groźne wyzwanie, tylko bezustannie goni za nimi, przy czym źle goni, ponieważ czasami podejmuje niewłaściwe decyzje, które nie rozwiązują kryzysu, tylko go pogłębiają" (*Sowietskaja kultura* z 29.7.89). Andriej Sacharow bawiąc w lipcu w Londynie bardzo surowo mówił o „autorytaryzmie" Gorbaczowa. Akademik Sacharow odczuł go na własnej skórze: przewodniczący Gorbaczow wyłączył mikrofon, kiedy słynny uczony przemawiał na zjeździe. *Moskowskije nowosti* ogłosiły 2 sierpnia komentarz Jewgienija Ambarcumowa, w którym mowa jest o tym, że Gorbaczow był wprawdzie architektem zjazdu deputowanych, ale jako jego przewodniczący dał wyraz „zbytniego autorytaryzmu". W sierpniowym numerze *Nowego mira* ukazał się duży artykuł Andranika Migraniana, który stwierdza, że autorytet Gorbaczowa spadł w porównaniu z pierwszymi dwoma latami *pieriestrojki*. Na zjeździe zwrócono uwagę, że Gorbaczow gra równocześnie dwie role, głowy partii i głowy opozycji. Migranian formułuje to inaczej, pisząc, że „Gorbaczow gra dwie role, Lutra i papieża. Z jednej strony rzuca wyzwanie nomenklaturze i chce ją rozbić albo zmienić. Z drugiej strony w oczach społeczeństwa ucieleśnia ten system". W znanym zbiorze „Nic innego nie jest możliwe", który ukazał się w 1988 r. jako program *pieriestrojki* zaproponowany Gorbaczowowi przez inteligencję Migranian umieścił artykuł, w którym pisał o potrzebie charyzmatycznej jednostki (prawie jak Jerzy Urban w liście do Kani) dla przeciwdziałania biurokracji. Podkreślał: „Stabilność i rutyna są zgubą charyzmatycznego przywódcy i okresem rozkwitu biurokracji, jeśli w systemie politycznym brak instytucji demokratycznych i publicznej sfery władzy". Politolog ostrzegał: „Oto dlaczego w miarę rozwoju naszego systemu politycznego biurokracja nauczona doświadczeniem walki ze Stalinem i pomna swych ciężkich porażek w tamtym okresie, starała się nie dopuścić do powstania nowej charyzmatycznej jednostki w osobie Chruszczowa".

Dziś zagrożony jest Gorbaczow. Zagraża mu przede wszystkim — Gorbaczow. Rycerze *pieriestrojki* chcą zbawić Gorbaczowa od Gorbaczowa. Wydaje im się, że może on — powinien — wybrać; stanąć na czele nie nomenklatury, ale *pieriestrojki*, stać się Lutrem, a przestać być papieżem. Straszą go: jeśli nie dokona trafnego wyboru, czeka już kandydat do stanowiska charyzmatycznego wodza, Borys Jelcyn.

Odnosi się wrażenie, że ideolodzy grupy międzyrejonowej nie chcą dostrzec, że Gorbaczow dawno dokonał wyboru. W dniu, w

którym objął stanowisko generalnego sekretarza. Chce być przywódcą *pieriestrojki*, żeby zbawić nomenklaturę, choć w zmienionym składzie. Chce być Lutrem tylko po to, aby umocnić swój tron papieża komunistycznego Kościoła.

Nie ulega wątpliwości, że sytuacja Gorbaczowa nie jest łatwa, jak sam powiada. Jest trudna, jak mówią jego towarzysze. Ale są to trudności przejściowe. Jak pisze komentator *Time*'a (7.8.89), prezydent Stanów Zjednoczonych, George Bush, może zamówić szereg modlitw w kościele episkopalnym prosząc Boga by pomógł Gorbaczowowi. Czy prośby jego zostaną wysłuchane, nie jest pewne. Ale niezbadane są wyroki Boskie...

Adam KRUCZEK

4.8.89

Z lektury czasopism ukraińskich

W 1988 roku Wasyl Barładianu, b. więzień polityczny i członek redakcji niezależnych czasopism: *Ukrajińśkij Wistnyk* i *Kafedra*, postawił tezę, iż językowi ukraińskiemu grozi los języka irlandzkiego i nie uratują go towarzystwa popierania mowy ojczystej lub inne sztuczne twory. Celtycki przegrał współzawodnictwo z angielskim, ponieważ ne mógł się poszczycić literaturą piękną na wysokim poziomie artystycznym. Dlatego uratować język ukraiński może jedynie wydanie CAŁEGO dorobku literackiego, w tym także twórczości pisarzy z lat 1960-tych (W. Stusa, I. Switłycznego, J. Swerstiuka, I. Kałyncia, M. Osadczego i wielu innych). Tylko wówczas inteligencja ukraińska powróci do ojczystego języka. Tymczasem członkowie Związku Pisarzy Ukrainy domagają się wydania tylko utworów klasyków (np. Chwylowego, Wynnyczenki, Lepkiego), a wcale nie chcą opublikowania dorobku twórców prześladowanych w okresie Breżniewa, gdyż ukazanie się ich prac uwidoczniłoby lokajstwo członków Związku wobec władz w minionym okresie. Nawet „Sobór" Honczara nie może służyć za usprawiedliwienie postawy oficjalnych pisarzy, gdyż autor bał się wskazać w swym utworze prawdziwą przyczynę niszczenia przybytków kultu — program KPZS. Dlatego Barładianu doszedł do wniosku, iż w sprawie publikacji „interesy Związku Pisarzy Ukrainy i KGB Ukrainy całkowicie się pokrywają" (*Kafedra* nr 5/1988).

Jakby na potwierdzenie słuszności tezy Barładianu oficjalne czasopisma literackie pozostają zamknięte dla twórców, którzy powrócili z Gułagu; mogą oni publikować tylko w drugim obiegu. Natomiast powoli i wybiórczo ulega rehabilitacji i powraca do życia ukraińskie dziedzictwo kulturowe i niektóre utwory wybranych klasyków. Realizowane są więc żądania stawiane na zjeździe oficjalnego Związku Pisarzy Ukrainy w czerwcu 1986 roku i powtórzone w ostrzejszej formie jesienią 1987. Uwagę zwracają zwłaszcza liczne pozycje dotyczące kozackiej przeszłości Ukrainy — temat wyklęty jeszcze w latach 1930-tych: Dymytra Jawornyćkiego „Historia Kozaków zaporożskich" (*Żowteń* 6/1989), Mychajła Hruszewśkiego „Historia kozacczyzny ukraińskiej" (*Witczyzna* 6/1989) oraz Wołodymyra Serhijczuka „Służba Dyplomatyczna Bohdana

Chmielnickiego. Kronika lat 1648-1657" (*Żowteń* 6/1989), uzupełniona o historyczne opowiadanie Bohdana Lepkiego, „Wadym" (tamże).

Na razie jeszcze milczenie pokrywa dorobek pisarzy antykomunistycznych jak Hryhorij Kosynka, rozstrzelany w grudniu 1934 roku, czy zmarły na emigracji Iwan Bahrianyj. Udało się jednak opublikować kilka dotychczas nieznanych utworów Borysa Antonenko-Dawydowycza (1899-1984). Pisarz był działaczem Ukraińskiej Komunistycznej Partii (1920-1925), powstałej z lewego skrzydła socjaldemokracji, które wypowiedziało się za Ukrainą komunistyczną lecz niepodległą i ponosi znaczną część odpowiedzialności za upadek Ukraińskiej Republiki Ludowej. Po likwidacji UKP Dawydowycz pozostał bezpartyjny i odszedł od komunizmu narodowego. *Dnipro*, literacki miesięcznik Komsomołu, publikuje więzienne wiersze Borysa Antonenka-Dawydowycza oraz nieznany wywiad przeprowadzony z pisarzem latem 1982 roku przez Borysa Tymoszenka. Dawydowycz opowiada jak trafił na Archipelag Gułag. W 1934 roku został aresztowany w Ałma Acie, dokąd wyjechał w poszukiwaniu pracy, sprowadzony na Ukrainę i oskarżony o terroryzm. Pisarz nie załamał się i ani sam się nie przyznał do wyimaginowanych zbrodni, ani nikogo nie oskarżył. Nic nie dało inscenizowanie rozstrzelania, pozbawienie snu, konfrontacja z aresztowanymi poetami Epikiem i Płużnykiem, którzy się załamali i oskarżyli Dawydowycza. Gdy śledczy chciał użyć siły, pisarz zagroził: „Spróbujcie tylko mnie uderzyć, a wszystko, co jest pod ręką, przede wszystkim stół, na was poleci". To poskutkowało. Ostatecznie wyrok wyniósł 10 lat, później, już w obozie, dorzucono jeszcze jedną dziesiątkę.

Miesięcznik *Witczyzna* (nr 7), centralny organ Związku Pisarzy Ukrainy, rozpoczął druk powstałych w latach 1980-1982 opowiadań syberyjskich Dawydowycza. Były one z pewnością pisane do szuflady, gdyż autor nie stosuje żadnej samocenzury, a jego utwory jednoznacznie oskarżają ustrój komunistyczny.

Akcja „Czystki", najciekawszego opowiadania, toczy się wkrótce po zakończeniu procesu tzw. Związku Wyzwolenia Ukrainy (wiosna 1930), który zapoczątkował falę terroru przeciwko niekomunistycznym przedstawicielom świata kultury. Pracownicy kijowskiej filii wydawnictwa „Knyhospiłka" oczekują na czystkę, a skupiła się tu straszna kontra — sami bezpartyjni. Żyjący z dala od polityki i oddany swej pracy księgowy Semeneć występuje publicznie w obronie pierwszych aresztowanych, jakby „niczego nie nauczył się w ciągu tych trzynastu lat rewolucji". Semeneć nie lubi bolszewików, boi się ich władzy, nie uwierzył nawet w NEP, ale sądzi, że milczenie w obliczu nieprawdy równoznaczne jest z kłamstwem. Dla księgowego absurdalność zarzutów jest oczywista, przecież „dwa razy dwa zawsze będzie cztery". Ale inni odsuwają się od niego.

Cóż stało się z ludźmi, którzy kiedyś potrafili stawić czoła carskim żandarmom, a teraz potulnie wykonują poniżające polecenia komisarzy? Semeneć dochodzi od wniosku, że z obywateli „wszyscy przekształcili się w ludność". „Kiedy i jak nastąpiła ta metamorfoza, której dotąd nie zauważał" — nie potrafi rozstrzygnąć.

Semeneć broni aresztowanych, wreszcie na zebraniu sam w rozpaczy przyznaje się do służby we wszelkich możliwych oddziałach antybolszewickich i zostaje zwolniony z pracy przy aplauzie zgromadzonych. Ale jeszcze tego samego wieczoru odwiedza go kolega z pracy, pisarz Pidohylnyj i poeta Płużnyk (obaj zginą później na Sołowkach), by pomóc finansowo żyjącemu w nędzy księgowemu. Gdy wyrażają mu podziw za odważne wystąpienie, Semeneć przyznaje, że zabrał głos, świadomie licząc na aresztowanie, więzienie byłoby dla niego wybawieniem od dotychczasowego sowieckiego życia i odpowiedzialności za rodzinę. Semeneć w tajemnicy przed chorą na gruźlicę żoną nawet kupił sobie słoninę, którą chce zabrać do celi, by jeść ją tam codziennie po plasterku.

W tym samym numerze *Witczyzny* zwraca uwagę opowiadanie Jurija Hołoborod'ka „Opadły jesienne liście", które otwiera cykl literatury rozliczeniowej.

Jakow Zaruba przychodzi na stypę po śmierci Petro Czabana. Zaruba nie wie, dlaczego zmarły zawsze go unikał, nie pamięta żadnych kłótni, które mogłyby ich poróżnić. Starzy kołchoźnicy są jednak oburzeni, gdy Jakow zabiera głos na stypie. Jeden z sąsiadów przypomina Zarubie jak w 1938 roku wpakował Czabana na 10 lat do łagru oskarżając go na zebraniu komsomolców o sprzyjanie kurkulom (kułakom). Jakow nie jest intelektualistą więc nie potrafi wytłumaczyć się ukąszeniem Hegla ani rozdarciem duszy. Wierzyłem, że tak trzeba dla sprawy, dla ludu — mówi Jakow. Sekretarz kazał znaleźć wroga, uwierzyłem mu i szukałem, nie wiedziałem, że tak wyjdzie. Rówieśnicy Zaruby są jednak innego zdania; jeden z nich mówi: „Wszystko dlatego Jakowie, że chciałeś się wysługiwać, być na widoku. Pół wieku minęło i myślałeś, że wszystko poszło w niepamięć. Nie, Jakowie, ludzie niczego nie zapomnieli".

Czy rzeczywiście ludzie „niczego nie zapomnieli"? Czy przywracanie pamięci obejmie całą historię komunizmu na Ukrainie, terror z lat 1920-tych (np. proces „Centrum Diji" w 1925 roku, rozstrzelanie grupy Czuprynki w 1921 r.), zniszczenie Ukraińskiej Republiki Ludowej i odpowiedzialność nacjonalbolszewizmu za klęskę dążeń niepodległościowych?

Bez dyskusji na te kluczowe tematy przeszłości nie można sobie wyobrazić prawdziwego odrodzenia kulturalnego i narodowego na Ukrainie.

Mychajło Kosiw omawia na łamach miesięcznika *Żowteń*, lwowskiego organu Związku Pisarzy Ukrainy, politykę w kwestii językowej na Ukrainie. Autor dochodzi do wniosku, że „Stalin sprytnie maskował się à la Lenin, w istocie niszcząc leninizm, jego podstawowe zasady ukierunkowane na demokratyzm, *głasnost'*, ludowładztwo, humanizm". Ponieważ cytatami z Lenina może podpierać się każdy, autor zagłębia się w pisma wodza i wyprowadza z nich prawa narodu ukraińskiego do statusu państwowego, do własnego języka, obywatelstwa ukraińskiego (tylko dla osób znających ukraiński), suwerenności republiki (ogólnozwiązkowe miałyby być tylko MSZ i Min. Spr. Wojskowych). Sprawą najważniejszą jest teraz studiowanie listów Lenina do XII zjazdu z 1922 r. na temat struktury ZSSR i kwestii narodowej oraz poświęcenie im plenum KC KPZS.

Tymczasem bez powoływania się na Lenina 1 lipca ukonstytuował się kijowski oddział „Ludowego Ruchu na rzecz Przebudowy". Do jego zarządu wybrano m.in. poetów Iwana Dracza (przewodniczący) i Dmytra Pawłyczkę (obaj z pokolenia lat 1960-tych, pisarza Wołodymyra Jaworiwskiego (deputowany do kongresu ZSSR), Mykołę Horbala i Jurija Badzio (obaj członkowie UZH, b. więźniowie). Doszło też do scysji z przedstawicielami partii: Dracz zrelacjonował prześladowania „Ruchu" przez władze republiki i wystąpił w obronie Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej, zaś Jaworiwśkyj domagał się usunięcia z programu „Ruchu" zapisu o kierowniczej roli partii i wskazywał, że brak własnej państwowości narodowej był powodem nieszczęść narodu ukraińskiego.

Z powodu zachowania w programie klauzuli o kierowniczej roli partii, do „Ruchu" nie wstąpił niezależny Ukraiński Związek Helsiński, delegując jedynie swojego łącznika. UZH sam szybko rozwija się; jego filie ukonstytuowały się już we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Łucku, Żytomierzu, Kijowie, Czernichowie, Charkowie, Doniecku i Czerniowcach. Do Związku na zasadach autonomii wstąpiła Ukraińska Liga Ludowo-Demokratyczna. 24 czerwca udało się jej przeprowadzić w Rydze konferencję (próba podjęta w Kijowie 21 stycznia nie powiodła się z powodu przeciwdziałania KGB), na którą przybyli tylko delegaci z Kijowa, Odessy i Dniepropietrowska oraz obserwatorzy z lwowskiego *Ukrajińskoho Czasu*. Nie zdołano rozstrzygnąć czy USSR jest strukturą narodową czy okupacyjną, czy Liga ma być partią czy też organizacją polityczną i wreszcie, czy Ukraina powinna być państwem federacyjnym czy unitarystycznym. Sam Ukraiński Związek Helsiński opowiada się za likwidacją ustroju komunistycznego i przekształceniem ZSSR w konfederację.

Lawinowo zaczyna rozwijać się prasa drugiego obiegu. W grupie czasopism literackich, oprócz lwowskiej *Kafedry* (8 numerów) i *Jewszan Zillii*, w Dniepropietrowsku ukazały się *Porohy*, a w Kołomyi *Karby hir*. W kategorii

pism społeczno-politycznych i biuletynów informacyjnych ukazują się we Lwowie: *Ukrajińskyj Wisnyk* (UZH), *Lwiwśki nowyny* (UZH), cotygodniowy *Informator* lwowskiej filii UZH (31 numerów), *Wilna Ukrajina, Postup, Ukrajińskyj Czas*, a w Kijowie: *Hołos Widrodżennia* (UZH), *Opowisnyk* (UZH), w Tarnopolu *Informator* tutejszej filii UZH. Nie wiadomo, czy kontynuowane są *Dzwin, Koło* i *Christiańskyj Hołos*.

4 marca w Kijowie założono towarzystwo pamięci ofiar stalinizmu „Memoriał" jako autonomiczne w stosunku do organizacji ogólnozwiązkowej. Do Rady Koordynacyjnej ukraińskiego „Memoriału" weszło dwu członków Komitetu Wykonawczego Ukraińskiego Związku Helsińskiego: Mychajło Horyń i Jewhen Proniuk (został on też przewodniczącym założonego 3 czerwca Towarzystwa Ukraińskich Represjonowanych), natomiast we Lwowie tamtejszy oddział „Memoriału" został stworzony przez UZH. 18 lipca podano jednak do wiadomości odmowę zarejestrowania „Memoriału" wydaną przez republikańskiego prokuratora oraz ministrów sprawiedliwości, finansów, kultury i spraw wewnętrznych. Odmowę uzasadniono zbytnim upolitycznieniem programu Towarzystwa.

Można już swobodnie pisać o głodzie: *Żowteń* publikuje dwa opowiadania Mychajła Potupejki, inne czasopisma zapowiadają wydanie materiałów literackich i historycznych, ale co będzie z odpowiedzialnością personalną za ludobójstwo?

Anatolij Szczerbatiuk ze wsi Łozowata złożył 3 kwietnia do prokuratora miasta Kijowa pozew, domagając się pociągnięcia do odpowiedzialności karnej kata Ukrainy Łazara Kaganowicza za wywołanie sztucznego głodu i spowodowanie przez to śmierci m.in. wielu swych krewnych i sąsiadów. 18 maja nadeszła urzędowa odpowiedź od prokuratora Hromadzkiego, stwierdzająca, że Kaganowicza nie można postawić przed sądem z powodu przedawnienia jego przestępstwa. A przecież 11 marca 1969 r. ZSSR ratyfikował międzynarodową konwencję o nieprzedawnianiu zbrodni przeciw ludzkości.

Z oburzeniem spotkały się plany J. Hofmana nakręcenia filmu według „Ogniem i Mieczem" oraz zwrócenia się w tym celu z prośbą o pomoc do kinematografii ukraińskiej. Pomysł ten odebrano jako przejaw polskiej bezczelności. Reżyser nie martwi się — stwierdza *Żowteń* — że Sienkiewicz faktycznie oczernił naszą historię, kozactwo i wodzów powstania narodowego 1648 roku — i dodaje: „Rozumiemy trwogę Ukraińców w Polsce: a nuż „nasi w Kijowie" zgodzą się na propozycję polskiego reżysera" (*Żowteń* 6/89).

Ukazujący się od zeszłego roku w Kołymyi niezależny almanach literacki *Karby hir* (nr 4) publikuje w ukraińskim tłumaczeniu dokument podpisany przez Naczelny Komitet Wyzwolenia Kresów Wschodnich i datowany 30 marca 1940 roku. Jest to ulotka zatytułowana: „Obywatelu Polski pod okupacją sowiecką". Jej autorzy wyrażają obawę, iż po wojnie może dojść na kresach do plebiscytu, w wyniku którego mogłyby one pozostać raz na zawsze w składzie Rosji Sowieckiej i dlatego „na naszych kresach zniknąć musi wszelki ślad ukraińskości". W tym celu Polacy powinni „dążyć do oczyszczenia Kresów Wschodnich od rusińskich inteligentów". Autorzy ulotki radzą, by Polacy przenikali do organów nowej władzy, zawarli sojusz z ludnością żydowską i niszczyli ukraińskość środkami „jakie tylko stoją do ich dyspozycji".

W swoim komentarzu redakcja — dla której autentyczność ulotki nie ulega wątpliwości — stwierdza: „W roku 1940 istniała w radzieckim Lwowie reakcyjna antyradziecka i antyukraińska organizacja polskich szowinistów, która stawiała sobie za cel przywrócenie na Ukrainie Zachodniej status quo sprzed września 1939 roku (...) jak widzimy z przytoczonego dokumentu, polscy nacjonaliści odwoływali się do polityki ludobójstwa wobec Ukraińców w Hałyczynie jeszcze w roku 1940, kiedy nacjonaliści ukraińscy

w ogóle nie podejmowali żadnych akcji przeciwko Polakom".

W podobnym tonie pisze *Żowteń*, zarzucając E. Prusowi nie oszczerstwa, czego należałoby się słusznie spodziewać, lecz pomijanie w „Atamanii UPA" faktu, iż „ukraińską ludność na Wołyniu, w tym też w „Zakerzońskim Kraju" terroryzowali polscy nacjonaliści w nie mniejszym stopniu", niż ukraińscy nacjonaliści ludność polską. *Żowteń* powołuje się na warszawski tygodnik ukraiński *Nasze Słowo* (nr 1/1989), który przypomina list J. Jakowycza do *Polityki* (nr 47/1988) w sprawie „wymordowania w nocy z 10 marca 1944 roku wszystkich, co do jednego, mieszkańców ukraińskiej wsi Sahryń przez oddziały AK i BCH". Na zakończenie *Żowteń* dodaje: „a takich wsi, jak wiadomo, były nie dziesiątki lecz setki. Powinni o tym pamiętać nie tylko autorzy polscy, piszący bestsellery, ale także nasi naukowcy, którzy czasami nie dostrzegają strasznej tragedii narodów polskiego i ukraińskiego — wzajemnej rzezi w latach czterdziestych".

Dyskusja w sprawie wojny polsko-ukraińskiej toczy się więc raczej pod hasłem: „Wyście też mordowali".

Józef DARSKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London 3W5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

O religii bez namaszczenia

„Priwislienije"

ROZMOWA Z OJCEM JÓZEFEM MARIĄ BOCHEŃSKIM

PYTANIE: — *Czy po tylu latach panowania „jedynie słusznej" ideologii możliwy jest pluralizm ideowy w polskim społeczeństwie?*

ODPOWIEDŹ: — Ten pluralizm zawsze istniał, w tym znaczeniu, że ludzie wyznawali różne światopoglądy, różne ideologie, tylko nie mogli dać temu wyrazu. Niemniej, jeśli jakiś kraj przez wiele lat jest pod panowaniem systemu totalitarnego, gdzie tylko jeden sposób myślenia jest głoszony, to musi pozostawić ślady i później bardzo trudno jest dojść do pluralizmu. To, co się w tej chwili dzieje w Rosji — na płaszczyźnie politycznej, bo o tym, co się dzieje w ideologii nie wiemy — jest tego dowodem. Nie wiedzą, jak się robi pluralizm, jak się robi kompromisy. Nigdy o tym nie słyszeli.

P.: — *Ale, to Rosja. My mamy chyba większe doświadczenia pod tym względem?*

O.: — To jest przykład. Oni mają dużo dłużej niż Polska te same rządy i teraz nie potrafią dać sobie z tym rady.

P.: — *Oficjalna propaganda potrafiła do tej pory anektować symbole i hasła różnych orientacji światopoglądowych. Czy nie stanowi to zagrożenia dla istotnych wartości kulturowych niesionych przez Kościół i Solidarność?*

O.: — Niewątpliwie, z tym, że dużo mniej groźne jest to, co oni głoszą niż to co zakładają. W moim przekonaniu, w kraju

totalitarnym, jakim Polska była i w dalszym ciągu częściowo jest (cenzura ciągle konfiskuje) w ludzi wsiąka nie to, co oni mówią, ale to co zakładają. Jest to przede wszystkim Oświecenie. Osiemnastowieczna postawa wobec świata: wiara w postęp, wiara w naukę i wiara we wszechmoc człowieka. Prometejska wizja. To nie jest ideologia. To światopogląd. Niewiele o tym mówią, ale to jest podstawa ich ideologii. Ona wsiąka w ludzi. Tym bardziej, że ci, którzy ją głoszą mają monopol na rozpowszechnianie swoich poglądów. Dopiero teraz stali się łaskawi, np. PWN drukuje moje prace, ale przedtem nie figurowałem nawet w polskiej bibliografii. Nie istniałem.

P.: — *Ich ideologia jest już martwa. Co ją zastąpi?*

O.: — Różne poglądy na świat. One i teraz istnieją. Jeśli raz Polska dostanie wolność, to będą one formułowane i głoszone. Przeważać będzie zapewne jakiś rodzaj światopoglądu chrześcijańskiego. Choć i w to można wątpić.

P.: — *Skąd ta wątpliwość?*

O.: — Bo z polskim chrześcijaństwem stała się rzecz, która bardzo mi się nie podoba. To jest chrześcijaństwo często bezmyślne, bez kośćca, sentymentalne, nie przejawiające się w praktyce. Ludzie nie żyją po chrześcijańsku, chociaż chodzą do kościoła...

P.: — *Co to znaczy żyć po chrześcijańsku?*

O.: — Zachowywać przykazania!

P.: — *Żyjemy wbrew przykazaniom? To wpływ komunizmu?*

O.: — Nie, to polska tradycja. Taka to historia: w XII w. w całym świecie był przełom, zmiana epoki, a w Polsce — katastrofa tatarska. Odnowa w Kościele niesiona jest później głównie przez dwa zakony — franciszkanów i dominikanów. Ale, podczas gdy dominikanie są elitarni, zbierają śmietankę, franciszkanie mają znacznie większy wpływ na masy. Otóż u nich nacisk położony jest na uczucie. Byłoby, co prawda, niesprawiedliwością nazywać ich postawę sentymentalizmem — franciszkanie dali Kościołowi wielu wybitnych myślicieli — ale wydaje mi się, że ich kaznodziejstwo zostało zrozumiane jako sentymentalne i stało się przyczyną powstania w Polsce religijności skrajnie sentymentalnej, uczuciowej.

Potem przyszła druga katastrofa — Reformacja. Mało kto wie u nas, że Polska stała się wówczas praktycznie krajem protestanckim.

P.: — *Elita i to nie cała.*

O.: — Elita się liczy. To elita robi historię. W moim zakonie, np. sześciu mistrzów teologii — stopień, który nabywa się w czternaście lat po doktoracie — przeszło na protestantyzm. Idźmy dalej. Mieliśmy wtedy genialnego człowieka — Hozjusza. Widzi, że jest katastrofa — sprowadza, co ma najlepszego — jezuitów. Przyjrzeli się temu, co w Polsce było, zobaczyli, że to takie sentymentalne. Co robią w obliczu katastrofy? Dmą w surmę sentymentalizmu. Skutek jest taki, że nabraliśmy pobożności „od jelit", nie tej „od mózgu". To nie jest zabawne. Jeśliby przypadkiem była wolność, co się może zdarzyć — daj Boże — to obawiam się, co z tym chrześcijaństwem będzie. W każdym razie nie będzie to jedyny światopogląd.

P.: — *A gdyby to sentymentalne, w polskim wydaniu chrześcijaństwo zajęło miejsce marksizmu...*

O.: — Nie zajmie. Nie ma kośćca. Marksizm miał. Głupie to było, ale miał. A tu co? Nie uczy się ludzi myśleć o wierze.

P.: — *Mamy zatem sentymentalne chrześcijaństwo. Co z innymi światopoglądami?*

O.: — Będą inne obok niego. Jak będzie wolność to chrześcijaństwo wiele straci przez sam fakt, że jest wolność. Obok kościoła — do ostatnich czasów nie było miejsca gdzie można by się zebrać. W Polsce można było pyszczyć tylko w instytucjach kościelnych. Kościół był dotąd jedyną podporą wszystkiego, co polskie. Jeśli teraz będzie wolność, znajdą się inne. Obawiam się, że to będzie — jak mówił mój przyjaciel Francuz — spadek podobny do Niagary.

P.:— — *Ale — przynajmniej tak przyjęło się mówić — Polska to kraj katolicki.*

O.: — Bo tak jest, bo chodzą do kościoła. Modli się pod figurą, a ma diabła za skórą.

P.: — *Przestaniemy być krajem katolickim?*

O.: — Tak źle znowu chyba nie będzie. Jest tradycja, ludzie już się przyzwyczaili. Powiedzmy z pewną dozą cynizmu, że w tej chwili katolicyzm ratują Murzyni i Polacy. Bo to chodzi do kościoła. Pod tym względem jesteśmy jednym z przodujących krajów. Ale co to znaczy być chrześcijaninem? Być ochrzczonym? Chodzić do kościoła? Wierzyć? Żyć według przykazań?

Są różne możliwe definicje. Kościół, w swej mądrości, jak długo może trzymać wszystkich tych ludzi, to ich trzyma. Rozmawiałem kiedyś z pewnym uczonym, historykiem francuskim. Doktor Sorbony itd., ksiądz zresztą. Mowa była o katolicyzmie francuskim. Wygląda katastrofalnie. Do kościoła chodzą tam tylko stare babki z burżuazji. Stracili lud. On mi mówi: nieprawda, 80% dzieci jest chrzczonych.

P.: — *A u nas, jak to, według Ojca, wygląda?*

O.: — U was jest „priwislinskij kraj". Cenzura z obu stron. Jak byłem w Polsce, chciałem mówić o Marksie w instytucji kościelnej. Nie pozwolili. W końcu powiedziałem, ale to ja „cudzoziemiec" z niewyparzoną gębą mogę sobie na to pozwolić; kto inny by nie mógł. Ja tego nie poznaję. Jestem przerażony zmoskwiczeniem Polaków. Może wy tego nie zauważacie, ale takiego starego człowieka jak ja, który zna Polskę sprzed pół wieku, to aż bije w oczy; parszywe, moskiewskie stosunki międzyludzkie. „Błat", jak oni to nazywają, sposoby na wykańczanie ludzi. Także w środowisku katolickim. To przykre skutki okupacji przez Moskali i monopolu, który mieli na głoszenie swojej ideologii. „Priwislinskij kraj"!

P.: — *Sytuacja jest chyba trochę inna. Władza po raz pierwszy pozostaje w obliczu gwałtownych przemian społecznych bez poparcia zza Buga.*

O.: — Ono przyjdzie. Los Polski zależy od tego, co stanie się w Rosji.

P.: — *I chyba też od nas samych, od możliwości przeprowadzenia reformy systemu.*

O.: — Rzecz w tym, żeby kierownictwo było porządne, żeby na kierowników przedsiębiorstw mianowano fachowców, a nie tych, którzy mają łaskę u partii. Kwestia kierownictwa — to jest główna różnica między Zachodem a Polską. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że znaczna część przemysłu europejskiego jest w kieszeni państwowej?

P.: — *Wpływ?*

O.: — Nie, kapitał. Cała ta dyskusja o przeciwieństwach socjalizmu i kapitalizmu to głupstwo. Nie można przyjmować, że możliwe są tylko dwa systemy. W moim modelu, bardzo skromnym, jest ich 64. Przede wszystkim chodzi o kierownictwo. Jakie ono u was jest?! Zupełnie bez pojęcia!

P.: — *Zdążyliśmy się o tym niejednokrotnie przekonać. Tyle, że oni sami nie odejdą.*

O.: — Naturalnie. Widzi pan, co się w Rosji dzieje.

P.: — *Wziąć za kołnierz i wyrzucić też się nie dadzą.*

O.: — Kiedyś będzie w Rosji smuta. Wtedy trzeba będzie wziąć kawałek żelaza i bić to wszystko po głowie. Inaczej nie można. Tej rozmaitej „nomenklatury" jest podobno w Polsce paręset tysięcy?

P.: — *Oficjalnie nomenklatury już nie ma, ale trzy, może pięć milionów...*

O.: — ...żyje z tego. Przesadzacie panowie. Przy tym się obijają, będą obijać i przy czym innym. Bić po głowie trzeba tych, którzy mają rzeczywistą władzę. Tamtych obijających się nie. Można ich użyć.

P.: — *Ojciec powiedział „priwislinskij kraj". Podobną opinię, inaczej sformułowaną, słyszałem od pewnego Ormianina — jesteście bardzo podobni do Rosjan: to samo chamstwo i to samo jedzenie. Znalazło się 20 tys. górników w Jastrzębiu i okolicach, żeby zastrajkować. Ale co z resztą? Ale na jak długo starczy sił? Czy nie grozi nam rozpad świadomości narodowej?*

O.: — Nie podzielam pańskich obaw. Pod tym względem w Szwajcarii jest dużo gorzej niż w Polsce. Polakom nie grozi zanik świadomości narodowej. Entuzjazm, z jakim młodzi ludzie w Polsce przyjmowali moje wypowiedzi o marksizmie, tu, w Szwajcarii, spotkać można najwyżej w trakcie meczów piłkarskich.

P.: — *Może tak źle z nami pod tym względem nie jest, ale za to jesteśmy zaściankowi, coraz mniej europejscy. A polskość to przecież i europejskość.*

O.: — Trzeba bardzo uważać. Europa to wielki kraj. Różnica między Polską a Szwajcarią jest prawdopodobnie mniejsza niż między Portugalią a Szwajcarią. A ten kraj leży przecież w sercu Europy. Niestety, wiele pozytywnych rzeczy tu zamiera. W Polsce doskonale rozumiałem się z młodym pokoleniem.

P.: — *Miał Ojciec do czynienia z bardzo wybraną grupą — tymi, którzy przyszli na spotkanie. Jeśli „błat" uważa się za rzecz normalną, jeśli zatraca się wobec innych ludzi poczucie przyzwoitości...*

O.: — Uprzejmość, hojność i inne rzeczy — to są nadbudowy nad dobrobytem. Jak go nie ma to człowiek staje się brutalny.

P.: — *I przestaje się interesować sprawami własnego narodu?*

O.: — Odnoszę inne wrażenie. Ciągle spotykam ludzi bardzo patriotycznie nastawionych. Nawet zanadto patriotycznie. Takich, co rewolucję chcą robić. Ludzie mają jednak coś we wnętrznościach.

P.: — *Chyba głównie nienawiść?*

O.: — Tak może być z masą, a ta nie robi historii.

P.: — *Ale może zbojkotować wszelkie próby zmian.*

O.: — Masa zawsze robi to, co jej „góra" powie. Liczy się walka między elitami o to, kto będzie „u góry". Masa pójdzie za tymi, którzy wygrają.

P.: — *Rozgrywka między elitami może doprowadzić do wojny domowej.*

O.: — Warunki sprawiedliwej wojny, a zatem i sprawiedliwego powstania są następujące: słuszna sprawa — to jest w Polsce niewątpliwie — przepędzić to wasze kierownictwo; prawowita władza — nie może byle kto decydować o powstaniu — tu jest wielka trudność dla Polski i wreszcie — szanse zwycięstwa — bez nich wojna jest niesprawiedliwa.

Moje główne zmartwienie polega na tym, że ludzie, którzy chcą w Polsce zrobić rewolucję, rzeczywiście ją zrobią. To byłoby niesłuszne. A Pan myśli, że nic nie da się zrobić w ogóle. Strasznie są cięci na Glempa i Wałęsę.

P.: — *Czy zmiana kierownictwa w Polsce może dokonać się inaczej niż siłą?*

O.: — Poza nielicznymi wyjątkami — państw bardzo kulturalnych i bogatych — do władzy zawsze dochodzi się siłą.

P.: — *Wałęsa był „prywatną osobą". Teraz doszedł do wielkiego znaczenia — bez użycia przemocy.*

O.: — Właśnie — nie do władzy, do pewnego znaczenia. Okazało się, przy okazji, że Polacy nie są tacy źli. Wałęsa zgromadził wokół siebie tylu ludzi, taką siłę, że nawet szanowny wasz

generał musiał, choć wyklinał jak mógł, uznać jego pozycję. Niech pan się nie martwi. Myślę, że znajdą się ludzie, którzy pociągną za sobą masy.

Rozmawiał: Radosław JANUSZEWSKI

Przedruk z *PWA*, nr 198 z 27 lipca 1989.

Kołakowski, Tischner i Kartezjusz

„Chodzi (tu) o coś więcej niż o obronę jednego filozofa przed drugim filozofem. Idzie o problem jakości myślenia..."

Ks. Józef Tischner

W wydanej przez *Aneks* książce *Obecność: Leszkowi Kołakowskiemu w 60-tą rocznicę urodzin* (Londyn 1987) dwa z wielu interesujących szkiców, poświęconych jubilatowi — autorstwa Krzysztofa Pomiana i ks. Józefa Tischnera — sięgają do tematyki szczególnie bliskiej zainteresowaniom profesora Kołakowskiego, mianowicie do filozofii Kartezjusza.

Wydana w 1982 roku książka Kołakowskiego *Religion** jest książką kartezjańską (czego autor zresztą nie ukrywa) w tym sensie, w jakim jej podtytuł, *Jeśli Boga nie ma...*, podąża śladami Kartezjusza, dla którego istnienie Boga było nieodzownym warunkiem istnienia pewności, gdyż — jak twierdzi Kołakowski — „żadna fragmentaryczna prawda nie może mieć absolutnego znaczenia".

Jeśli boga nie ma... dostarcza (abstrahując od analiz historyczno-religijnych) oryginalnej interpretacji filozofii Kartezjusza, w którym Kołakowski widzi poszukiwacza prawdy absolutnej. Pomijam problematyczną kwestię, czy taka interpretacja jest zgodna z intencjami Kartezjusza. Pewne jest, że znajduje mocne oparcie w jego tekstach.

Pytanie, czy Kołakowski trafnie odczytał filozofię Kartezjusza, jest kluczowe dla innego pytania, czy mianowicie poprawnie odczytał europejską tradycję filozoficzno-religijną. Są to jednak — w kontekście niniejszego tekstu — sprawy drugorzędne wobec tego, jak ks. Tischner ocenia interpretację Kartezjusza przedstawioną przez Kołakowskiego w *Jeśli Boga nie ma...*.

* Wydanie polskie: *Jeśli Boga nie ma...*, *Aneks* 1987 i *Znak* 1988.

Szkice Pomiana i Tischnera dobrze ilustrują różne sposoby uprawiania filozofii. Artykuł Pomiana jest przykładem elegancji wywodu, erudycji i rzetelności interpretacyjnej. Te same przymioty można było zauważyć w innym jego tekście traktującym o Kartezjuszu, z 1965 roku, „Kartezjusz: negatywność indywiduum i nieskończoność nauki" (*Człowiek pośród rzeczy*, 1973). Przykładem przeciwnym jest szkic ks. Tischnera, choć przyznaję, że nie zasługiwałby na tak krytyczną ocenę, gdyby autor nie zarzucał Kołakowskiemu braku oryginalności, a miejscami banalności. Oto dwa przykłady (można by ich przytoczyć więcej):

1. „Kołakowski powtarza obiegowe krytyki argumentów na istnienie Boga u Kartezjusza. Ale krytyka ta nie zdaje sobie sprawy z poziomu, na którym toczy się myślenie kartezjańskie" (str. 87).

2. „Kołakowski nie wychodzi w swych interpretacjach Kartezjusza poza ujęcia podręcznikowe. W przedstawionej krytyce sięga do argumentów, które rażą naiwnością. Czyżby Kartezjusz był aż tak naiwny i popełniał błędy, które widzą u niego empiryści?" (str. 88).

Nie jest moją intencją obrona interpretacji Kartezjusza, przedstawionej przez Kołakowskiego w *Religion*. Jest to *nota bene* jedyna znana mi interpretacja, która przedstawia filozofię Kartezjusza jako próbę dotarcia do prawdy absolutnej. Myślę, że nikt poza samym profesorem Kołakowskim nie mógłby obronić tej tezy lepiej. Jedyne, co warto w tym względzie zrobić, to wykazać, że zarzuty ks. Tischnera są błędne tyleż wobec Kołakowskiego, co wobec Kartezjusza, któremu ks. Tischner przypisuje myśli zupełnie mu nieznane.

Pominę jako bezpodstawny zarzut, że interpretacja Kołakowskiego nie jest oryginalna. Zacznijmy od drugiego z powyższych cytatów, dotyczących „błędu empirycystycznego". Spośród oryginalnych „Obiekcji do Medytacji" dwaj autorzy, Hobbes i Gassendi, zgłosili zastrzeżenia do samej metody filozofii Kartezjusza, czyli tzw. „uniwersalnego wątpienia". W zarzutach Hobbesa i Gassendiego chodzi o podstawową różnicę zdań między empirystami i racjonalistami w kwestii istnienia świata. „Uniwersalne wątpienie" zakwestionowało istnienie świata. Problem, jaki pojawił się przed Kartezjuszem, dotyczył możliwości przywrócenia świata do istnienia, czego można było dokonać zakładając istnienie prawdomównego Boga. W oczach empirystów kartezjańskie wątpienie w istnienie świata po to, aby przywrócić go do istnienia przy pomocy Boga (w którego Hobbes nie wierzył) było rodzajem metodologicznego absurdu. (Klasyczną pracą na ten temat jest J.L. Beck, *The Metaphysics of Descartes*).

W interpretacji Kołakowskiego Bóg jest niezbędnym elementem filozofii Kartezjusza. Istnienie Boga staje się warunkiem *sine qua non* istnienia prawdy, przy czym, jak twierdzi Kołakowski (i w tym leży oryginalność jego interpretacji) chcąc osiągnąć prawdę absolutną, musimy założyć, że Bóg nie mógłby *nigdy* kłamać. Rozumowanie Kartezjusza — pisze Kołakowski — „w którym zaufanie do władz poznawczych opiera się na Boskiej prawdomówności, jest nieprzekonujące; nie tylko dlatego, że założył on, iż pewność naszej percepcji i narzędzi logicznych ma podstawę w doskonałości *moralnej* Boga, który nie może nas oszukiwać. Tymczasem Boska dobroć i wszechmoc wcale nie pociąga nieuchronnie wniosku, że nigdy nie

może On wprowadzać nas w błąd. Nie można wykluczyć *a priori*, że prawda, nie mówiąc o całej prawdzie, bywa zgubna dla istot niedoskonałych i że niekiedy dobrze jest, byśmy mieli mylne informacje (wydanie *Aneksu*, str. 59).

Kolejny błąd w interpretacji ks. Tischnera znajdziemy na str. 86 *Obecności*: „Rozum nie pada wprawdzie tak łatwo ofiarą pozorów, ale może paść ofiarą kłamstw. I właśnie to przekonanie wyraża słynna hipoteza 'złośliwego Geniusza'. Skutkiem jego kłamstw jest nie tylko jeden czy drugi błędny sąd, ale zanik zaufania do władzy sądzenia w ogóle". Po pierwsze, nigdzie w pismach Kartezjusza nie znajdziemy potwierdzenia słów ks. Tischnera. Po drugie, właśnie metoda „uniwersalnego wątpienia" ukazała, że prawdy rozumowe nie mogą zostać poddane w wątpliwość na gruncie zdrowego rozsądku. Po trzecie, jedyne, co „złośliwy Geniusz" może poddać w wątpliwość (z racji swojej mocy — a nie jest on wszechmocny, lecz jedynie *non moins rusé et trompeur que puissant* — *Medytacje I*) to „niebo, powietrze, ziemia, kolory, figury, dźwięki i wszystkie zewnętrzne przedmioty". Nie ma tutaj mowy o matematyce, nie mówiąc już o „władzy sądzenia w ogóle". By „złośliwy Geniusz" mógł poddać w wątpliwość prawa matematyki, musiałby podważyć prawo niesprzeczności, co w konsekwencji prowadziłoby do zmiany naszej aparatury poznawczej. Twierdzenie, że „2+2=5" leży w zasięgu boskich możliwości, stwierdza Kartezjusz w liście do Gibief (19 stycznia 1649; Marsenne 15 kwietnia 1630), ale tylko za cenę unieważnienia prawdy absolutnej, tzn. zmiany czegoś, co na gruncie zdrowego rozsądku jest niepodważalne, jak właśnie pewnik, że „2+2=4". (Klasycznymi omówieniami tego problemu są prace Gilsona, Kenningtona, Catona, Kenny'ego, Frankfurta, Krügera).

Gdzie indziej ks. Tischner twierdzi, że „kartezjańska argumentacja ma sens wtedy, gdy się przyjmuje, że myślenie z natury swej jest procesem dialogicznym" (str. 87). Nie wiem, jaki „dialog" ks. Tischner ma na myśli, skoro kartezjańskie *ego* nie wiedziało o istnieniu innych istot sobie podobnych przez całe pięć *Medytacji* (spośród sześciu). Nawet jeśli przyjmiemy, że argument ks. Tischnera jest słuszny, to jego rozumowanie pozbawione jest jakiejkolwiek wagi dowodowej.

Podane przykłady nie wyczerpują długiej listy błędów interpretacyjnych, jakich ks. Tischner dopuścił się pisząc o Kartezjuszu. Niestety jego szkic o „Kołakowskim i Kartezjuszu" dowodzi, że nie zna on Kartezjusza i przeto nie zrozumiał interpretacji Kołakowskiego. „Denerwuje mnie Tischner — mówi w wywiadzie dla *Znaku* (403, str. 12) ks. profesor St. Świeżawski — że przyjmuje postawę *a priori* negatywną wobec czegoś [tomizmu — Z.J.], czego gruntownie nie zna. Niech pisze najgroźniejsze nawet krytyki, ale odniesione do konkretnych tekstów". Tę samą radę należałoby powtórzyć, gdy mówimy o Tischnera „krytyce" interpretacji Kartezjusza u Kołakowskiego. Niestety, nie pierwszy to raz ów „notoryczny prześmiewca", jak nazwał ks. Tischnera Leszek Kołakowski (*Kultura* nr 11, 482, str. 132) nie podając żadnych argumentów, bez analizy konkretnych tekstów, interpretacji, bez „za i przeciw", opierając się na wszystko wyjaśniających analogiach, gani profesora Kołakowskiego za niezrozumienie, „na jakim poziomie toczy się myślenie kartezjańskie".

Cóż, jeśli profesor Kołakowski nie zrozumiał Kartezjusza, to nie zrozumiał również całej myśli filozoficznej i religijnej, o której pisze w znakomitej książce *Jeśli Boga nie ma...*

Należałoby oczekiwać, że wydawcy kolejnej jubileuszowej książki zadbają o to, by teksty na cześć jubilata zachowały powagę, jakiej wymaga jego autorytet. Chyba, że wszystko potraktujemy jako żart.

Zbigniew JANOWSKI

Jeszcze o Teologii Wyzwolenia

Można i należy się zgodzić z większością tez szkicu „Qui est Cesar?". Besançon znakomicie dostrzegając zagrożenia intelektualne i moralne dotykające dzisiaj Kościół katolicki, biorąc go w obronę przed teologami wyzwolenia, których intencje wydają mu się podejrzanej (totalitarnej — marksistowsko-leninowskiej) natury, zapomina o jednym. Sprzeciw wobec dotychczasowej praktyki społecznej i zachowań hierarchii kościelnej ma swoje źródła nie tyle w niechęci bądź odrzuceniu przez kontestatorów zasady prawdy, ile właśnie w dążeniu do przywrócenia możliwości jej oddziaływania na rzeczywistość, na społeczności poddane opresjom politycznym i wyzyskowi ekonomicznemu. Wbrew krytycznym ocenom Besançona wielu teologów wyzwolenia próbuje wyjść z podwójnej pułapki, która od kilkuset — przynajmniej — lat zagraża chrześcijaństwu i chrześcijańskiej misji w świecie: dążeń Kościoła do Królestwa Bożego w taki sposób, żeby w niczym nie podważyć reguł obowiązujących w królestwach ziemskich i prób ocalenia duszy wierzącego za cenę naruszenia zarazem jego praw osobowych, tej strony jego egzystencji, która jest uzależniona od władzy struktur politycznych.

Wątpliwości wobec uwikłań Kościoła w cezaropapizm miało zresztą od dawna wielu ojców Kościoła. Podnosiły je konstytucje uchwalone w trakcie soboru watykańskiego II. Ich plonem są również przewodnie idee latynoskiej teologii wyzwolenia. Próba — dokonana przez Boffa, Guttierreza, księży skupionych wokół arcybiskupa Camary — przeformułowania sposobu istnienia Kościoła rzymskiego w świecie politycznego gwałtu, niesprawiedliwości, podziałów społecznych, spetryfikowanych struktur przemocy.

Ograniczenie kościelnego nauczania do moralnych apelów, skupienie uwagi na duchowych bolączkach wiernych pozostawiające poza zainteresowaniem los materialny mieszkańców *favelos*, rozbitków gigantycznych metropolii Brazylii, Argentyny, Meksyku, prowadziło wprost do hipokryzji. Podważało chrześcijańskie wartości

niesionej przez Kościół posługi, zagrażało jego izolacją w obliczu coraz trudniejszych problemów, wobec niechętnej do podejmowania odpowiedzialności elity państw Ameryki Łacińskiej. Przezwyciężeniem kryzysu był w oczach teologów latynoskich, potem zbiorowo i nieco zbyt generalizująco nazywanych teologami wyzwolenia, powrót do nauki Chrystusowej, przywrócenie ważności prostym rozróżnieniom. Co jest prawdą, a co złem, jakie jest miejsce wierzącego w systemach niesprawiedliwych, do którego momentu pokorne znoszenie krzywdy ma sens, a kiedy przeradza się w zgodę i współpracę z despotyczną władzą, na czym polega wybór moralny w sytuacji codziennego łamania praw, odbierania nadziei na przyszłość, wreszcie jaka jest rola chrześcijaństwa i kościelnej wspólnoty w ramach uzurpatorskiego, legitymizującego się jedynie siłą państwa?

Stawiając czoła tym niezwykle istotnym w sytuacji Ameryki Łacińskiej problemom, tamtejsza teologia i jej czołowi reprezentanci nie uniknęli rzecz jasna błędów. Czasami charakteryzowała ich zbytnia niecierpliwość, czasami nieumiejętność szukania sojuszników pośród własnych społeczeństw, czasami niewrażliwość na międzynarodowe reperkusje głoszonych przez siebie tez. To ostatnie dotknęło teologię wyzwolenia najboleśniej i przywiodło wielu, skądinąd uczciwych i obiektywnych obserwatorów sytuacji politycznej w Ameryce Południowej do negowania jej dorobku. Do posądzenia wyrazicieli teologii wyzwolenia o mimowiedną bądź nawet celową współpracę z ideologią marksistowską, usługową rolę wobec walczącego o hegemonię w świecie Związku Sowieckiego.

Teologowie latynoscy nie redukują jednakże chrześcijaństwa do marksizmu-leninizmu. Jest — jak można sądzić na podstawie publikowanych książek, artykułów, memoriałów do władz państwowych i kościelnych — zupełnie inaczej. Głoszona przez nich teologia ma odzyskać dla chrześcijaństwa wartości przez długie lata w praktycznym nauczaniu kościelnym i katechezie zapoznane, przywrócić do życia martwą tkankę społeczną katolicyzmu, wprowadzić na powrót do kościołów robotników. I w gruncie rzeczy jest nie tyle obróconą przeciw tradycji katolickiej (co najwyżej jej niewłaściwym interpretacjom), ile właśnie chce podjąć walkę z uroszczeniami ideologii totalitarnej głównie poprzez obnażanie kłamstw utopii komunistycznej.

Alain Besançon myli się. Coraz częściej w Ameryce Łacińskiej ma miejsce odwrotny proces niż ten zaobserwowany przez niego. Nie marksizm-leninizm falsyfikuje i redukuje dla swoich niecnych celów teologię wyzwolenia, ale teologowie latynoscy umiejętnie przechwytując chwytliwe, demagogiczne hasła komunistów i kierowanej przez nich guerilli, pozbawiają marksistowską ideologię większego wpływu. I ratują — powiedzmy to szczerze — kraje tego obszaru przed dostaniem się pod wpływy sowieckie. Oczywiście, nie zawsze to się udaje, nie wszędzie rezultaty są podobne tym w Brazylii czy Argentynie, a nawet w jakiejś mierze w Chile (chociaż sytuacja chilijska jest bardziej skomplikowana i niewolna od dramatycznych perturbacji, zawinionych w części również przez Stany Zjednoczone). W każdym razie nie przypadkowo nadzieje biedoty, intelektualistów, a także studentów latynoskich są pokładane w większym stopniu w Kościele katolickim (przynajmniej od dobrych kilku lat) niż w ideologiach guevaryzmu, bądź wzorowane

na rewolucji kubańskiej. I chcąc nie chcąc teologia wyzwolenia stała się naturalną barierą chroniącą Amerykę Łacińską przed fidelizacją, przed pójściem drogą Nikaragui. Do tego ostatniego pchają Latynosów nie tylko dramatyczne problemy socjalne i gospodarcze, ale również nieudolna, w części pasywna, w części arogancka polityka USA. Jak i niezrozumienie tutejszej sytuacji przez obywateli bogatych państw Europy Zachodniej i przez ich rządy. Te ostatnie w imię fałszywej solidarności i szukania za wszelką cenę uznania w świecie, nie wahają się przed niczym. Są gotowe służyć pomocą każdemu mniej czy bardziej radykalizującemu ugrupowaniu i nie patrzą do czego prowadzi kraje Ameryki Łacińskiej rewolucyjny program oparty na marksistowskim, sowieckim wzorze. Ponoszą też znaczną winę za wiele nieszczęść, które spadły w ostatnich dziesięcioleciach na Latynosów.

Oczywiście tego rodzaju zarzut nie dotyczy Alaina Besançona. Jego błyskotliwa w planie intelektualnym krytyka, ważna jako dowód moralnej uczciwości francuskiego eseisty, nie jest jednak do końca prawdziwa w odniesieniu do teologii wyzwolenia, która chociaż wielokrotnie błądziła, to zarazem jako jedyna niosła światło i nadzieję ludom Ameryki Łacińskiej. Pozwoliła im zachować wiarę w Chrystusa i w przyszłość.

Marek ZIELIŃSKI

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kronika kulturalna

Naipaul, Gombrowicz, literatura

Chcę dziś napisać o jednej z najlepszych powieści współczesnych jakie zdarzyło się czytać ostatnio. Jest to „Zagadka przyjazdu"* V.S. Naipaula (ur. 1932 w rodzinie hinduskich imigrantów na wyspie Trinidad, od 1950 r. w Anglii). Jego dzieło, obejmujące obecnie ok. 20 książek, reprezentuje trzy fazy pisarskie. Pierwsze powieści usytuowane były w rodzimym środowisku autora, czyli w społeczności Hindusów w brytyjskich koloniach na Morzu Karaibskim, i znakomicie uwypuklały jej egzotykę rozumianą nie jako *couleur locale*, a jako sytuację ludzi uwikłanych w tradycję, emigrację i problemy rasowe (dla Brytyjczyków — „kolorowi", dla murzyńskiej ludności lokalnej —„nie-Czarni"). W latach siedemdziesiątych specjalnością Naipaula stały się reportaże z podróży po Afryce, Ameryce Płd. i Azji; ich punkt ciężkości spoczywał znów nie na ciekawostkach geograficznych, lecz na analizie — lewicowi *tiersmonde*'yści rzekliby wiwisekcji — chronicznych bolączek tamtejszych „niedokończonych cywilizacji" (termin Naipaula), czyli marazmu, wtórności i podskórnej wszechności chaosu. W powieściach opartych na tych doświadczeniach — afrykańskie: „W wolnym kraju" (1971) i „Zakręt rzeki" (1979) oraz karaibska: „Partyzanci" (1975) — tematem naczelnym jest zagrożenie. Mówiąc obrazowo, ich bohaterowie stąpają po cienkiej warstwie lodu pokrywającego toń barbarzyństwa, podczas gdy chłód (= racjonalne myślenie, wypracowane przez wieki instytucje, celowe działania) stale ustępuje...

* V.S. Naipaul, *The Enigma of Arrival. A novel in five sections.* Viking & Penguin Books 1987; (Pinguin) ISBN 0-14-009886-0, 318 str.

Trzecią fazę twórczości Naipaula, do której zaliczyć można krytyczny reportaż-refleksję o krajach muzułmańskich (*Among the Believers*, 1981), dwa szkice niby podróżnicze, ale w istocie rodzaj medytacji nad procesem pisania (*Finding the Centre*, 1984) oraz i przede wszystkim: „Zagadkę przyjazdu" napisaną w latach 1984-86) charakteryzuje wzrost bezpośredniego udziału autora w tekście. *The Enigma of Arrival* jest wręcz połączeniem autobiografii, „autorefleksji", dziennika i wątku fikcyjnego, przy czym ten ostatni został w typowo naipaulowski sposób tak wtopiony we wziętą z rzeczywistości ramę, że przyszli autorzy monografii o tym pisarzu będą mieli mnóstwo pracy, próbując go wyizolować. W poświęconym temu pisarzowi przed laty artykule („Obszary mroku", *Kultura* 9/420, 1982) wspomniałem, że większość krytyków uważa za jedną z cech jego twórczości fakt, iż nie można w niej odróżnić fikcji od materiału autentycznego. Tak jest i tutaj. Spoiwem jest niesłychanie sugestywne wrażenie autentyczności opisanych postaci. W ogóle gdyby nie określenie „*novel*" w podtytule i surowość angielskiego *libel law* ograniczającego to, co Irzykowski nazywał „pakierstwem" (pakowanie znajomych do utworu literackiego), można by całość uznać za psychologizujący reportaż.

W tej powieści pozornie nic się nie dzieje: Naipaul-narrator wynajął w południowej Anglii dom, stanowiący część świetnego niegdyś majątku ziemskiego. Obecnie większość gruntów przestała być wykorzystywana. Park otaczający siedzibę właściciela dziczeje. Dziwak-właściciel latami nie opuszcza domu i trwa w chorobliwej bezczynności. Szczupły personel obsługujący ten anachroniczny dwór wykrusza się. Ludzie mieszkający wokół to usamodzielnieni potomkowie dawnej służby. Stopniowo zjawiają się nowi, napływowi. Sam narrator, chodzący na długie, samotne spacery w tym arcyangielskim pejzażu — ze szczytu jednego ze wzgórz widać Stonehenge, prehistoryczny zabytek celtycki — przyjmowany jest z przyjazną obojętnością, podczas gdy „*jeszcze trzydzieści lat temu byłbym tu nie do pomyślenia*". Tematem książki jest studium zmiany tego, co niezgrabnie można nazwać „formą istnienia", a co obejmuje zarówno ludzką osobowość, jak i jej szersze obrzeże: podział ról, hierarchię wartości, zbiorowe pojęcie na temat tego, co jest „normalne". Oczywiście i narrator ulega stopniowej przemianie. Jego „przybycie", spacery i praca pisarska w kamiennym domu na kraju parku nie całkiem różnego atmosferą od scenerii *Le grand Maulnes* Alain-Fourniera trwają bowiem lata. Ze wzmianek odnoszących się do rzeczywistej biografii Naipaula wynika, iż zamieszkał tam ok. 1970 r. Przeżywał wówczas trudny okres: ostatnia książka była zawodem wydawniczo-finansowym, był wyczerpany fizycznie i psychicznie, poczuciu zerwania więzów z krajem pochodzenia nie towarzyszyła pełna aklimatyzacja. Dom w pustej, mglistej i dżdżystej

okolicy był obietnicą terapii. „Zagadka przyjazdu" jest w pewnym sensie jej historią.

Tytuł książki jest w istocie tytułem (nota bene wymyślonym *ex post* przez Apollinaire'a) surrealistycznego obrazu Giorgio de Chirico, którego reprodukcję narrator znalazł przypadkowo wśród rzeczy pozostawionych przez poprzednich lokatorów *cottage*'u. Oto opis tego obrazu:

„Klasyczna scena, śródziemnomorska, starorzymska — tak przynajmniej ja ją odbierałem. Przystań; w głębi, za murami i bramami (wyglądającymi jak wyłomy) widać szczyt masztu antycznego statku: na wyludnionej ulicy na pierwszym planie dwie postacie, obie w długich szatach, jedna z nich to może osoba która przybyła, druga jest może mieszkańcem tego portowego miasta. Ze sceny bije opuszczenie i zagadkowość: wyraża ona zagadkę przyjazdu. Dla mnie wyrażała właśnie to, tak jak niegdyś dla Apollinaire'a.

I w zimowej szarzyźnie majątku w Wiltshire, w ciągu tych pierwszych czterech dni mgły i deszczu, kiedy tak niewiele było dla mnie jasne [...] naszedł mnie pomysł opowiadania, jakie mógłbym kiedyś napisać na temat owej sceny z obrazu Chirico.

Moje opowiadanie byłoby umieszczone w epoce klasycznej, nad Morzem Śródziemnym. Mój narrator pisałby prostym językiem, bez żadnych prób archaizowania i bez historycznego objaśniania epoki. Przybyłby on — z powodu, który musiałbym dopiero wymyślić — do tego klasycznego portu otoczonego murami i bramami jak wyłomy. Minąłby te zakutane w długie szaty postacie na nabrzeżu. Żeby wyjść z tego milczenia i opuszczenia, z tej pustki, winien przekroczyć jakąś bramę czy drzwi. Wszedłby w nią i został wchłonięty przez ruch i zgiełk ludnego miasta (wyobrażałem sobie rodzaj sceny z indyjskiego bazaru). Misja w jakiej przybył — sprawy rodzinne, studia, inicjacja religijna — przyczyniłaby mu spotkań i przygód. Penetrowałby wnętrza domów i świątyń. Z wolna zaczęłoby go ogarniać poczucie, że nie dociera do niczego; utraciłby poczucie misji: dominować by w nim zaczęła tylko jedna myśl: że jest zgubiony. Poczucie przygody ustąpiłoby panice. Zapragnąłby uciec, wrócić na nabrzeże i na swój statek. Ale nie wiedziałby jak. Wyobrażałem sobie jakiś rytuał religijny, w którym — wprowadzony przez zachowujących się życzliwie ludzi — wziąłby niechcący udział aby stwierdzić, że zamierzoną ofiarą jest właśnie on sam. W krytycznym momencie natrafiłby na jakieś drzwi, otworzył je i znalazł się znów na nabrzeżu, na które niegdyś przybył. Jest uratowany; świat jest taki, jakim go zapamiętał. Tylko jednej rzeczy brakuje. Nad pociętymi przez wyłomy murami i zabudowaniami nie ma masztu, nie ma żagla. Antyczny statek odpłynął. Podróżny przeżył swoje życie do końca". (str. 91-92)

Nietrudno w tym nienapisanym opowiadaniu odnaleźć dwie dominanty całego pisarstwa Naipaula: poczucie obcości i poczucie zagrożenia. Trzeci stały jego temat — ogromna wartość, a zarazem kruchość cywilizacji chroniącej jednostkę przed zostaniem „zamierzoną ofiarą" — wyrasta w sposób naturalny z

tamtych dwóch. I jest on obecny w omawianej tu książce, ale w formie wysublimowanej, przeniesionej o piętro wyżej.

Naipaul przybył do Anglii jako 18-letni młodzieniec (zdobył konkursowe stypendium na studia w Oxfordzie) pełen książkowej wiedzy i kolonialnego (= prowincjonalnego) poczucia, że dociera do metropolii, do centrum, do świata prawdziwych wartości. Ogromnym wysiłkiem stworzył sobie pozycję, zrobił „karierę", ale — jak każdy w tej sytuacji — odkrył też, że przebywanie w metropolii nie jest równoznaczne z osiągnięciem istotnego centrum w sensie bycia tożsamym ze swoim losem, zgody ze swym wyobrażeniem o tym, czym być *należy*. Dwadzieścia lat dzielące przyjazd narratora-autora do Londynu (w drodze do Oxfordu) od jego osiedlenia się na wsi w Wiltshire było rozwiązywaniem zagadki stosunkowo prostej: jak zachować poczucie misji, jak ją spełniać, jak przezwyciężyć obcość i zagrożenie, skoro nie ma innego wyjścia, bo statek odpłynął. Odpowiedzią była praca, wysiłek stania się *civis* — od którego to słowa pochodzi derywat *civilisatio*, czyli nazwa stanu rzeczy, który ma przeszłość i kierunek, więc nie jest efemerydą — w symbolicznym porcie pędzla Chirico. Ale przezwyciężenie „sytuacji emigranta" nie rozwiązuje automatycznie sytuacji ludzkiej. Moment kryzysu — przepracowanie, depresja, rozczarowanie — ujawnia narratorowi, że „tajemnica przyjazdu" trwa, choć port jest już inny, dalej położony. Jedyna misja jaka mu teraz pozostaje to samo zachowanie poczucia misji, a więc nieuleganie panice i powrót do równowagi. „Terapia".

Część — i to bardzo istotną — tej terapii stanowi obserwowanie otoczenia i powolne uświadamianie sobie, iż wszyscy naokoło („prawdziwi Anglicy") są chiricowskimi przyjezdnymi, borykającymi się z „zagadką". Nie jest bowiem tak, że tylko podróżni z zamglonych rubieży przybywają do statycznej metropolii; to raczej wszystkie łodzie opłynięte są rzeką czasu, która ku nim przynosi kolejne porty: katastrofy, wyzwania, pytania „co dalej?". Ta powieść niby to bez wydarzeń zawiera kilkanaście wspaniale narysowanych losów ludzkich, a kontrast między płodnym, powolnym, proustowskim ruchem pióra i szczupłością książki jest jednym z wykładników kunsztu Naipaula. „Zagadka przyjazdu" utrwala w przekonaniu, że znacząca literatura jest szkołą uważnego, wręcz bezlitosnego patrzenia; przez to zaś, że jest usytuowana wśród zwyczajnych — „drobnych" — spraw i ludzi, świetnie ilustruje trafność uwagi Gombrowicza w „Dzienniku", iż na szczytach zazwyczaj nic nie ma prócz śniegu i lodu, natomiast wiele rzeczy można zobaczyć we własnym ogródku. To było moje pierwsze skojarzenie na temat: Naipaul-Gombrowicz. O dalszych niżej.

Aby dać choć słabe pojęcie o przeprowadzonej w tej książce analizie (może istotnie „wiwisekcji") ludzkich charakterów,

wspomnę czterech jej bohaterów. Pierwszy z nich ma na imię Jack i jest istotnie „pierwszym", ponieważ wstępny rozdział nazywa się „Ogród Jacka". Mieszka w jednym z domków na terenie majątku, ale pracuje poza nim. Jego pasją jest ogród, jaki zakłada na otaczającym jego *cottage* spłachetku. Ogród jest piękny, przemyślany, pochłania masę pracy. Na tle ogólnego zaniedbania i wkradającej się już przedmiejskiej tandety (jego sąsiad prowadzi przy swoim domu warsztat samochodowy: beton, plamy smaru, wraki aut) ogród ten jest dla narratora uosobieniem „prawdziwej cywilizacji" angielskiej, takiej jaką sobie wyobrażał jako dziecko na Trinidadzie; a więc jest to już właściwie wiktoriański anachronizm... Ale upór Jacka, konsekwencja i praca budzą jego podziw. Raz na tydzień Jack jeździ do pubu w pobliskim miasteczku, gdzie spotyka się z przyjaciółmi. Ta jedyna rozrywka-odpoczynek jest równie rytualna i systematyczna jak praca w ogrodzie. Po pewnym czasie jednak coś się zmienia: ogród jest mniej starannie pielęgnowany, wyjazdy do pubu rzadsze, Jack wygląda na chorego. Czy jest rzeczywiście chory? Zapytywana o to kilkakrotnie jego żona stale przeczy. Ale Jack jest chory, coraz bardziej, i pewnej zimy umiera krótko po Bożym Narodzeniu. W czasie ostatniej rozmowy z żoną zmarłego narrator dowiaduje się, że w pierwszy dzień Świąt Jack postanowił jeszcze raz — ostatni, jak wiedział — pojechać na niedzielne piwo z przyjaciółmi. Musiał dokonać w tym celu nadludzkiego wysiłku, ale pojechał. Ta wyprawa konającego jeepem po wybojach powraca w książce kilkakrotnie jako motyw kontrastujący z innymi postawami wobec „tajemnicy".

Jedną z nich ilustruje historia Pittona, *Mr Pittona*, jak nieodmiennie zwraca się do niego narrator. Pitton jest ogrodnikiem — ostatnim, jedynym kontynuatorem legendarnych czasów, kiedy w parku otaczającym *manor house* pracowało ich nie mniej niż szesnastu. Ponieważ pracuje sam, sam wyznacza sobie rytm i styl pracy. Zjawia się zawsze punktualnie, ubrany w dostosowaną do pór roku drogą odzież typu *country-gentleman*; jego powolny krok, systematyczna choć nieśpieszna praca, jego milczenie sprawiają wrażenie, że pracuje na swoim. „*Czy to twój landlord?*", spytał narratora odwiedzający go po raz pierwszy znajomy. Pewnego roku, pewnego dnia spada nań cios — administracja majątku wypowiada mu pracę: konieczność dalszych oszczędności. Pitton musi opuścić swój *cottage*, „swój" park, wziąć „byle jaką" pracę (zostaje szoferem furgonu dużej pralni), zamieszkać w „pospolitym" mieszkaniu w blokach komunalnych w Salisbury. Reakcja Pittona — panika, wściekłość, szukanie winnych („*wygryźli mnie*") — nie była lękiem przed biedą, lecz deklasacją, a właściwie zdemaskowaniem: jego „forma" nie była jego własnością; była pozą, daje do zrozumienia narrator.

„Widywałem czasami Pittona w jego furgonie. [...] Czasem spotykaliśmy się w sobotę w Salisbury. Raz podbiegł za mną i zawołał po nazwisku. Dziwne to było ze strony tego zapiętego pod szyję, powściągliwego w słowach mężczyzny. Ale ja byłem tym, który znał go w czasach jego chwały; pomagałem niekiedy w tym wielkim parku wokół dworu przy sprzątaniu trawy czy suchych liści bukowych. I zwracałem się do niego *per* Mr Pitton.

Wyglądał zaniedbany. Fragmenty odzieży w stylu „właściciel ziemski" przetrwały na nim w innych zestawieniach; ale jego styl był inny. Kierownik pralni, który obsługiwał całą dolinę i znał Pittona powiedział o nim — łagodnie, z wyrozumieniem — 'Jest trochę trudny'.

Lecz później Pitton zmienił się. Kierownik pralni — tolerancyjny, bo kontent z rytmu swego cotygodniowego objazdu doliny, rytmu roku, ze swoich corocznych dwutygodniowych wakacji, kontent z biegu czasu tak jak Pitton był kontent niegdyś — ów kierownik rozumiał i tę zmianę i powiedział, że Pitton zachowuje się lepiej, że łagodnieje. 'Człowiek się przyzwyczaja'.

To było jednak coś więcej. Pitton w ostatniej dekadzie swego czynnego życia wyrósł z tego, czym był dawniej. Poznał więcej ludzi, w pracy i w osiedlu gdzie mieszkał. Tam, gdzie obawiał się bezimienności, znalazł wspólnotę i pewne oparcie. Spoglądał na swoje uprzednie życie jakby z pewnej odległości. Dawniej usiłował — przez swoją odzież, dumę z urody swej żony, dziwaczną pretensjonalność biedaka udającego, że ma dodatkowe dochody — dystansować się od tego, czym naprawdę był. Teraz okazało się to niepotrzebne. Stopniowo przestał odpowiadać na moje pozdrowienia, gdy przejeżdżał swym furgonem. Pewnego dnia w Salisbury [...] ujrzał mnie [na ulicy]. I — już nowy człowiek — nie 'zobaczył' mnie". (Str. 254-255)

Mniej dumnie niż Jack, po omacku, bardziej pod naciskiem okoliczności niż siły charakteru, ale i Pitton rozwiązał swoją zagadkę przyjazdu. Teraz dwa przykłady ludzi, którzy tego nie potrafili.

Narrator nigdy nie spotkał swego gospodarza; widział go tylko przypadkiem z daleka, dwa razy w ciągu wielu lat spędzonych w jego posiadłości. Wiadomo było, że ten potomek wielkiego rodu angielskiego cierpi na zanik energii, prostrację, „*accidię*" , jak to nazywa Naipaul. Przed laty wycofał się był z życia towarzyskiego i artystycznego (w młodości rysował i pisywał poezje), rzadko opuszczał dom, w ciepłe dni godzinami siedział w słońcu, wpatrując się w zapuszczony park. Niekiedy jednak ożywiał się i coś rysował, coś pisał; niekiedy przysyłał narratorowi próbki swej twórczości z uprzejmym listem; czasem przyjmował pojedynczych gości, ale i ci zazwyczaj musieli jadać samotnie. Z rozmów, z informacji londyńskich znajomych i miejscowej służby narrator odtwarza sobie portret niewidzialnego gospodarza:

„Rozpieszczone dzieciństwo tutaj, na terenie, po którym obecnie odbywałem spacery. W chłodnym cieniu zarośniętego sadu stał okrągły, dwupiętrowy dom zabaw dla dzieci [...]. Coś więcej niż dom dla lalek na wielką skalę, a równocześnie — mniej niż dom dziecięcy: raczej wyobrażenie dorosłego o takim domu, bez przestrzeni dla wyobraźni.

Po tym rozpieszczonym, wychuchanym dzieciństwie wczesny wiek męski w aurze artystycznego talentu, obietnicy rozwoju, towarzyskiego rozbawienia. Pokazywano mi fotografie z owych dni [...]. Zamglone czarnobiałe fotografie przyjęć w tej posiadłości, której ogrody nie były jeszcze rozrośnięte, nie były zarośnięte; fotografie młodych ludzi siedzących w niepewnym świetle (zmrok czy świt?) na poręczach mostków ze świeżego wówczas drewna nad kanałami przecinającymi podmokłe łąki. [...]

Potem, w niezbyt zaawansowanym średnim wieku, po owych przyjęciach, po wojnie, jakieś zakłócenie, chorobliwa, trwała depresja, prawie choroba, skłaniająca do wycofania się, ukrycia, rejterady do majątku, pogłębiona po pewnym czasie dolegliwościami fizycznymi, i — na końcu — starość.

Byłem jego przeciwieństwem pod każdym względem; społecznym, artystycznym, seksualnym. A biorąc pod uwagę, że fortuna jego rodziny urosła była, i to kolosalnie, w czasie rozwoju imperium w XIX wieku, można rzec, iż dzieliło nas imperium. A równocześnie imperium nas łączyło. To imperium tłumaczyło fakt mego urodzenia się w Nowym Świecie, język jakiego używałem, powołanie i ambicję, jaką żywiłem; imperium tłumaczyło w końcu moją obecność w tej dolinie, w tym domu, na gruntach tej posiadłości. Ale byliśmy — czy też kiedyś zaczęliśmy — na przeciwległych krańcach posiadania możliwości życiowych, wewnątrz odmiennych kultur. [...]

Ale świat się zmienił; czas ruszył z miejsca. Zdołałem był odkryć mój talent i temat, rozwijający się wciąż i rozszerzający. Kierunek mojej drogi uległ zmianie; moje idee uległy zmianie. Toteż przybywając do tej posiadłości w momencie rozczarowania, z poczuciem otrzymanej rany, czułem niezmierną sympatię dla mego gospodarza, który zaczynając z przeciwległego krańca świata teraz chciał się ukryć tak jak ja. Czułem powinowactwo z nim; byłem głęboko wdzięczny za ochronę jakiej użyczała posiadłość, za jej styl. I nigdy nie uważałem jego pustelniczego trybu życia za dziwaczny. To było coś czego sam szukałem w owym czasie. [...]

Dzielił nas zakres przywileju. Ale miałem wrażenie, że działał on na jego niekorzyść. Jakkolwiek zły byłby mój stan duchowy w momencie przyjazdu, wiedziałem, że będę musiał się ratować i wyzdrowieć; wiedziałem, że kiedyś będę musiał zacząć działać. Zaś jego uprzywilejowana pozycja — dom, służba, stałe dochody, akry ziemi, na które mógł patrzeć codziennie wiedząc, że są jego — ta pozycja wtłamszała go w niego samego, w niedziałanie i w bycie zerem". (str. 173-175).

Do refleksji tej narrator wraca w następnym rozdziale, gdy wpada mu w ręce utwór napisany i ilustrowany przez właściciela majątku:

„To była książka mego gospodarza. Miała prawie pięćdziesiąt lat, pochodziła z lat dwudziestych. Nowela wierszem, z licznymi ilustracjami. [...] Były dokładnie w tym samym stylu co rysunki, które [ochmistrzyni lorda] Mrs Phillips przynosiła jako prezenty od mego gospodarza w ciągu ubiegłego lata [...]. Odkrył był swą formę i zyskał podziw dla swego stylu w młodym wieku; wcześnie doszedł do wyobrażenia kim jest, do poczucia swej wartości i wrażliwości artystycznej; i w nich zakrzepł. Może zakrzepł w tym, co można by nazwać stanem doskonałości. Ale doskonałość ta — brak niepokoju i twórczej szamotaniny, widok z okien na tyłach jego domu na skończony, nietknięty, niezakłócony świat — przeszła w chorobę, w prostrację, w śmierć duszy". (str. 253-254).

I czwarty, ostatni *casus*: Alan. Daleki krewny właściciela, londyńska „postać literacka", przyjeżdżał niekiedy na weekendy do posiadłości, gdy gospodarz miał się lepiej.

„Alan miał pod czterdziestkę. Był mały, tak mały jak ja. Jego wzrost był jedną z rzeczy, które sprawiały mu ból [...]. Ten niepokój o aparycję tłumaczył może błazenady Alana, jego głośne wybuchy śmiechu, ekstrawagancki krój, kolor i wyszukanie strojów, w jakich występował na przyjęciach w Londynie, na których go od czasu do czasu widywałem. Wesołość tych ubrań i zawadiackość jego zachowania kontrastowały z nerwowym, niemal ukradkowym sposobem patrzenia; kontrastowały też z jego samotnością oraz powściągliwością stroju i sposobu bycia, jaką przybierał w czasie wizyt w majątku, w trakcie których można było na jego twarzy przyłapać niekiedy minę pomarszczonej starej kobiety, zanim zmarszczki te nie przekształciły się w zmarszczki rozradowania. [...] Alan nie napisał żadnej książki. Pisywał od czasu do czasu recenzje i omawiał książki, filmy i inne wydarzenia kulturalne w radio. Jego radiowe występy były lepsze od tego co drukował, bo głos, sposób mówienia sugerował czy też komunikował więcej inteligencji i zapału. [...]

W radio ton jego głosu, zaczepliwość i dowcip sugerowały, że tych kilka minut w studio stanowi jedynie przerwę w pracowitym, pełnym i udanym życiu: życiu, którego można pozazdrościć. Słuchając go czuło się, że w tym człowieku jest wiele: wrażliwość, wykształcenie, rozum; że o ileż więcej mógłby powiedzieć, gdyby tylko miał czas. To samo wrażenie — choć w słabszym stopniu — robiły jego rzeczy drukowane [...]. Ale te recenzyjki, te krótkie pogadanki radiowe i wystąpienia w pospiesznych dyskusjach ucinanych przez prowadzącego w momencie gdy miały się zacząć wiadomości — to była suma pracy Alana, suma jego życia. Nic innego nie robił.

To, że ktoś znał jego nazwisko, że wspomniał jakiś drobiazg jego pióra nie powodowało — jak można by oczekiwać ze strony kogoś tak obytego — lekceważącego machnięcia ręką. Zachęcało go do mówienia o swej pracy. Pamiętał wszystkie powiedzonka jakie ukuł, powiedzonka, które w radio zdawały się wytryskiwać spontanicznie, pod wpływem szampańskiego nastroju, a w druku niekiedy wypadały blado. Potrafił powiedzieć: 'Jak powiedziałem w tym

omówieniu książki o Montgomerym, jej autor robi wrażenie, jakby w dzieciństwie został upuszczony na głowę przez żołnierza' — i tu potrafił przerwać i zanieść się śmiechem z własnego dowcipu [...]. (str. 230-231)

Ten bezlitosny portret nie jest samym potępieniem; narrator wyczuwa w Alanie pewne pokrewieństwo duchowe, iskrę, która mogłaby (mogłaby była, odpowiednio pielęgnowana) dać większy płomień. Tak się nie stało; miałkie życie Alana, jałowa nocna samotność podstarzałego pedzia w pustym londyńskim *pied-à-terre* (*„alkohol i muzyka: podpory samotności"*, komentuje w pewnym miejscu narrator) kończy się smutno, tak jak ostatnia wizyta w posiadłości:

„Człowiek, który zjawił się ponownie w majątku był ruiną. Jego twarz starej kobiety była twarzą nieuleczalnie chorego. I chociaż odmówił kieliszka wina, który mu zaproponowałem (całkiem niewinnie, nie znając jego niedawnej historii [= kuracji odwykowej] — [...] jego pozorne ozdrowienie było podobnie jak w wypadku innych groźnych chorób jedynie odroczeniem danym mu — może z okrucieństwa, a może jako gest pojednawczy — po to by jeszcze popatrzył na świat, który miał opuścić i mógł się pożegnać.

Pożegnał się. Nigdy nie wrócił. Słyszałem go raz czy dwa razy w radio — pełnego werwy jak zwykle. Gdyby tylko mógł tak żyć stale, w tej tonacji, w czymś takim jak ta atmosfera studia radiowego, jak owa sztuczna towarzyskość, i nie musiał iść do domu i być sam. A potem pewnego dnia dowiedziałem się — już kilka dni po wypadku — że zażył nocą jakichś tabletek po ciężkim pijaństwie i umarł. Teatralny rodzaj śmierci. Teatr nie musiał być daleko od rozmyślań Alana tego wieczoru. A tak łatwo wszystko mogło się potoczyć inaczej. Ktoś mógł zadzwonić, albo on mógł zatelefonować do kogoś, pójść na przyjęcie szykownie ubrany, być zabawnym, przypochlebnym czy złośliwym, mógł bez trudu prześliznąć się obok tego teatralnego momentu samobójstwa. Choć jego samotność na pewno doprowadziłaby go tam na nowo". (str. 265)

Obawiam się, że tak wyprute, przycięte (i trochę *ad hoc* tłumaczone w trakcie pisania) cytaty degradują tę bogatą powieść do poziomu umoralniającej przypowiastki ilustrującej zacnie-naiwne wskazania: bądź twardy, pracuj, rozwijaj się! Niewątpliwie coś „jest na rzeczy", ale w pełnym kontekście ten plebejski *common sense* nie brzmi ani zacnie, ani naiwnie, a raczej odkrywczo. Dlaczego?

Problematyka Naipaula usytuowana jest w podobnych regionach co problematyka Gombrowicza — z pewnością pisarza nie naiwnego. Dla obu pisarzy „człowiek" to nie gotowy, ulizany chłopiec, który zachowuje się źle lub dobrze. Ich człowiek to istota pośrednia, *in statu nascendi*, umieszczona pomiędzy obiektywną, nieustępliwą, niwelującą Zewnętrznością (Gombrowicz

rzekłby: Formą, a jego żenujący idol Sartre mógłby powtórzyć za Heglem — Koniecznością), a subiektywną, autokreującą, dowolną (na pozór przynajmniej) Samoistnością („młodością" przez duże „M" Gombrowicza). Wspólnym ich problemem jest też pytanie, czy pomiędzy obu tymi siłami można ustanowić jakąś wypadkową, złoty środek, który Gombrowicz nazywa „autentycznością" , a Naipaul — „całkowitością" (*completeness*). Obaj zdają sobie sprawę, iż rzecz komplikuje się dodatkowo przez fakt, że człowiek żyje w czasie (ten wymiar jest już wbudowany w same terminy Gombrowicza: Młodość *vs* Dojrzałość). Jeśli zatem jakakolwiek równowaga między „ja" i „światem" istnieje, to jest to równowaga chwiejna, jajko, które należy donieść biegiem do mety w wyciągniętej ręce na łyżce od zupy. I w tym miejscu ich drogi rozchodzą się.

Dla Gombrowicza obiektywny świat właściwie nie istnieje, a ściślej: jest, ale jest niepoznawalny, jak dla Kanta. Nie przypadkiem filozof ten tak fascynował go, jak to wiemy ze wspomnień Rity Gombrowicz. Najlepszą ilustrację tej wizji świata daje „Kosmos" , którego bohaterowie konstruując wariackie ciągi przyczynowe z niepowiązanych zdarzeń *nie* są wariatami: „coś" się istotnie dzieje, skoro zaś przyczynowość jest tylko subiektywną kategorią wbudowaną w mózg obserwatora, to ich postępowanie jest prawomocne, choć poznawczo bezskuteczne. Można w tym miejscu rzec, iż jest to tylko literacka zabawa; w życiu prywatnym i w „Dzienniku" Gombrowicz był pragmatykiem, chełpił się tym nawet trochę. Trudno to zakwalifikować inaczej, niż jako pewną perfidię, bo ta „zabawa" też była dla Gombrowicza sprawą poważną: w centrum jego całożyciowego dzieła znajduje się stale paradoksalna, tragiczna postać człowieka poszukującego i zarazem unikającego samorealizacji (= „formy"). A więc wieczna ucieczka.

Dlaczego „wieczna"? Dlatego, że skoro prawdziwy świat jest niepoznawalny, to wszelkie próby zadomowienia się w nim, ugody, są rachunkiem bez gospodarza. Skoro nie wiemy — i wiedzieć nie możemy — jakimi nam być *należy*, to wszelkie tego rodzaju próby są skazane na niepowodzenie. Jeśli będziemy się przy nich mimo wszystko upierać, to k a ż d a przybrana przez nas „forma" będzie tylko udawaniem, pretensjonalną pozą czy wręcz karykaturą. I nic nie ratuje: wypracowane przez zbiorowość wzory (Naipaul rzekłby: cywilizacja) to żurnal błazeńskich kostiumów; ludzie cywilizowani (= „dojrzali") to Pimko i mecenas Kraykowski, zaś ludzie nieucywilizowani to galaretowaty Józio z „Ferdydurke", fantomatyczny „król" Henryk ze „Ślubu" i — symptomatyczne — beztroski morderca Fryderyk z „Pornografii". Ci drudzy albo wcale nie mają formy, bo są „młodzi" (Józio), albo też forma ich nie jest gotowym wzorem, bo „stwarzają się sami" i „stwarzają świat wokół siebie" (Henryk,

Fryderyk). Nie są autentyczni — wszak nikt nie może być autentyczny — ale przynajmniej nie są śmieszni. A więc w pewnym sensie są mądrzejsi od tych pierwszych. Hm.

Rozważmy następujący cytat:

„Co popycha was ku działaniu, co budzi wasz zapał, o najmędrsi z ludzi, czy nazwiecie to 'wolą prawdy'? Wolą uczynienia bytu uchwytnym dla was: oto czym *ja* nazwę waszą wolę! Chcecie wpierw byt *uczynić* uchwytnym: bo w mądrej nieufności wątpicie, czy jest on uchwytny naprawdę. Ale ona ma się do was nagiąć i przystosować! Takim chce go mieć wasza wola. Ma się stać gładkim i poddanym umysłowi, być jego zwierciadłem i odbiciem. Oto wasza wola, o najmędrsi z ludzi; to wola potęgi; i jest nią nawet wówczas, gdy posługujecie się pojęciami dobra i zła i mówicie o wartościach. Chcecie stworzyć świat, przed którym będziecie mogli uklęknąć: oto cała wasza nadzieja i upojenie. Oczywiście: prostactwo, hołota przypomina rzekę niosącą swym prądem łódź, w której nadęte i sztucznie przebrane podróżują wartości. Lecz wy narzucacie waszą wolę i wasze wartości rzece stawania się [...]. I rzeka niesie waszą łódź: musi ją nieść. Cóż z tego, że fala prycha i gniewnie uderza o burtę!"

Nietrudno zgadnąć autora: tak, Nietzsche (*Also sprach Zarathustra*, cz. 2, „Ueber Selbstüberwindung"). *Hélas*! Tu anegdotyczny drobiazg: robiąc notatki do tego artykułu i chcąc czymś zilustrować refleksję, jaka mi się nasunęła *à propos* powinowactwa Gombrowicza z Nietzschem (uderzającego, dodam po namyśle; por. paralelizm pomiędzy parami: Młody *vs* Dojrzały i Dionizos *vs* Apollo!) sięgnąłem na półkę po „Zarathustrę", otworzyłem książkę na chybił trafił — i miałem stosowny cytat. Przypadek?

Nie jest moim zamiarem „demaskowanie" czy w ogóle deprecjonowanie autora „Ferdydurke", zwłaszcza że piszę te słowa niemal dokładnie w dwadzieścia lat po jego śmierci i że ta właśnie rocznica była głównym do nich bodźcem. Parantele z Nietzschem uchodzą dziś za niechlubne, bo (pomijając już demagogiczną sprawę „faszyzmu") sugerują starzyznę i tandetę. Pragnąłbym więc, żeby te uwagi były rozpatrywane *jenseits* — nie tyle poza dobrem i złem, lecz poza dość powszechnym polskim odruchem ustawiania pisarzy albo w panteonie, albo w gabinecie okropności. Wydaje się, że dokładniejsze zbadanie powiązań między nietzscheanizmem a gombrowiczadą nie byłoby płonną zabawą; chodzi nie o wyszukiwanie „wpływów" — podejrzewam, że Gombrowicz Nietzschego nigdy nie czytał, sam patos tych tekstów musiałby go odstręczyć — lecz o przynależność do pewnej formacji czy tradycji myślowej. Jest to w istocie tradycja niemieckiego idealizmu, zaczynająca się u Kanta i trwająca aż po Husserla i Heideggera wraz z ich francuskimi „przerzutami",

których najwyraźniejszym eksponentem filozoficzno-literackim był Sartre. Zbędne przypominać, jak ważną rolę myśl tych ludzi grała w myślach Gombrowicza.

Gombrowicz nie był ich uczniem, ale był ich powinowatym. Jak sam napisał w „Dzienniku", pewne książki działają nie przez to, że się je nagminnie czyta, tyle że są. Innymi słowy: nadają myśli „poziom", ton i kierunek. I moim zdaniem użytecznie byłoby rozpatrzyć „fenomen Gombrowicza" w świetle tych właśnie, za jego życia pozornie już przebrzmiałych idej; jego twórczość z tego punktu widzenia jest mniej egzotyczna i staje się bardziej „relewantna" jeśli chodzi o sprawy polskie.

Gombrowiczowski nietzscheanizm był (i chyba jest nadal) częścią polskiej atmosfery. Dostał się do niej poprzez Młodą Polskę, kawiarnie literackie i „indywidualizm" stymulowany niegdyś przez zabory, a później przez komunizm — dwie sytuacje utrudniające współdziałanie z innymi, a więc atomizujące społeczeństwa. Ów indywidualizm wciąż jeszcze cieszy się dobrą opinią, bo kojarzy się też z tradycją szlachecką. *Uebermensch* w polskim wydaniu to był najpierw „prawdziwy pan", a w nowszym i przykrojonym do obyczajów inteligenckich stroju — „ktoś", czyli osoba, z którą znajomość nobilituje, której obecność przy stoliku w kawiarni zaszczyca, a słowa „spijane" są przez otoczenie bezkrytycznie; liczy się tylko „format", czyli oryginalność wypowiedzi, autorytatywność (= „wola"), dowcip (a jakże), no i „transcendencja" poza szarą, uregulowaną rzeczywistość... Reszta jest nudziarstwem, pedanterią i drobnomieszczaństwem; kłaniają się tu Pimko, Kraykowski i rodzina Młodziaków.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że Gombrowicz był kawiarnianą wielkością i tyle. Przeciwnie: wyrósłszy w tej atmosferze, dobrze zdawał sobie sprawę z jej sterylności; ale nie widział wyjścia. Wyjściem — rozwiązaniem „zagadki przyjazdu" — była dlań tylko ucieczka albo z „gębą w rękach" nie wiadomo dokąd, albo „na bosaka" w groteskę, w śmiech. Ale czy śmiech jest jakimkolwiek rozwiązaniem? Naipaul w swej ostatniej powieści pisze o jednej ze swych postaci: „*Jego śmiech był, jak to często bywa, tylko odruchem pokrywającym speszenie* (confusion)". Niewesołe spostrzeżenie.

Naipaul, Gombrowicz. Wróćmy po raz ostatni do tej pary: obaj emigranci, obaj w poszukiwaniu autentycznego („zakończonego") człowieka, obaj świadomi, że za swój los odpowiedzialny jest w ostatniej instancji tylko sam zainteresowany (łagodna definicja ateizmu). Rozważmy te punkty styczne poczynając od emigracji. Naipaul jest emigrantem wdzięcznym: on się w z n o s i, wspina ku swemu krajowi osiedlenia, ból wykorzenienia jest dlań cierpieniem ambitnego dziecka zapisanego do elitarnej szkoły, konieczną ceną za lepszość; jego „kolorowa" i kolonialna

przeszłość nie zostawia w nim cienia wątpliwości, że wypróbowane i sprawdzone zbiorowo schematy zachowań — cywilizacja — *są* lepsze od chaosu i nie-działania. Gombrowicz jest także wdzięczny, ale z diametralnie odmiennych powodów: on się właściwie „zniża" ku Argentynie, z rozkoszą zanurza w jej „młodość" i „świeżość". A ponadto: on już właściwie był emigrantem w Małoszycach, na Służewskiej czy w „Ziemiańskiej". Jego obsesja nieautentyczności i wyobcowania człowieka ani się nie zmniejszyła, ani nie zwiększyła na skutek wyjazdu. Przywiózł ją ze sobą.

I tu przychodzimy do punktu drugiego i trzeciego równocześnie: odpowiedzialności człowieka za siebie. Gombrowicz jest w istocie pesymistycznym nihilistą. Człowiek może zrobić z siebie co zechce, nie ma punktów zaczepienia, nie ma ostatecznej instancji: może zostać Pimką, Fryderykiem, Henrykiem, Gonzalem, Hitlerem/Leninem (por. „Operetkę") — jego sprawa. Może trochę lepiej (=mniej śmiesznie) jest być nawet szaleńcem (Henryk) czy zabójcą (Fryderyk), niż „burżujem" (Kraykowski), ale to kwestia gustu; i tak nic dobrego z tego nie wyjdzie. Przekaz dzieła Gombrowicza jest desperacki, tragiczny i — biorąc pod uwagę jedynie dydaktyczno-wzorcową funkcję literatury (a ma on i taką) — można by go podsumować trawestacją słów Miłosza z „Traktatu poetyckiego": nam nie zostawił Gombrowicz pomocy.

Naipaul zaś nie jest tragiczny, jedynie dramatyczny. Jego daleka od „pańskości" wiara w możliwość osiągnięcia — poprzez wysiłek, próby i błędy — *modus vivendi* pomiędzy bezkształtnym „ja", a już bądź co bądź częściowo ukształtowanym (przez innych) światem ma w ostatecznym rachunku wydźwięk optymistyczny. Może jest to tradycja angielskiego empiryzmu, na tle którego Nietzsche i pokrewna mu myśl to tylko poetyckie majaczenia, a może zwykły „plebejski" pragmatyzm mówiący, że jakaś różnica pomiędzy np. Oxfordem a fundamentalistyczną madrasą w Indonezji jednak istnieje. Rezultat ten sam: przekaz Naipaula ma zdecydowaną wyższość „dydaktyczną" nad *message* Gombrowicza. Dla autora „Zagadki przybycia" rozwiązanie metafizycznej szarady jest trudno osiągalne, ale potencjalnie istnieje.

Czy ta specyficzna wyższość (nie chcę nadużywać cudzysłowów) oznacza, że Naipaul jest lepszy? Lub gorszy, płytszy? Pimkowskie pytania. Nikt dobrze nie wie, czym jest literatura i po co istnieje. Prowizorycznie można by ją przyrównać do biura patentowego, w którym rejestruje się niesprawdzone jeszcze i być może w ogóle niesprawdzalne wynalazki. Petentów obowiązują pewne reguły: muszą przedstawić funkcjonujący model pomysłu i dostarczyć jego opis, od którego wymaga się koherencji, uzasadnienia i jasnej prezentacji. Całość musi być na technicznym poziomie epoki, a o użyteczności wynalazku zadecyduje przyszłość.

Z tego punktu widzenia Naipaul i Gombrowicz są w jednej klasie. Zostawmy więc ocenę absolutnej wartości ich wynalazków przyszłości; dziś można tylko powiedzieć, iż bez któregokolwiek z ich „patentów" bylibyśmy ubożsi.

M. BROŃSKI

Warto by pomóc

ROZMOWA Z P. HANNĄ ŚWIDERSKĄ O SPRAWACH POLSKICH W BRITISH LIBRARY

PIOTR SKRZYNECKI: — *Istnienie kolekcji polskiej w British Library jest faktem ogólnie znanym, choć może nie w kraju, (gdzie dotąd mówi się o niej „British Museum"), ale niewiele wiadomo o jej historii i jej problemach obecnych. Praca Działu Polskiego, a ściślej Wschodnio-Europejskiego odbywa się w cieniu innych instytucji polskiego Londynu. Proszę coś powiedzieć na temat początków kolekcji polskiej.*

HANNA ŚWIDERSKA: — Biblioteka powstała jako część British Museum w 1753 r. Pozycje polskie zaczęły trafiać od samego początku. Nikt rzecz jasna nie interesował się egzotycznymi częściami Europy i to, co zawędrowało, było sprawą przypadku. Pierwszą książką w języku polskim umieszczoną w pierwszym katalogu British Museum z 1787 r. były Psalmy w tłumaczeniu Macieja Rybińskiego wydane w Gdańsku w 1632 r. W prywatnym księgozbiorze króla Jerzego III, przekazanym przez jego następcę w 1823 r. znalazło się kilka pozycji polskich, wśród nich, zupełnie nieoczekiwanie Wielka Biblia Radziwiłłowska z 1563 r. Nie wiadomo, jak się ona tam znalazła, gdyż wcześniej znajdowała się w zbiorach Biblioteki Załuskich w Warszawie (ma autograf J.A. Załuskiego) zagrabionej przez Rosjan w r. 1795. Mam wrażenie, że wówczas wśród uczonych dyletantów panowała moda na zbieranie Biblii i tekstów biblijnych w egzotycznych językach i na tej zasadzie księga ta jakoś tu dotarła. Oczywiście druki polskie w języku łacińskim, jak *Volumina Legum* czy *Historia Polonica* Długosza były znane wcześniej, ale polskie książki po łacinie traktowane były jako książki „zachodnie".

Prawdziwy początek kolekcji polskiej dał ks. Adam Czartoryski ofiarowując Bibliotece w 1832 r. zbiór ok. 100 książek, zawierający pozycje historyczne, dotyczące okresu rozbiorów i Konstytucji 3 Maja, a także klasyków literatury stanisławowskiej. Przekazując swój dar ks. Czartoryski oświadczył, że chce, aby interesujący się Polską mieli skąd czerpać wiadomości. Sprawę przekazania daru załatwiał Julian Ursyn Niemcewicz, przebywający w tym czasie w Londynie.

P.S.: — *Jak liczna jest w chwili obecnej kolekcja starodruków?*

H.Ś.: — Starodruki łacińsko-języczne wydane poza Polską włączone są do działu zachodnio-europejskiego. Natomiast zbiór starodruków polskich (za takie uważa się wszystkie w jęz. polskim oraz w innych językach wydane w Polsce) zawiera ponad 2000 pozycji, ale część się spaliła w czasie bombardowań w 1941 roku i dotąd nie udało się ustalić do końca co zginęło. W ogóle wyszukiwanie książek polskich natrafia na trudność związaną z faktem, iż książki polskie są rozproszone w całości zbiorów i nigdy nie były osobno katalogowane. W chwili obecnej posiadamy 292 druki z XVI w., 880 z XVII w. i 1055 z XVIII w. Włączone tu zostały druki z okresu Rzeczypospolitej Obojga Narodów pisane cyrylicą. Jest to największy zbiór polskich starodruków na Zachodzie. Może nie jest on aż tak duży, choć brak materiału porównawczego, ale są w nim rzeczy rzadkie, czy nawet bardzo rzadkie, nieznane Estreicherowi. Do skarbów należą *Zwierzyniec* z 1562 r. i *Zwierciadło* z 1567-68 r. Mikołaja Reja, *Elegiarum Libri IV* z 1584 r. Jana Kochanowskiego, *Chronica Polonorum* Macieja z Miechowa z 1521 r., ariański Nowy Testament z 1577 r. oraz inne rzadkie druki ariańskie, i wiele innych cimeliów.

P.S.: — *Jak wyglądało pozyskiwanie książek polskich w XIX w.?*

H.Ś.: — Głównym dostawcą była firma Adolfa Ashera, której centrala znajdowała się w Berlinie, a filia w Petersburgu. Asher, znający język rosyjski, sam jeździł do Petersburga i był głównym dostawcą Biblioteki z terenów całej Wschodniej Europy. Nie miałam nigdy czasu tym się zająć, ale rachunki Biblioteki za cały XIX wiek można sprawdzić. Widziałam rachunki wystawione w Berlinie, a towar drogą morską przychodził z Petersburga. Skąd tam się brały polskie książki? Różne polskie zbiory były konfiskowane przez Rosjan. Jednak trudno jest ustalić w większości wypadków pochodzenie tych książek ze względu na brak znaków własnościowych.

Jak wspomniałam, książki polskie są rozproszone i pomieszane z książkami w innych językach. Jedynie cimelia są wydzielone

i trzymane osobno, ale z cimeliami polskimi był problem, co za takie uznać, gdyż bibliografia Estreichera zaczęła wychodzić w r. 1870, a Asher dostarczał książki od ok. 1840 r. Jednym z pracowników Biblioteki był poliglota Thomas Watts, który znał między innymi polski, rosyjski i węgierski. On to od 1838 r. zajmował się wybieraniem książek do zakupów i rozmieszczaniem ich w magazynie. Oczywiście nie miał on możliwości określić, czy dana książka jest rzadka czy nie.

Gdy rozpoczęłam tutaj pracę w 1961 r., znajdowałam na półkach zupełnie przypadkowo rzeczy, na które patrzyłam podejrzliwie: cenne starodruki na „otwartych" półkach w magazynie — czy są prawdziwe? Np. dlaczego pierwsze wydania Reja są pomieszane z książkami o małej wartości. Mój poprzednik, Michael Atkinas, który był polonistą, dużo już takich rzeczy wyłapał i kazał włączyć do cimeliów. Okazją do tego była przygotowana przez niego wystawa polskiego millenium w 1960 r. Po nim ja wyłapałam resztę. Niewłączenie do cimeliów spowodowało właśnie straty w zbiorach polskich w czasie wojny, gdyż wszystkie cimelia były ewakuowane na prowincję, a pozostałe zbiory zostały w Londynie.

P.S.: — *Czy zbiory polskie poniosły duże straty w czasie wojny?*

H.Ś.: — Tak, poniosły duże straty, również i dlatego, że niewiele było wówczas w cimeliach. Np. były dwa egzemplarze Kodeksu Łaskiego. Jeden ocalał, gdyż był wśród cimeliów. Nie dlatego by ktoś uważał go za szczególnie cenny, ale należał do jakiegoś księgozbioru, który *per se* uważany był za cenny. A drugi się spalił.

P.S.: — *Czy kolekcja polska wzbogaciła swe zbiory w drodze darów osób prywatnych?*

H.Ś.: — Nie. Oprócz tego co podarował ks. Czartoryski. Rozwój kolekcji polskiej nastąpił, gdy Panizzi, „król bibliotekarzy", został dyrektorem Biblioteki w 1837 r. On dopiero wywalczył odpowiednie fundusze i zaczął rozwijać zbiory. Jako uchodźca w Anglii (Włoch i karbonariusz) rozumiał sprawy krajów uciśnionych i doceniał wartość mniej znanych języków, dlatego też kładł nacisk, by je gromadzić.

Jedynym większym darem otrzymanym przez Bibliotekę od czasów Czartoryskiego był zbiór filatelistyczny Bojanowicza, przekazany w 1966 r. Bojanowicz chyba nawet nie był Polakiem tylko Jugosłowianinem. Kolekcja obejmuje okres wojny i pierwszych lat powojennych. Jest tam wiele rzeczy rzadkich z oflagów, z obozów wojskowych na Środkowym Wschodzie, włoskiej kampanii 2. Korpusu, Powstania Warszawskiego itd.

P.S.: — *Czy w chwili obecnej Biblioteka stara się gromadzić wszystko, co jest wydawane w Polsce?*

H.Ś.: — Nie wszystko. Tego nie dałoby się zrobić i nie miałoby sensu.

P.S.: — *Jak zatem dokonywana jest selekcja?*

H.Ś.: — W Polsce wychodzi ok. 11 000 tytułów rocznie. Z tego my braliśmy do 1600 tytułów (coraz mniej, bo fundusze się kurczą). W roku 1988 otrzymaliśmy 1262 pozycje książkowe oraz przychodziło nadal 19 tytułów gazet, 130 periodyków i 306 tytułów wydawnictw seryjnych. Biblioteka gromadzi jedynie wydawnictwa dotyczące nauk humanistycznych i sztuki, trochę literatury pięknej, tej „wyższego lotu". Nie gromadzi się wydawnictw na poziomie elementarnym i podręczników.

P.S.: — *Czy Pani decyduje o selekcji zamawianych wydawnictw?*

H.Ś.: — Tak.

P.S.: — *Czy zbiory prasy są wyodrębnione?*

H.Ś.: — Gazety i tygodniki trzymane są w Bibliotece Gazet w Colindale. Zostały one przeniesione tam jeszcze przed I wojną światową. Tutejszy budynek pęka w szwach.

P.S.: — *Wybór współczesnej prasy polskiej jest gromadzony systematycznie. A jak prezentują się zbiory prasy polskiej okresu międzywojennego czy wcześniejszego?*

H.Ś.: — U progu lat 30-tych, w czasie kryzysu ekonomicznego, w dziale słowiańskim było zatrudnionych bardzo mało osób. I tak jak mi mówiono nikt Polską się nie interesował. Powstały zatem olbrzymie luki. Prasa i periodyki międzywojenne są wciąż największą dziurą zbiorów. Colindale poniosło ciężkie straty.

P.S.: — *Czy uzupełnia się te braki w drodze otrzymywania mikrofilmów?*

H.Ś.: — Właściwie nie, gdyż stan jakościowy tego co przychodzi z Polski zmuszałby do ponownego mikrofilmowania dla zabezpieczenia trwałości. Tak więc nic tą drogą się nie uzupełnia. Prasa zawsze stanowiła słabą stronę. Dla okresu międzywojennego stosunkowo dobrze prezentuje się prasa żydowska. Dlaczego, kto to robił, czy Żydzi sami dbali o przysyłanie? Nie wiem. Jeśli chodzi o periodyki, dużo się spaliło w czasie wojny w głównym gmachu British Museum.

Co się dziwić sytuacji prasy? Przy zupełnym braku pieniędzy w okresie kryzysu, nie zakupiono nawet takich rzeczy jak bibliografia Korbuta. Jak mi ktoś powiedział, w tym czasie w dziale słowiańskim najbardziej interesowano się Jugosławią i chyba Estonią. Pozostały inne formy pozysku książek. Polska Akademia Umiejętności od początku przysyłała swoje pozycje wydawnicze. To co było przysłane, to oczywiście Biblioteka brała, ale o ile wiem, nic z własnej inicjatywy.

P.S.: — *Tak więc instytucją polską utrzymującą stały kontakt z Biblioteką była PAU?*

H.Ś.: — Nie tylko. Towarzystwo Naukowe w Warszawie od swojego powstania w 1907 r., czy wcześniej Akademia Nauk w Krakowie od 1871 r., no i potem PAU. Dzięki temu Biblioteka posiada bogate kolekcje pozycji wydawniczych tych instytucji. Również Tawarzystwo Nauk w Toruniu, czy Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Nie widziałam jednak archiwaliów z tego okresu i nikt nie potrafił mi powiedzieć co się z nimi stało.

P.S.: — *Czy innego typu placówka reprezentacyjna, jak ambasada, była jakimś inicjatorem przykazywania prasy, powiedzmy rządowej, do biblioteki, czy jakimś pośrednikiem wydawców polskich?*

H.Ś.: — Z tego co wiem to nie. Strona polska uważała po prostu za pewnego rodzaju zaszczyt, że British Museum coś w ogóle przyjmuje. Mieczysław Grydzewski mówił mi, że to jednak było ogromne zaniedbanie, iż polscy wydawcy, nawet *Wiadomości*, nie przysyłali tutaj swoich rzeczy. Ostatecznie to, co się tutaj znalazło, bardzo się przydało w czasie wojny. Np. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego stąd czerpało teksty do podręczników szkolnych i klasyków literatury, których wydawano dla szkół polskich podczas wojny w Londynie i na Środkowym Wschodzie. Z czego widać, że warto polskie wydawnictwa składać gdzieś poza Polską, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się one przydać również i Polakom.

P.S.: — *Czy istnieją kontakty Biblioteki (Działu Słowiańskiego) z instytucjami polskimi na emigracji?*

H.Ś.: — Nie. Polskie wydawnictwa emigracyjne na terenie Anglii objęte są angielską bibliografią narodową i trafiają bezpośrednio do osobnego działu naszej biblioteki, który ją opracowuje.

P.S.: — *A z placówkami bibliotecznymi, jak Biblioteka Polska w Londynie czy Fundacja Lanckorońskich?*

H.Ś.: — Właściwie nie.

P.S.: — *Tworzy to obraz, że Pani tutaj działa w oderwaniu od innych instytucji związanych z polską książką.*

H.Ś.: — Niestety tak. Kiedyś próbowałem nawiązać kontakt z osobą zajmującą się zbiorami polskimi w paryskiej Bibliothèque Nationale, ale nic z tego nie wyszło.

P.S.: — *Jak wygląda sprawa kontaktów z instytucjami krajowymi?*

H.Ś.: — Utrzymywane są kontakty w formie wymiany książek z głównymi bibliotekami w Polsce, z bibliotekami uniwersyteckimi, muzeami i towarzystwami naukowymi. Nie wiemy jednak co teraz będzie, ceny książek w Polsce poszły szalenie w górę i sprawa wymiany staje pod znakiem zapytania, gdyż dotychczasowe przeliczniki są dla nas zbyt niekorzystne. W niedługim czasie ma ruszyć import książek krajowych. Księgarnia Orbis ma eksportować książki emigracyjne w dużych ilościach i za to otrzymywać książki krajowe. I wygląda na to, że wypadnie to tanio, dużo taniej niż jest teraz.

P.S.: — *To bardzo ciekawa propozycja, ale wywołująca moim zdaniem wątpliwości. Po pierwsze, robienie biznesu na umowach z reżimem. Po drugie cenzura będzie decydować, które książki mogą się szerzej rozejść, nie poprawi to dostępności książek prawdziwie istotnych. Jak wiadomo Orbis i wydawnictwo „Odnowa" to jeden właściciel. Którego to wydawnictwa pozycje staną się łatwiej dostępne? Będę się cieszył, jeśli już niedługo będzie mogła ustawić się kolejka po „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", ale czy to przykład książki, dla wydawania których istnieją wydawnictwa emigracyjne?*

Wracając do tematu, Biblioteka utrzymuje kontakty z księgarzami?

H.Ś.: — Przede wszystkim z Orbisem. Wykonuje on dla nas zamówienia Biblioteki Narodowej w Warszawie, Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i innych, z którymi prowadzimy wymianę. No i kupujemy trochę materiału przedwojennego z antykwariatów w Monachium, Paryżu i Tel Avivie.

P.S.: — *Jak przedstawia się sprawa gromadzenia wydawnictw niezależnych?*

H.Ś.: — Nasz zbiór obejmuje ponad 300 książek i podobną ilość tytułów prasowych. Za czasów „Solidarności" otrzymywaliśmy czasem pozycje niezależne w paczkach wraz z innymi książkami przychodzącymi z bibliotek w Polsce, a także redaktor Giedroyc, któremu za to dzięki, dzielił się z nami swymi dubletami. W roku 1984 odbyła się się wystawa „Orwell w językach Wschodniej Europy", która przyciągnęła nieco darów. Jest to zatem zbieranina z różnych źródeł.

P.S.: — *Czy zdarzali się prywatni nadawcy z Polski?*

H.Ś.: — Nie, nigdy. Takie obietnice różne osoby, w różnym czasie robiły, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Biblioteka Polska w Londynie ma ogromny zbiór, ona wszystko wciąga jak gąbka. Jesteśmy instytucją angielską, więc jeśli ktoś z Polski coś przywiezie, to nie przyjdzie z tym tutaj.

P.S.: — *O ile wiem Biblioteka Polska nie jest posiadaczem największych zbiorów wydawnictw niezależnych. Wydawcy niezależni niewiele myślą o stronie dokumentacyjnej swej działalności i tylko niektórzy dbali o przekazywanie swych pozycji do Biblioteki Narodowej czy innych ważnych, a co dopiero mówić poza granicami. Nos wydawców natomiast kazał dbać o posyłanie swych pozycji osobom czy instytucjom mogącym udzielić subwencji na działalność wydawniczą. Stąd też* Kultura, Kontakt, Aneks *czy* Puls *posiadają znaczne zbiory. Redaktor Giedroyc podzielił się dubletami, może inni pójdą w jego ślady. Dużo pozycji gazetowych jest już tu na miejscu niszczonych. Sam widziałem kiedyś w Londynie pewnego redaktora pracującego nożyczkami na oryginałach. Podobno to nawyk po latach pracy w RWE.*

Czy prowadzona jest wymiana z Biblioteką Polską poprzez kopiowanie posiadanych wydawnictw?

H.Ś.: — Nie. Kiedyś jedynie próbowałam nawiązać wymianę dubletów wydawnictw niezależnych, ale nic z tego nie wyszło. Raz przyszedł ktoś z Polski z podziemnymi przedrukami wydawnictw emigracyjnych, tak więc te książki miały dla nas jedynie wartość muzealną, i zażyczył sobie 100 funtów za sztukę. Trochę mnie to zdziwiło, bo na taki wydatek nas nie stać. Twierdził, że należy się za ryzyko.

P.S.: — *Sytuacja Biblioteki Polskiej chyba jest podobna, choć nie znam przyczyn chronicznego niedoinwestowania.*

H.Ś.: — Sprawy finansowe Biblioteki Polskiej to bardzo obszerny temat. Jest ona własnością POSK. Biblioteka daje POSK-owi możliwość apelowania do Polaków w świecie i uzyskiwania na nią darów. I dary takie rzeczywiście od czasu do czasu napływają, w formie składek lub zapisów, ale Biblioteka *nie ma nawet*

własnego konta i wszystko wpływa do POSK. Teraz Pan rozumie. Na początku lat 70-tych prof. Lanckorońska chciała wykupić i uposażyć Bibliotekę. Zarząd POSK odmówił — o ile wiem — pod pretekstem, że Fundatorka chciała, by była to Biblioteka Polska im. Lanckorońskich. A może dlatego, że po wyzbyciu się Biblioteki Polacy z całego świata nie widzieliby sensu wpłacania na POSK?

P.S.: — *To bardzo ciekawe sprawy. Wracając do głównego tematu, posiada Pani możliwość dokonywania bezpośrednich zakupów wydawnictw podziemnych jak wspomniany poprzednio przypadek.*

H.Ś.: — Tak, ale bardzo rzadko, w Berlinie czy Wiedniu. Jednak nasz fundusz na zakupy jest coraz mniejszy. Proszę pamiętać, że buduje się nowy gmach British Library i ten gmach jak rak drenuje wszelkiego rodzaju fundusze. Po prostu na rzeczy, na które nas było stać jeszcze parę lat temu, już nas nie stać. Między innymi obecny przelicznik wymiany wydawnictw z Polską tak nam dopieka, a chciałoby się aby mimo wszystko nasz zbiór był w miarę reprezentatywny. W ogóle jestem ciekawa przyszłości niezależnego ruchu wydawniczego. Czy utożsami się z tzw. pierwszym obiegiem?

P.S.: — *To chyba nie grozi, o ile wydawcy niezależni będą starali się publikować rzeczy zwalczające istniejący system i pozory jego ewolucji. Niewątpliwie nie wystarczy już przedrukować byle jaką książkę wydaną na emigracji. Poważny problem stanowią również środki materialne na działalność wydawniczą i drogi ich pozyskiwania w powiązaniu z tzw. polityką wydawniczą. Z własnej znajomości stanu rzeczy muszę niestety stwierdzić, że nie dla wszystkich wydawców zapewnienie szerokiego obiegu publikacji jest właściwym celem ich istnienia.*

Czy w okresie Pani pracy w Bibliotece zaszły jakieś zmiany w kręgu czytelników?

H.Ś.: — Bardzo się zmieniło odkąd zaczęłam tutaj pracować. Gdy zaczynałam w 1961 roku, żyli jeszcze nasi „wielcy przedwojenni", więc w czytelni widywało się Mieczysława Grydzewskiego każdego dnia, tylko spać chyba wychodził, całe *Wiadomości* robił w czytelni. Następnie gen. Kukiel, Władysław Günter, Maria Danilewiczowa i inni. Teraz już nazwiska zaczęły mi uciekać, ale było ich wielu i korytarz którym się wchodzi do czytelni nazywany był „polskim", tam rozmawiali i wymieniali uczone plotki. Potem zaczęli wyjeżdżać, albo wymierać.

Były wtedy, jak wspominałam, wielkie luki w wydawnictwach międzywojennych. Wkrótce potem, gdy zaczęłam tu pracę

zaistniała bardzo dobra koniunktura na zakupy, pieniędzy było pod dostatkiem, więc kupowałam masowo. Przez całe lata 60-te i 70-te skupowałam masę wydawnictw przedwojennych z antykwariatów w Polsce za pośrednictwem „Ars Polona" i z zagranicznych. Wiedziałam kto się czym interesuje i gdy przychodził transport książek przedwojennych, to od razu sortowałam, co komu pokazać. I te książki szybko wchodziły do katalogu. Grydzewski, gdy go spotykałam w czytelni mówił z aprobatą: — Proszę Pani, Winawer (czy ktoś inny) raptem wyłonił się w katalogu! — Tak samo reagowali inni intelektualiści przedwojenni — Czy to wszystko dla mnie? Jak Pani to robi? — Miałam wówczas uczucie, że się gra przed widownią która klaszcze. Później, gdy ci ludzie zaczęli znikać wszystko uległo zmianie. Teraz zapotrzebowanie na polski materiał jest mniejsze i korzystają z niego Anglicy. Korzystają oni również ze zbioru „Solidarności", do którego są włączone wszystkie publikacje niezależne.

Wtedy książki w roku wchodziły do katalogu, teraz cykl wprowadzania trwa lata, a wiele rzeczy pewnie nigdy nie wejdzie, takie są olbrzymie zaległości w katalogowaniu i taki brak personelu. Dział Wschodnio-Europejski zatrudnia 8 kustoszów. Obecne zaległości w katalogowaniu sięgają ponad 50000 pozycji, w tym polskich ponad 3000. Nie ma widoków na powiększenie się personelu. Wywołuje to wieczne spory czy młodzież zajmująca się katalogowaniem („aż" 4 osoby!) będzie robić raz na tydzień przez pół dnia książki np. węgierskie, czy nie, bo innym też się należy. A nowe książki ciągle wpływają. Nie ma możliwości czasowego zatrudnienia w formie umów zleconych. Sytuacja jest rozpaczliwa. Gdy przychodzą książki, staram się wyłapać i skatalogować chociaż to, co jest najważniejsze, ale to nie wystarcza. Jednak wydawnictwa drugiego obiegu katalogujemy bez zwłoki.

P.S.: — *Nawiązując do obecnych czytelników polskich książek w Bibliotece, rozumiem, że zdarzają się Anglicy znający język polski?*

H.Ś.: — Tak. Jest ich coraz więcej. Jeśli zajrzeć do zbioru „Solidarności", to zawsze tkwi jakiś rewers czytelnika, zawsze coś jest w użyciu. Również dlatego warto by, aby te rzeczy tu wpływały, nie tylko od przypadku do przypadku.

P.S.: — *Mamy więc co czynienia z przewagą czytelników angielskich nad polskimi?*

H.Ś.: — Tak. Jest ich rzecz jasna nie tak dużo, ale przeważają.

P.S.: — *Czy znani historycy londyńscy, Tadeusz Żenczykowski,*

Józef Garliński, naśladują Mariana Kukiela i są częstymi gośćmi Biblioteki?

H.Ś.: — Nie widuję ich, może dlatego, że rzadko bywam w czytelni.

P.S.: — *Może zatem poczytny* Dziennik Polski, *jak dawniej* Wiadomości, *przez redaktorów przygotowywany jest w czytelni?*

H.Ś.: — Na pewno nie!

P.S.: — *Czy trafiają tutaj ludzie z kraju?*

H.Ś.: — Rzadko, oni przede wszystkim biegną do Biblioteki Polskiej czy Instytutu gen. Sikorskiego. Czasem British Council zaprasza naukowców z Polski, poszukujących tutejszego materiału. Naturalnie przychodzą też bibliotekarze.

P.S.: — *Bogaty okres życia polskiego w Bibliotece należy do przeszłości. Atmosferę tamtego czasu kreowały postacie wymienione przez Panią. Czy ich ubytek to jedyna zmiana wśród gości Biblioteki?*

H.Ś.: — Kiedyś bywały problemy z grafomanami, którzy skrupulatnie dbali o umieszczenie swych utworów w British Museum (do którego nasza biblioteka należała aż do utworzenia British Library w r. 1973). Byli tacy panowie co pisali poezje czy inne rzeczy niskiego lotu, w Anglii i poza nią. Wydawali we własnym zakresie, czy gdziekolwiek w jakichś gazetkach. Niektórzy robili z takich drobiazgów odbitki, które oprawiali, aby otrzymać „pozycje bibliograficzne" i przysyłali to tutaj. Następnie w czasie pobytu w Londynie skrupulatnie sprawdzali czy jest to już w katalogu, a jeśli nie, to dlaczego, więc byłam wzywana aby wyjaśniać. Bywali agresywni. Pamiętam, jak jeden z nich bardzo się obraził, gdy powiedziałam, że jego rzeczy zostały skatalogowane jako klocek, a on żądał, by każdą skatalogować osobno. Były to odbitki wierszy z jakichś pisemek. Regularnie mnie prześladował, aż powiedziałam, że tu ja decyduję, co i jak ma być skatalogowane. Na to on, że nie będzie więcej przysyłał. Ja na to — szkoda, ale to już Pana decyzja. Ale on dalej przysyłał. W innym przypadku moi koledzy Anglicy, gdy przychodził jeden gość do czytelni, ostrzegali mnie i ja się wymykałam tylnymi drzwiami. Innym razem jeden z gości zażądał, aby mu powiedzieć co się stało z przysłanymi przez niego wierszykami (które chwilowo były nieznajdywalne). Więc szybko dzwonię do Biblioteki Polskiej, do Marii Danilewiczowej i pytam czy ma egzemplarz nieostemplowany, aby mu pokazać, żeby się odczepił.

Ona mówi, że ma, więc ja tam gonię, przywożę. Jeszcze po drodze uświadomiłam sobie, że jeśli on na naszym jakąś odręczną dedykację napisał, to leżę. Ale on to obejrzał i wszystko w porządku, znaczy nie było tej dedykacji. Czasem otrzymywałam pokaźne dzieła na temat wspaniałości jakiegoś rodu, przez potomków sporządzone na powielaczu i rozsyłane do wielkich bibliotek z obu stron Atlantyku jako „wydawnictwa cenne i bardzo rzadkie". Potem pretensje: czemu dzieła nia ma w katalogu? Co rusz były takie perypetie, było trochę tych nachalnych grafomanów i snobów, ale dziś to już historia.

P.S.: — *Byli zatem Polacy, którzy sobie szczególnie upodobali British Museum, aby umieścić swoje dzieła?*

H.Ś.: — Tak. Nie mówię o rzeczach wartościowych, jak odbitki czy broszury regularnie dawane nam przez Stanisława Cat-Mackiewicza, Stanisława Kota i innych autorów tej kategorii. Były to rzeczy drobne, ale o dużej wartości i oczywiście katalogowało się je osobno.

O wiele liczniejszą i często zawziętą kategorię stanowili poszukiwacze swoich (czy aby na pewno?) herbów. Potem można się było puszyć, że ich wspaniałe rody są „zapisane" w British Museum. Miałam też do czynienia z kilkoma pretendentami (w tym jeden Anglik) do tronu polskiego, żądali ode mnie dostarczenia im ich królewskich herbów i drzew genealogicznych. Agresywny był ten Anglik, któremu ojciec (o dobrym polskim proletariackim nazwisku) umierając przekazał prawo do tronu. Żaden z tych „klientów" nie przyjmował „nie" za odpowiedź, (jak mówią Anglicy), nawet jeśli czasem zdarzała mi się gratka, że jedyny ślad tej arystokracji znajdowałam w „Księdze chamów" Trepki. Z tym jeszcze nie skończyliśmy: kilka lat temu rodak z angielskiej prowincji przez miesiące natrętnie żądał od nas coraz to nowych szczegółów o swych „królewskich" przodkach (poczynając od Ziemowita!) i nawet zdołał zainteresować tym swą miejscową prasę, która pisała całkiem serio, że dziedzic polskiego tronu mieszka w jej miasteczku.

P.S.: — *Przeszłość zapewne była barwniejsza, niż dzień dzisiejszy, ale obowiązków nie brakuje. Sprawa katalogowania wydaje się nierozwiązywalna, natomiast uzupełnianie zbiorów w dużej mierze zależy od zainteresowania tą sprawą.*

H.Ś.: — Przy kurczących się środkach robimy co możemy, aby nasz, jak dotąd dość kompletny księgozbiór z zakresu humanistyki, nauk społecznych i historii sztuki takim pozostał. Jak już raz powstaną dziury — jak było w Dwudziestoleciu — to bardzo trudno będzie je kiedyś załatać.

Pozostaje jeszcze sprawa wystaw, które ogląda publiczność nie tylko miejscowa, ale i turyści z całego świata. Dwie z nich oparte były na wydawnictwach drugiego obiegu: druki Solidarności i NZS w latach 1981-1982 (stały się prawdziwą sensacją z chwilą wprowadzenia stanu wojennego!) oraz wspomniany już „George Orwell w językach Wschodniej Europy" w 1984. Trzy czwarte eksponatów pochodziło z polskiego podziemia. Ta wystawa okazała się rewelacją dla znawców literatury angielskiej i jej bibliografów, którzy nie mieli o tym pojęcia i dopiero u nas zobaczyli różne podziemne wydania *Folwarku zwierzęcego*, *Roku 1984* i inne. Dlatego uważam, że obecność wydawnictw drugiego obiegu w wielkich bibliotekach światowych (a nasza należy do najgłówniejszych) jest z różnych względów ogromnie ważna. Kto powinien o to zadbać? W handlu ich prawie nie ma, biblioteki polskie nie mogą czy też nie chcą włączyć ich do wymiany, więc ręce mamy związane. A ich wydawcy... Wie Pan, kiedyś tak mi powiedział Mieczysław Grydzewski: — To było karygodne zaniedbanie, że w Dwudziestoleciu nie wysyłaliśmy naszych wydawnictw do wielkich zagranicznych bibliotek, i ja też zawiniłem. — Czy uważa Pan, że byłoby zbyt nieprzyzwoicie podać na wszelki wypadek nasz adres? Oto on:

British Library
Humanities and Social Sciences
Slavonic and East European Collections
Great Russell St
London WC1B 3DG.

P.S.: — *Mam nadzieję, że ten apel coś da. Dziękuję Pani za rozmowę.*

Rozmawiał Piotr SKRZYNECKI

FUNDUSZ STYPENDIALNY IMIENIA PREZYDENTA K. SABBATA
Zamiast kwiatów

Oddając hołd pracy i zasługom śp. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Kazimierza Sabbata FUNDUSZ POMOCY KRAJOWI zgodnie z życzeniem Rodziny apeluje o dary, zamiast kwiatów, na Fundusz Stypendialny Imienia Prezydenta K. Sabbata dla historyków na prace z zakresu dziejów naszej Emigracji Niepodległościowej.

Ofiary prosimy wpłacać na Fundusz Pomocy Krajowi, 43 Eaton Place, London SW1X 8BX, z zaznaczeniem celu wpłaty.

WYRÓŻNIENIE MICHAŁA GIEDROYCIA

W dniu 15-go lipca 1989, w Sheldonian Theatre w Oxfordzie, Sir Patrick Neill, Wice-kanclerz Uniwersytetu, nadał Michałowi Giedroyciowi tytuł magistra *honoris causa*. Wyróżnienie to, zbiegające się z wycofaniem się honoranta z działalności na polu przemysłowo-ekonomicznym, nawiązuje do roli Giedroycia (od r. 1983) w akcji uzdrowienia organizacji finansów Oxford Union Society, „kolebki brytyjskich mężów stanu".

[Michał Giedroyć, syn Tadeusza Senatora RP, urodził się w r. 1929 w Ziemi Nowogródzkiej. Wywieziony w kwietniu 1940 na Syberię, w roku 1942 wydostał się z Wojskiem Polskim do Persji. Po ukończeniu Junackiej Szkoły Kadetów na Bl. Wschodzie (1946) odbył studia na Uniwersytecie Londyńskim (1947-51, inżynieria lotnicza z matematyką stosowaną). Pracował w dziedzinie konstrukcji i eksploatacji samolotów w W. Brytanii i na Dalekim Wschodzie. W okresie 1966-77 zajmował się planowaniem przemysłowym dla krajów Trzeciego Świata, specjalizując się w problemie transferu technologii. Równocześnie był czynny w radach nadzorczych kilku przedsiębiorstw w W. Brytanii, RFN i Hiszpanii. Do roku 1989 był prezesem rady nadzorczej firmy The Du Bois PLC.]

Równolegle z pracą na polu przemysłowo-ekonomicznym, Giedroyć zajmował się historią średniowiecznej Litwy. Rezultatem tych zainteresowań i studiów jest seria artykułów w *Oxford Slavonic Papers* (1984-1989). Będą one trzonem zaplanowanej już książki na temat historii Litwy przed unią z Polską (zob. „Lituanistyka w Oxfordzie" *Kultura*, Paryż, 5/464 (1986), str. 114)

Oxford 19/7/89

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222
GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Ci, co odeszli

Kazimierz Sabbat

Prezydent Kazimierz Sabbat urodził się w Bielinach, w kieleckim w roku 1913, jako syn organisty. Lata szkolne spędził w Mielcu gdzie wstąpił do harcerstwa. W roku 1935, po ukończeniu szkoły podchorążych rezerwy, rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie ukończył Wydział Prawa; był też słuchaczem Szkoły Nauk Politycznych. Na lata akademickie przypada najważniejszy okres Jego działalności w harcerstwie.

Po kampanii wrześniowej, którą kończy w Kopyczyńcach na samej granicy wschodniej w chwili wkroczenia wojsk sowieckich, przedostaje się w styczniu 1940 r. szlakiem żołnierskim przez Węgry do Francji. Tam w zmotoryzowanej brygadzie gen. Maczka bierze udział w działaniach opóźniających ofensywę niemiecką. Ranny, ucieka ze szpitala ażeby dołączyć do oddziału polskich ewakuowanych z St. Jean-de-Luz do Wielkiej Brytanii. W Szkocji służył w 10 pułku strzelców konnych I Dywizji Pancernej gen. Maczka skąd w 1943 r. został odkomenderowany w stopniu porucznika do Sztabu Głównego jako referent do spraw młodzieżowych. Jednocześnie, jako p.o. przewodniczącego Naczelnego Komitetu ZHP na czas wojny kierował licznymi powstałymi w oddziałach wojskowych kręgami starszoharcerskimi na terenie Wielkiej Brytanii, utrzymywał ścisłą współpracę z harcerstwem na Wschodzie, a co najważniejsze miał ścisłe kontakty i udział w przesyłaniu pomocy dla Szarych Szeregów w Polsce pod okupacją. Został zdemobilizowany w 1948 roku. Założył własne przedsiębiorstwo, które ciężką pracą rozwinął tak, że pozwoliło mu na utrzymanie rodziny i dało niezależność finansową w pracy politycznej.

Kazimierza Sabbata poznałem w Londynie już po wojnie, gdy w roku 1947 zwrócił się do mnie, abym na zebraniu starszego harcerstwa wygłosiła odczyt pt. „Polska Partia Socjalistyczna

w życiu narodu polskiego" — tytuł ten zresztą ustaliliśmy wspólnie. Uprzedził mnie, że na zebraniu mogę się spotkać z licznymi oponentami, zwłaszcza gdy poruszę sprawy wewnętrzne dotyczące ostatniego dziesięciolecia Polski niepodległej. W rozmowie naszej opowiadał mi dużo jak przed wojną zorganizował Kuźnicę Kręgów Akademickich i Starszoharcerskich; był jej przewodniczącym w Warszawie, brał czynny udział w pracy programowej dla Starszego Harcerstwa w całej Polsce. Z entuzjazmem opowiadał mi o roli i znaczeniu Starszego Harcerstwa dla całego ruchu. Czułam w tej rozmowie, że idea harcerska, ruch harcerski stanowi pasję Jego życia. Żartem zaznaczył, że jednym z motywów zwrócenia się właśnie do mnie, była przeszłość harcerska mojego Męża Adama, która czyniła mu go bliskim. Przecież — podkreślił ze śmiechem — „druh Adaś jako trzynastoletni harcerz w Zakopanem był przybocznym Andrzeja Małkowskiego, twórcy skautingu w Polsce".

Odczyt o PPS wygłosiłam, Pan Kazimierz przewodniczył pilnując, by przyjazna atmosfera harcerska, mimo gorącej dyskusji, w której jakoś dałam sobie radę, nie została naruszona. I tak zaczęła się nasza znajomość. Urwała się na kilka lat. Wiedziałam, że w dalszym ciagu jest kierownikiem Starszego Harcerstwa i członkiem władz naczelnych ZHP na obczyźnie, na którym to stanowisku pozostawał zresztą do roku 1967.

Jak wiadomo wydarzenia polityczne na emigracji, związane ze śmiercią Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza wywołały długotrwały i szkodliwy rozłam. W czerwcu 1947 roku umierający Prezydent, wbrew dawniejszym zobowiązaniom, odwołał swą nominację z roku 1944, wyznaczającą na swego następcę — zgodnie z wolą Rady Jedności Narodowej w Kraju — Tomasza Arciszewskiego i zamianował następcą Augusta Zaleskiego. Po śmierci Prezydenta Raczkiewicza, August Zaleski objął urząd Prezydenta, powołał Radę Narodową i rząd RP.

Przeciwko temu ukształtowała się Koncentracja Demokratyczna, późniejsze Porozumienie Demokratyczne (obejmujące PPS, PSL i Ruch Wolnościowy NiD), a w grudniu 1949 roku Rada Polityczna (PPS, Stronnictwo Narodowe, NiD, Stronnictwo Ludowe Wolność, Stronnictwo Pracy i niezależni).

W tzw. 3-ej Radzie Narodowej znalazł się Klub Niezależnej Grupy Społecznej, powstałej w roku 1949. W grupie tej rozpoczynał swe życie polityczne na emigracji Kazimierz Sabbat. Wtedy jednak czynnej roli w niej nie odgrywał.

W 1954 roku, mimo negatywnego stanowiska Augusta Zaleskiego, w wyniku tzw. akcji gen. Kazimierza Sosnkowskiego doszło do podpisania Aktu Zjednoczenia przez wszystkie Stronnictwa i ugrupowania Rady Politycznej i większość stronnictw Rady Narodowej. Na tej podstawie powołano do życia Radę Trzech (Tomasz Arciszewski, gen. Władysław Anders, amb.

Edward Raczyński), Radę Jedności Narodowej (przewodniczący Tadeusz Bielecki), egzekutywę Zjednoczenia Narodowego (przewodniczący gen. Odzierzyński, zastępca Adam Ciołkosz). W tej Egzekutywie Pan Kazimierz objął dział skarbowy z ramienia Niezależnej Grupy Społecznej.

Myśląc o Kazimierzu Sabbacie jako polityku, który doszedł do najwyższego stanowiska Prezydenta RP, trzeba najpierw podkreślić ten szczęśliwy moment, że zabierał się do pracy w Egzekutywie, gdy w Zjednoczeniu Narodowym było jeszcze wielu uzdolnionych i wyrobionych polityków. Pan Kazimierz chciał i miał od kogo się uczyć. W niejednym artykule, niejednym wspomnieniu sam o tym pisał.

Obejmując w roku 1986 urząd Prezydenta RP Kazimierz Sabbat w swoim przemówieniu, wymieniając Prezydenta Raczyńskiego — „najwybitniejszą postać w galerii Prezydentów Rzeczypospolitej" — powiedział: „Wiele mu zawdzięczam i wiele przez te lata nauczyłem się od niego, szczególnie w sprawach międzynarodowych". W innym miejscu zaznaczył: „Od 32 lat brałem udział w zespołach, kierujących polską działalnością niepodległościową, przez 6 lat byłem przewodniczącym Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, a ostatnie 10 lat na stanowisku prezesa Rady Ministrów. Było mi dane współpracować z wielu wybitnymi przywódcami politycznymi. Ze szczególnym sentymentem wspominam tych, od których uczyłem się trudnej sztuki polityki, Generał Kazimierz Sosnkowski, polityk mądry i szlachetny, Michał Grażyński, gorący patriota i człowiek zasad, Adam Ciołkosz, wspaniały mówca, umysł encyklopedyczny i analityczny, polityk wielkiego serca i wielkiego rozumu, Tadeusz Bielecki, parlamentarzysta, demokrata, polityk rozważny i zdolny do kompromisu w imię interesów nadrzędnych, generał Władysław Anders, oczywisty przywódca żołnierskiej emigracji noszący pięknie legendę zwycięstwa pod Monte Cassino, zawsze w służbie Polski i generał Tadeusz Bór-Komorowski — symbol walk Armii Krajowej, tak jak ta armia nie szukający poklasku".

Pan Kazimierz był człowiekiem skromnym; ta skromność została mu i wtedy gdy był już przywódcą emigracji. Gdy trzeba było zająć stanowisko w sprawach ważnych, uważał za potrzebne uzyskać opinię polityczną inaczej myślących, znaleźć argumenty dla ich odparcia, nie polegać zbyt powierzchownie tylko na własnych ocenach. Dlatego czytał dużo i gorliwie zarówno prasę polityczną jak i polityczne prace źródłowe. Wykształcenie prawnicze pomagało gruntownie przy sformułowaniach strategii i taktyki politycznej.

Był przy tym człowiekiem bardzo pracowitym i co najważniejsze we współpracy bardzo lojalnym. W dniach 19-21 maja 1966, w roku millenijnym, odbył się z inicjatywy mego Męża, wówczas przewodniczącego Egzekutywy, Zjazd Polski Walczącej.

Egzekutywa powołała do życia komisję przygotowawczą, o charakterze doradczym; jej pracom przewodniczył Kazimierz Sabbat dając świadectwo, mimo nieodłącznych trudności personalnych, nie tylko swojej pracowitości, ale zmysłu organizacyjnego i umiejętności pojednawczych. W referacie na tym zjeździe pt. „Zadania emigracji" powiedział m.in.: „Trudno jest przeprowadzić granicę między emigracją polityczną a emigracją zarobkową. Można jednak na pewno stwierdzić, że emigracja jako całość ma wyraźne oblicze polityczne i że nie akceptowała narzuconego Polsce reżimu i ustroju. Politycznym czynnikim jest więc cała emigracja polska w świecie, ale jej trzonem i wyrazicielem jest emigracja polityczna, a więc Polacy, którzy odmawiali powrotu do Kraju, i którzy odmówili uznania narzuconego reżimu. Pozostaliśmy po II wojnie światowej na emigracji z przyczyn politycznych. Byliśmy i jesteśmy emigracją polityczną". Słowa te oddają znamienne podłoże jego politycznej pracy na emigracji: tak liczne objazdy polskich środowisk emigracyjnych, rozrzuconych po całym świecie. Podróże te odbywał wraz z żoną Hanią, której uczuciowa bezpośredniość i serdeczność w stosunku do ludzi stanowiła element ogromnej wagi w powodzeniu tych wyjazdów. Z jednej strony przyjazd czołowego przywódcy politycznego z Londynu podnosił w świadomości środowisk polskich ich znaczenie i użyteczność w obronie sprawy niepodległości Polski. Z drugiej strony wzmacniał wpływy i zasięg ośrodka legalistycznego, w którego granicach większość emigracji pojałtańskiej prowadziła swą pracę polityczną oraz — co nie było bez znaczenia — powiększał wpływy Skarbu Narodowego. Dla Kazimierza Sabbata i Jego żony był to ciężki i męczący wysiłek, wracali przemęczeni i wyczerpani, ale jednocześnie opuszczali te obce kraje obdarzani przyjaźnią i gorącymi uczuciami rodaków, ludzi obcych a bliskich, uczuciami które się pamięta do śmierci. Trudno tu nie pomyśleć że śmierć Pana Kazimierza nastąpiła w 5 dni po ich czterotygodniowym pobycie w Stanach Zjednoczonych, pięciu wykładach uniwersyteckich o sprawach polskich i trudnych rozmowach politycznych w Waszyngtonie.

W latach 1967-1973 prowadził ciężką pracę Prezesa Egzekutywy. Z jego inicjatywy odbył się w Londynie w roku 1970 Kongres Nauki i Kultury w Wolnym Świecie, który był dużym sukcesem, zarówno ze względu na liczny udział uczestników jak i na poziom referatów i dyskusji.

Po śmierci Augusta Zaleskiego i objęciu urzędu Prezydenta RP przez dra Stanisława Ostrowskiego, dzięki wysiłkom Pana Kazimierza i obywatelskiemu poczuciu Prezydenta doszło w roku 1972 do pojednania obu odłamów emigracji politycznej.

Minęło 13 lat od pierwszego politycznego światowego zjazdu Polaków. Zmieniła się sytuacja w Kraju. Kazimierz

Sabbat już jako premier rządu na emigracji stawia przed nią nowe zadania. W słowach wypowiedzianych na II Światowym Zjeździe we wrześniu 1979 roku, Zjeździe, który przyjął nazwę „Światowego Zjazdu Jedności w Łączności z Walczącym Krajem": „Zjazd ten jest zjazdem radości. To co dla nas było najdroższe — walka o wolność i niepodległość, to co przejęliśmy od naszych ojców i naszych dziadów zostało podjęte w Polsce przez młode pokolenie. Kraj przestał być niemy. Mówi teraz głosem donośnym, słyszanym na całym świecie. Kraj i na tym zjeździe jest obecny... Znajdujemy w oświadczeniach z Kraju potwierdzenie wszystkich zasad, wszystkich oczywistych prawd głoszonych od początku emigracji... Wydarzenia w Kraju udokumentowały celowość i potrzebę emigracji... Emigracja ma obowiązek dania działaczom ruchów wolnościowych w Kraju, w ich nierównej walce, moralnego wsparcia, aby nie czuli się osamotnieni, aby wiedzieli, że patrzymy na nich z podziwem, że gotowi jesteśmy pomagać im w zakresie naszych możliwości. Obok wsparcia moralnego, powinniśmy dać Krajowi pomoc polityczną, przede wszystkim na odcinku międzynarodowym... Rozgłos nadawany na Zachodzie poczynaniom wolnościowym w Kraju, prześladowaniom politycznym wobec działaczy wolnościowych — stanowi dla nich skuteczną pomoc w ich działalności. Takiej pomocy politycznej od nas Kraj oczekuje. Ale Kraj oczekuje od nas także pomocy praktycznej, finansowej".

Stosunek Pana Kazimierza do przyjeżdżających z Polski ludzi z ruchu oporu był czymś, co głęboko przeżywał. Prowadził z nimi obszerne i dociekliwe rozmowy, żeby jak najlepiej zrozumieć, co się w Kraju dzieje. Bez względu na to jaki kierunek polityczny reprezentowali, czy to byli ludzie wykształceni — księża, profesorowie, pisarze, dziennikarze — czy też zwykli działacze z fabryk, kopalń czy ze wsi — słuchał ich uważnie i gorliwie. Ze szczególnym, gorącym, serdecznym uczuciem odnosił się do młodych, nawet gdy się z nimi nie zgadzał. Żył życiem Kraju, choć go tyle lat nie widział, i jak większość emigrantów dokładnie wiedział, co to jest nostalgia.

Cała praca polityczna Pana Kazimierza na emigracji, skupionej po hasłem ciagłości polskich władz państwowych na obczyźnie, uzależniona była zawsze od sytuacji w Kraju, nie odchodził jednak od swych założeń podstawowych. Tak też trzeba patrzeć na dokonaną przez niego ocenę rozmów „okrągłego stołu" między tzw. „opozycją konstruktywną" i władzami komunistycznymi w Warszawie. Podkreślił konieczność podziału ról między Krajem a emigracją. W jednym z przemówień głosił: „Jakiekolwiek będą wyniki 'okrągłego stołu' nie przyniosą one spełnienia tych celów, o które walczyła i walczy emigracja i o które walczy Kraj... Nie potępiamy tych, którzy szukają porozumienia z władzą jako metody, bo i oni — jako cel dalszy — widzą wolność Polski. Ale ci, którzy wyznają podobne hasła jak my, którzy te hasła głoszą, zasługują na nasz szacunek i na poczucie wspólnoty. Nie ma wątpliwości, że ten nurt życia politycznego w Kraju będzie rósł".

W innym zaś, mówił: „...emigracja niepodległościowa już od lat 50 głosi prawo Polski do niepodległości, wolności i demokracji i o te prawa walczy konsekwentnie. Oczywiście, dobrowolne legitymizowanie władzy komunistycznej przez działaczy krajowych utrudni naszą rolę w Kraju i na terenie międzynarodowym. Uważamy jednak, że legalizm na uchodźstwie nie jest celem samym w sobie, lecz skutecznym narzędziem walki o niepodległość i suwerenność. W tej sytuacji potrzebny będzie zwiększony wysiłek nasz i tego nurtu w Kraju, który będzie nadal domagał się niepodległości, suwerenności i demokracji. Ale rola nasza i nasze podstawy polityczne i prawne pozostają niezmienione. Dopóki na ziemi polskiej nie zbierze się suwerenny Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, wybrany w wolnych, powszechnych, demokratycznych wyborach, Sejm, w ręce którego Prezydent Rzeczypospolitej złoży pieczęcie i symbole suwerenności, dotąd trwać będzie nasza służba". Te słowa stanowią testament polityczny zmarłego Prezydenta.

Od chwili wejścia Kazimierza Sabbata do Egzekutywy Zjednoczenia gen. Odzierzyńskiego, a zwłaszcza potem, gdy był kierownikiem działu emigracji w egzekutywie Mego Męża, gdy ich współpraca była coraz silniejsza, nasza znajomość towarzyska z Panem Kazimierzem i Jego żoną oraz jej Matką — żoną gen. Sulika, stawała się coraz bliższa i powoli przeradzała się w przyjaźń, coraz głębszą, ogarniającą nie tylko ich samych, ale także ich dzieci. Gdy zostałam sama po śmierci Męża, Hania i Kazik znaleźli się wśród ludzi mi najbliższych. Podobnie ich dzieci.

Z Kazikiem związana byłam także długoletnią współpracą polityczną, gdy Mu tej współpracy z moim Mężem zabrakło, a ja starałam się kontynuować w Polskiej Partii Socjalistycznej linię polityczną Męża. Z tej naszej współpracy wynikało dla mnie jasno, że Kazik był prawdziwym, konsekwentnym demokratą, który innej przyszłej Polski, jak zbudowanej na pełnej demokracji parlamentarnej, nie widział. Patriotyzm górujący nad Jego życiem był pozbawiony jakiegokolwiek nacjonalizmu, szowinizmu, megalomanii narodowej i ksenofobii. Stąd wolności i niepodległości pragnął nie tylko dla Polski, ale także dla naszych najbliższych sąsiadów ujarzmionych przez imperializm sowiecki. Stąd jego współpraca z naczelnymi władzami na emigracji wolnej Czechosłowacji, Ukrainy, narodów bałtyckich, Rumunii i Węgier. Należał do ludzi, którzy nie ukrywali złych objawów życia politycznego w Polsce niepodległej, ani też nie hołdowali zasadom błędnej historiozofii, że dopóki Polska nie odzyska wolności, należy te kwestie przemilczać. Nie był socjalistą, cenił jednak

wysoko przeszłość PPS i jej wkład w życie Polski, uczuciowo był jej bliski i jako przewodniczący Niezależnej Grupy Społecznej przez długie lata umacniał współpracę obu tych ugrupowań.

Kiedyś, ktoś prowadzący ze mną wywiad, zapytał mnie jaką cechę charakteru ludzkiego uważam za najlepszą. Powiedziałam: wierność. Myślę, że w charakterze Kazika ta cecha górowała. Czy to była harcerska wierność Bogu i Ojczyźnie, czy wierność dla głoszonych przez siebie haseł i poglądów, czy wierność rodzinna, czy też wierność w przyjaźni.

I dlatego nagła śmierć Prezydenta Kazimierza Sabbata tak mną wstrząsnęła, dlatego dzielę z Rodziną głęboki ból, a z całą emigracją niepodległościową wielki żal po tej stracie.

Lidia CIOŁKOSZOWA

★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★

Polska Fundacja Kulturalna

Album pamiątkowy Teatru SYRENA

Chcąc uczcić jubileusz Teatru SYRENA, który tyle radosnych przeżyć dostarcza dzieciom polskim od 30 już lat, Polska Fundacja Kulturalna zamierza wydać album pamiątkowy przedstawiający historię tego teatru od chwili powstania (1.2.1959). Zawierać będzie on zdjęcia i programy ze wszystkich przedstawień, sylwetki ponad 200 aktorów (starszych i bardzo młodych) recenzje i wzruszające listy od wdzięcznych widzów.

Spodziewamy się, że społeczeństwo polskie na emigracji gorąco poprze tę inicjatywę podejmując przedpłatę.

Suma £10,00 zapewni numerowany egzemplarz w przedsprzedaży (cena detaliczna wyniesie ok. £20,00) oraz ujęcie na włączonej do albumu liście subskrybentów.

DAJMY DOWÓD, ŻE JEDEN Z NAJBARDZIEJ NIEZWYKŁYCH PRZEJAWÓW ŻYCIA KULTURALNEGO NA EMIGRACJI NIE JEST NAM OBOJĘTNY!

Data zamknięcia subskrypcji **30 września 1989 r.**

Czeki/P.O./M.O. wystawione na:
Polish Cultural Foundation
(wraz z zamówieniem) prosimy przesyłać na adres PFK
23 Coleridge Street, Hove, Sussex BN3 5AB
z dopiskiem SYRENA

★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★★

Książki

Sylwetki niektórych imigrantów w Kanadzie

W ramach polityki otwarcia w stosunku do imigrantów i ich potomków Towarzystwo „Polonia" nie tylko radykalnie zmieniło profil swoich publikacji prasowych, ale rozpoczęło wydawać książki o ich życiu i działalności. Nie są już ani zdrajcami czy wrogami. Ukazały się zresztą i poprzednio publikacje różnego rodzaju, dotyczące potomków imigrantów polskich w Kanadzie, oczywiście tych znanych, którzy osiągnęli wysokie stanowiska.

Aleksandra Ziółkowska, autorka dwóch prac „Kanada, Kanada..." i „Kanadyjski senator"*, spędziła w Kanadzie ponad dwa lata (wrzesień 1981 — grudzień 1984), korzystając ze stypendiów polonijnych instytucji. Była też okresowo urzędnikiem prowincjonalnym, pisywała do prasy polonijnej. Nie była imigrantem lecz poznawała kraj i otoczenie jako ciekawy przybysz. Zdołała szybko wejść w środowiska zarówno polonijne jak i kanadyjskie, tropiła polskość we wszystkich kształtach i objawach. Dlatego też galeria ukazanych przez nią postaci jest różnorodna, nie brak w niej i bardzo odciętych od polskości.

Obie omawiane książki ukazały się wpierw w Toronto (w tym jedna w języku angielskim). „Kanada, „Kanada..." to zmniejszone i nieco okrojone przez wydawcę i cenzurę — „Dreams and Reality — Polish Canadian Identites". W wydaniu polskim brak dwóch rozdziałów: wywiadu ze Zbigniewem Brzezińskim i sylwetki dziennikarza Marka Łukasiewicza, pracującego wówczas w redakcji *Globe & Mail*. Z tekstu skrzętnie usunięto wszystkie „brzydkie" słowa i myśli

---

* Aleksandra Ziółkowska: *Kanada, Kanada...*, Wyd. POLONIA, 1986, str. 272.

Aleksandra Ziółkowska: *Kanadyjski senator*, Wyd. POLONIA, Warszawa, 1989, sr. 160 plus 20 str. zdjęcia.

o Związku Sowieckim, które Ziółkowska wiernie zanotowała. Gdyby książka przeleżała rok dłużej to rozmowa z Brzezińskim zostałaby może opublikowana. Nie spotkał go zresztą despekt, ani Ziółkowskiej — jako że bodajże w *Przekroju*, pod koniec ubiegłego roku przemówił do czytelników nowy wywiad Ziółkowskiej. Łukasiewicz został zdjęty za relację o sytuacji w okresie stanu wojennego. Najbardziej okrojona została relacja (Polonijny luzak) o St. Zybale, chyba głównie dlatego, że twierdził, iż należy czcić rocznice zwycięstw a nie klęsk, a w tych pierwszych wymieniał obecność hetmana Żółkiewskiego z wojskiem w Moskwie.

Co prawda literackie reportaże Ziółkowskiej w tym zbiorze opierają się w większości na rozmowach, ale tylko część osób ujawniona jest z nazwiska. Te rozmowy były niewątpliwie autoryzowane. Fakt, że rozmawiała nie tylko z prominentami, ale także ze zwykłymi ludźmi, często nieszczęśliwymi, sprawia że podany przez nią obraz emigracji jest pełniejszy. Opowiada więc zarówno o imigrantach działających w organizacjach jak i nie mających z nimi żadnego związku, o tkwiących silnie, uczuciowo w Polsce, posiadających więzy z krajem urodzenia oraz o innych którzy wrośli w nowy kraj i otoczenie. Jeden z nich powiedział: „Czuję się Kanadyjczykiem w sensie politycznym. Kulturalnie jestem chyba szczątkowo Polakiem". Inny czuje się cudzoziemcem po 25 latach pobytu, czynnego życia, ale nie jest nieszczęśliwy — nie przeszkadza mu to. A jeszcze inny ogromnie czynny w życiu publicznym Kanady, jest nie mniej aktywny w organizacjach polonijnych, odwiedza Polskę. Galeria osobistości obejmuje urzędników państwowych (*civil service*) różnych poziomów, lekarzy, dziennikarzy, itp. Wszyscy są powojennymi imigrantami. Jedni wybili się względnie szybko i bez trudności osiągnęli należyty standard, droga innych była bardziej złożona, albo inaczej, stopniowo dochodzili do obecnych stanowisk.

Ziółkowska tropi przede wszystkim polskość swoich rozmówców, nie ogranicza się tylko do znanych postaci imigrantów, nie ominęła i ich potomków. Tutaj ograniczyła się do kilku wyselekcjonowanych osób: Jesse Flis, pedagog, dyrektor szkoły podstawowej, później kierownik wydziału szkolnictwa dla niepełnosprawnych w Kuratorium Oświaty w Toronto, poseł do federalnego parlamentu. Nie jest on oczywiście jednym z wielu dzieci polskich imigrantów urodzonych w tym kraju. Nie jest nim również Greg Glista, syn Tadeusza, wybitnego działacza polonijnego, prezesa Zarządu Głównego Związku Polaków w Kanadzie, którego oboje rodzice są rdzennymi Kanadyjczykami. Greg — notuje Ziółkowska — powiedział: „... jako prawnuk imigrantów polskich mam zrozumienie dla wielu spraw". Ciepło nakreślona sylwetka Peter Gzowskiego, potomka najwybitniejszego imigranta polskiego: „... przyjemnie jest, że nosi on polskie nazwisko, że go nie zmienił, i że umie opowiadać o swoim pra-dziadku wiele ciekawych rzeczy, że jest z niego dumny. Na palcu nosi pierścień z herbem rodziny Gzowskich, Junosza". Czy nie jest to dostateczny dowód polskości?

Galeria bezimiennych bohaterów z opowiadań Ziółkowskiej jest bardziej zróżnicowana pod każdym względem. Proces usadowienia się przebiegał długo i trudno. Trzeba było zrezygnować — oczywiście

z konieczności — z zawodu, stylu życia. Rozpoczynano od dołu posuwając się systematycznie w górę. Nie bezboleśnie, a często z dramatami. Rozstanie z rodziną, brak pracy, alkoholizm, choroby. Jedni przybyli z ładunkiem złudzeń i marzeń, inni sprowadzeni przez bliskich w nieznane i jeszcze inni, nie tyle w poszukiwaniu lepszego życia, ile w nadziei, iż znajdzie się ktoś kto zapewni im takie życie.

Wracać? Tylko jedna miła pani, która przybyła z wizytą, powróciła. Nie wszyscy są jednak szczęśliwi, różnie kultywują swoją polskość i w różny sposób wchodzą w kanadyjską rzeczywistość.

Kanada, Kanada... nie jest ani historycznym, ani socjologicznym studium o imigrantach powojennych, natomiast prezentuje ich życie. Ziółkowskiej nie interesowały polityczne motywy emigracji lecz jej losy w nowym kraju, proces adaptacji, rola i znaczenie zrzeszeń i stowarzyszeń polonijnych, nastawienie otoczenia: gospodarzy i osiadłych rodaków. Różnie, różnie to bywało i jest. Ziółkowska nie generalizuje ani też nie wyciąga wniosków. Nie ocenia też tylko prezentuje. I na tym — obok walorów literackich — polega wartość tej książki. Naturalnie brak w niej wielu aspektów i problemów imigrantów polskich w Kanadzie, ale też nie jest to studium naukowe a ponadto autorka badała sprawy imigrantów tylko w Ontario, najlepszej, najbardziej uprzemysłowionej i najzamożniejszej prowincji Kanady. Ale polscy imigranci żyją i w innych prowincjach, może podobnie, ale może lepiej albo gorzej. Zresztą jak i inni mieszkańcy tego kraju.

„Kanadyjski senator" jest pierwszą monografią polityka polskiego pochodzenia, dr. Stanley Haidasza, pierwszego ministra wielokulturowości, monografią oficjalną, a więc przez niego zaakceptowaną. Oparta jest ona na sprawozdaniach parlamentarnych, prasowych, okolicznościowych publikacjach Dyrektoriatu Wielokulturowości, rozmowach, wypowiedziach polityków, publicystów, działaczy społecznych, polonijnych. Wiele informacji autorka uzyskała od senatora Haidasza jak i członków jego rodziny.

Syn imigrantów, ur. w Toronto w 1923 r. wychował się w środowisku polskim. Mieszkał w pobliżu parafii polskiej św. Stanisława, której proboszcz, ks. Puchniak, pchnął pilnego i grzecznego chłopaka do szkoły średniej. Studia uniwersyteckie poprzedziło Seminarium oo. Oblatów w Ville la Salle w Quebec, gdyż postanowił zostać księdzem. Po roku władze zakonne skierowały go na trzyletni kurs filozofii na University of Ottawa, a po ukończeniu go w sierpniu 1945 r., po odnowionych ślubach zakonnych, ale przed święceniami, wycofał się. Opuścił seminarium, wrócił do Toronto i rozpoczął studia na wydziale medycznym. Na uniwersytecie był czynny w klubie polskich studentów; zbliżał się do liberałów. Aktywny w organizacjach polonijnych, w jednej kadencji był prezesem okręgu KPK — Toronto, a w 1957 r., pod naciskiem działaczy polonijnych, stanął do wyborów parlamentarnych z ramienia Partii Liberalnej. Rozpoczął się bardzo aktywny, nowy rozdział w życiu Haidasza. Stracił mandat podczas wyborów w 1958 r., kiedy to konserwatyści odnieśli walne zwycięstwo. W 1960 r. zdobywa mandat ponownie i piastuje go do 1978 r. kiedy został mianowany senatorem. Od listopada 1972 r. do lipca 1974 r. był członkiem

rządu premiera Trudeau. Ziółkowska przedstawia działalność społeczną, polityczną i zawodową Haidasza i dokumentuje ją materiałami źródłowymi; przytacza oceny pozytywne i krytyczne na temat poszczególnych akcji i wystąpień dr. Haidasza. Uwypukla jego stosunek do Polski, jego związki z krajem rodziców, rejestruje wizyty prywatne i oficjalne, spotkania, rozmowy, działania na rzecz Polski wśród Polonii oraz na arenie publicznej, w Parlamencie.

Wydanie krajowe różni się tylko nieznacznie od wydania kanadyjskiego. Tekst jest miejscami uzupełniony, zestaw zdjęć bardziej „kameralny" brak również aneksów.

Obie prace Ziółkowskiej wzbogacają literaturę o imigrantach polskich w Kanadzie.

Benedykt HEYDENKORN

Wydane w podziemiu

Jako kolejny tom Archiwum „Solidarności" (19) w serii „Relacje i opracowania" ukazał się — nakładem krakowskiej Oficyny Literackiej — tom opracowany przez Józefa Gajewskiego (pseud.) „Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1982-1986". Jest to książka ze wszech miar pouczająca, choć korzystanie z niej przedstawia sporo trudności. Przyjęta tu zasada alfabetycznego układu rok po roku zmusza do solidnej pracy w wyodrębnianiu poszczególnych typów materiałów, niemniej praca taka — a więc układanie bibliografii wydanych w podziemiu książek — warta jest zachodu. Nim jednak do omówienia zawartości tej książki przejdę, chciałbym od razu podkreślić, że wykaz tu opublikowany z całą pewnością nie obejmuje wszystkich pozycji. I tak wysiłek podjęty przez autora uznać należy za ogromny. Nie wszystkie prace do niego dotarły, korzystał więc z innych źródeł — m.in. — co szczególnie mnie ucieszyło — także z wykazu opracowywanego przeze mnie dla *Wezwania*. W obecnych warunkach takie postępowanie jest nieuniknione. Z własnych doświadczeń zbieracza i bibliografa mogę stwierdzić, że w zasadzie mamy tu do czynienia z olbrzymią większością publikacji podziemnych wydanych po wprowadzeniu stanu wojennego. Nie uniknięto, niestety, paru pomyłek maszynowych (dla przykładu: autorem powieści „Punkt zero" jest Michał Moszkowicz, a nie, jak błędnie wydrukowano, powtarzając zresztą ten błąd trzykrotnie, także w indeksie, Moszkiewicz).

Józef Gajewski „Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 1982-1986". Archiwum „Solidarności", tom 19, Seria: Relacje i Opracowania. Oficyna Literacka, Kraków 1988, s. 248.

Dorobek wydawnictw niezależnych jest ogromny. W objętym opracowaniem okresie pięciu lat opublikowano w sumie ponad 2368 wymienionych tu pozycji (jak już wspominałem, „Materiały" nie objęły i nie mogły objąć całości — taka praca przekracza możliwości jednej osoby). Zajmę się tylko czterema grupami książek, które wyodrębniłem według następujących działów: poezja, proza i eseistyka, historia oraz opracowania (raporty, programy). Poza moją uwagą znalazła się więc spora grupa książek, jak choćby odrębny zupełnie zestaw homilii, reportaży czy dokumentacji fotograficznej.

W dziale poezji wyodrębniłem 246 zbiorów. Wiele z nich, zwłaszcza w pierwszym okresie, to antologie, głównie tomiki na gorąco pisanych wierszy „wojennych". Dwie jednak spośród nich chciałbym tu wyróżnić — pierwszą jest „Semper Fidelis", zestaw wierszy o Lwowie pisanych w latach 1918-1983 opracowanych przez Jerzego Werszycę (książka miała dwa wydania); druga „My i Wy", tomik opublikowany przez „Przedświt" w ramach serii Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy poświęcony Powstaniu Węgierskiemu z 1956 (publikacja dwujęzyczna). Obie książki zapełniają „białe plamy" i są znakomitym przykładem dla innych podobnych inicjatyw. Również ten kierunek reprezentują zbiory przekładów — opublikowano ich pięć: Osipa Mandelsztama, Jarosława Seiferta (z okazji Nobla), Josifa Brodskiego (jeszcze przed Noblem), Aleksandra Galicza i Tomasa Venclovy. 66 autorów polskich opublikowało swe zbiory (niektórzy — jak Bryll czy T. Jastrun — po kilka) pod własnym nazwiskiem lub wyodrębniającym z anonimowości pseudonimem. Odnajdujemy tu kilka debiutów (Gwido Zlatkes, Kamil Sipowicz, Antoni Szymanek, Piotr Mitzner, pośmiertnie Grzegorz Przemyk, Piotr Szewc), na ogół specjalnie się nie wyróżniających. Niewątpliwie przeważają tu poeci urodzeni po wojnie — „pokolenie 68" i jego następcy. Uderza, że tylko w wypadku czterech autorów — Miłosza, Wierzyńskiego, Barańczaka i Zagajewskiego — mamy do czynienia z przedrukami, reszta to zbiory oryginalne, w tym tak uznanych autorów jak Zagórski, Wirpsza, Woroszylski czy Rymkiewicz. Nie miejsce tu — dotyczy to wszystkich działów — na ocenę opublikowanych książek i na tej podstawie wydawanie sądów o poziomie publikacji podziemnych. Jednakże bez wątpienia większość z tych zbiorów świadczy o dbałości wydawnictw podziemnych także o poziom artystyczny. Naturalnie, nie dotyczy to wspomnianych tu antologii wierszy pisanych „na gorąco", pod wpływem szoku stanu wojennego, ale też pozostaje faktem, że zbiory te cieszyły się w początkowej fazie omawianego okresu dużą popularnością. Warto też zauważyć, że „produkcja" poezji z czasem coraz się zmniejsza (najwięcej tomików opublikowano w roku 1982), zaś ilość zbiorów (10% całości produkcji tego okresu, z czego trzecia część wydana została w pierwszym roku) zaprzecza twierdzeniom o „nadprodukcji" liryki w podziemiu. Z okresu późniejszego znam sporo faktów świadczących zarówno o wycofywaniu się wydawców z publikowania poezji (podobno „nie idzie") i związanego z tym wydłużenia procesu edytorskiego w tej dziedzinie.

W dziale prozy i eseistyki opublikowano w tym pięcioleciu ponad 400 tomów, w większości przedruków (w zasadzie jedynym wydawcą bazującym w miarę konsekwentnie na tekstach oryginalnych

jest warszawski „Przedświt"). Ponieważ literatura polska stale narzeka na posuchę w prozie, warto może wymienić te książki, które stały się nowością: tomy Marka Nowakowskiego, „Rozpad" Marii Jaroty (pseud.), „Słuch absolutny" Adama Zagajewskiego, „Strzępy" Cezarego Listowskiego, „Wysokie progi" Mariana Miszalskiego, „Madam Frankensztajn" Zyty Oryszyn, „Sto lat temu umarł Dostojewski" Adolfa Rudnickiego, „Rozmowy polskie latem 1983 roku" Jarosława Marka Rymkiewicza, „Dziady berlińskie" Henryka Wańka, „ABC" Krzysztofa Czabańskiego, „Bajki miejskie" Stanisławy Domagalskiej, „Mikołajek w szkole PRL" Miłosza Kowalskiego, „Dolorado" Edwarda Redlińskiego, „Nauka jazdy" Jana Strękowskiego, „Bez mikrofonu" Janiny Jankowskiej, „Początek" Andrzeja Szczypiorskiego i „Guma do żucia" Teresy Terakowskiej. Piętnaście tomów prozy w ciągu pięciu lat (nie liczę przedruków) to raczej niewiele. Większość z tych pozycji — podobnie jak w wypadku poezji — nie była recenzowana. O ile się orientuję, najpełniejszy oddźwięk krytyczny cała literatura tego okresu znalazła jedynie na antenie RWE.

Braki prozy krajowej nadrabiane były i są z nawiązką przez publikacje przekładów: wydano w omawianym okresie ponad czterdziestu autorów obcych, w większości były to też przedruki, lecz nie zawsze — oryginalne wydania zdarzały się dość często: „Matka noc" Kurta Vonneguta, „Księga śmiechu i zapomnienia" Milana Kundery, „My" Eugeniusza Zamiatina czy „Cela" Horsta Bienka i „Protokoły przesłuchań" Jürgena Fuchsa lub opowiadania kołymskie Warłama Szałamowa to niewątpliwie istotne dokonania przekładowe. Bardzo bogato jest tu reprezentowana literatura sowiecka i czeska, w tym ostatnim przypadku uwagę zwraca doskonała antologia przygotowana przez Andrzeja Jagodzińskiego „Bez nienawiści".

W dziale prozy i eseistyki zaprezentowano ponad 140 autorów polskich i obcych, przy czym należałoby ich liczbę pomnożyć o tych, którzy — podobnie jak w dziale poezji — prezentowani byli w czasopismach, co jednak wykracza poza ramy niniejszego omówienia.

Eseistyka ma wyraźną przewagę tekstów politologicznych, co w tych warunkach dziwić nie powinno. Jest rzeczą oczywistą, że jednym z celów niezależnego obiegu wydawniczego musi być w polskich okolicznościach odbudowa myślenia w kategoriach politycznych, przybliżenie stylów politycznego myślenia w oficjalnym życiu nie dopuszczanych do głosu. Bogata jest też eseistyka i krytyka literacka. Tu wymienić wypada takich przede wszystkim autorów jak Stanisław Barańczak, Tadeusz Nyczek, Tomasz Burek, Jerzy Malewski (pseud.) czy Lech Dymarski lub Andrzej Drawicz. Wyjątkowy wydaje się szkic Andrzeja Osęki „Kryzys sztuki i nadzieja" wydany w serii „Próby" Biblioteki Kultury Niezależnej: publikacje na ten temat należą w drugim obiegu do rzadkości i, o ile wiem, tej dziedzinie poświęcono dotąd jedną tylko publikację, a mianowicie esej Igora Gołomsztoka „Język artystyczny w warunkach totalitarnych". Spośród prac zbiorowych na uwagę zasługują tomy: „Kongres Kultury Polskiej", „Język totalitarny", „Nowomowa", „Wokół Gombrowicza" i „Literatura źle obecna" (pominięto w „Materiałach" tom „Zachód porwany. Eseje i polemiki",

Wrocław 1984, Wyd. Oświatowe BIS, choć znajduje się on w przywołanym we wstępie wykazie zamieszczonym w *Pulsie* nr 26).

Najobszerniejszym działem jest dział historyczny. Tu wyraźnie wydawnictwa podziemne odpowiadały na głód czytelniczy, o czym świadczyć może ilość wydań najbardziej poszukiwanych pozycji (np. 10 wydań „Historii politycznej Polski 1944-1956" Krystyny Kersten). Z grubsza wyróżniają się tu trzy poddziały: pierwszy dotyczy Dwudziestolecia, drugi okresu wojennego, trzeci wreszcie historii powojennej. Na 511 pozycji historycznych okresowi międzywojnia poświęcono 25 tytułów, w tym tak nowatorskich, jak Jana Józefa Lipskiego „Antysemityzm ONR-Falangi". W tym bloku aż 8 tytułów dotyczy osoby i działalności Józefa Piłsudskiego, zaś 6 wojny polsko-bolszewickiej z roku 1920. Najliczniejsza jest druga podgrupa obejmująca 107 tytułów. I tutaj można wyróżnić kilka bloków tematycznych. Jedną trzecią materiałów stanowią książki (33 pozycje) poświęcone walkom polsko-sowieckim w roku 1939, zsyłkom oraz przestępstwom sowieckim na wschodnich kresach w ostatniej fazie wojny. Osobną podgrupę stanowi 9 pozycji poświęconych sprawie Katynia. 8 pozycji dotyczy Powstania Warszawskiego. Prace obejmujące cały okres wojny to 7 tytułów, które chyba warto tu wymienić: „Najnowsza historia Polski 1939-1945" Andrzeja Alberta, „Polskie Państwo Podziemne 1939-1945" Władysława Bartoszewskiego, „Polskie Państwo Podziemne 1939-1945" Józefa Garlińskiego, „Polskie Państwo Podziemne" Stefana Korbońskiego, „Sześć lat wojny o niepodległość" Mariana Kukiela, „Lata nadziei" Stanisława Cata-Mackiewicza i „Zarys historii PRL 1939-1945" Leszka Moczulskiego. Cztery książki poświęcone są Jałcie (7 wydań doczekała się „Jałta po latach" Krystyny Marek), dwie ciągle mało znanym Narodowym Siłom Zbrojnym — Zbigniewa Siemaszki i Stanisława Żochowskiego. Wśród najczęściej wydawanych pozycji odnajdujemy „Bez ostatniego rozdziału" Władysława Andersa (5), „Zaplutego karła reakcji" Piotra Woźniaka (8) i „Najlepszego sojusznika Hitlera" Aleksandra Bregmana (5). 72 pozycje poświęcone są historii powojennej, przy czym okresowi stalinowskiemu — 32: tu największą ilość wydań (10) miały „Zapiski więzienne" Stefana Wyszyńskiego; prac poświęconych bezpiece jest 9, w tym na uwagę zasługuje przede wszystkim obszerne opracowanie Łukasza Sochy „Te pokolenia żałobami czarne...". Trzy pozycje z tej podgrupy stanowią świetny materiał podręcznikowy — Krystyny Kersten „Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948", Piotra Eugeniusza Wardeckiego „Historia PSL 1945-1949" oraz Jerzego Holzera „Z dziejów PPS (1944-1948)". Siedem prac dotyczy wydarzeń Października 1956, zaś dziewiętnaście poświęconych jest wydarzeniom po roku 1970, aż po „Solidarność" Jerzego Holzera. Pomijam tu pozycje stanowiące analizy sytuacji w okresie stanu wojennego, choć niewątpliwie wiele z nich stanowić będzie w przyszłości materiał dokumentalny, należałoby je więc także włączyć do działu historycznego.

Te ostatnie pozycje zaliczam jednakże do grupy raportów, opracowań i programów. Z kilku względów — przede wszystkim z powodu konieczności zachowania dystansu, lecz także i dlatego, by prześledzić ten właśnie typ bieżącej działalności opozycji. Zdolność

analizy aktualnej sytuacji i opracowywania na tej podstawie programu działania wydaje się bowiem jednym z istotnych sprawdzianów politycznych umiejętności, zdolności przewidywań zmian sytuacji, wreszcie gotowości do współudziału w przeprowadzaniu reform systemu. Takich opracowań wyodrębniłem 247, co stanowi blisko 10% wszystkich publikacji książkowych. Czy to dużo? Zależy od tego, jakiej wagi merytorycznej są te opracowania. Trzeba tu jednak z góry się zastrzec, że pomijam tu wszelkie opracowania i programy, które w tym czasie znalazły miejsce w prasie, a nie zostały przedrukowane w książkach (jak choćby dyskusja o stanie i szansach kultury w *Wezwaniu*).

Spośród opracowań całościowych na uwagę zasługują dwa — pierwsze zbiorowe „Raport Polska 5 lat po Sierpniu" i drugie autorskie Jadwigi Staniszkis „Trzy lata po Sierpniu". W zasadzie innych podobnych publikacji brakuje — tak odnoszących się do całości życia społeczno-politycznego, jak do jego poszczególnych dziedzin. Poza może ekonomią: tu widać dość ożywioną działalność zarówno analityczną, jak programową — wymienić wypada takich autorów jak Stefan Bratkowski, Józef Kuśmierek (uwaga: jedyny właściwie, który kompleksowo potrafił podjąć problemy wsi i rolnictwa, ta dziedzina naszego życia znalazła się praktycznie poza uwagą działaczy i publicystów), Jan Hartman, Rafał Krawczyk, Stefan Kurowski, Jan Skir, Zdzisław Bartnicki. Szczególnie interesujący wydaje się fakt sporej ilości tekstów poświęconych problemom samorządu pracowniczego (tu choćby praca Bratkowskiego „Co robić, kiedy nic się nie da zrobić?", także Hartmana „Samorząd pracowniczy w gospodarce socjalizmu realnego"). Problemom środowiska naturalnego poświęcono 3 (słownie: trzy!) publikacje, w tym dwie dotyczą poszczególnych regionów, jedna ma ambicje ujęcia kompleksowego („Zagrożenie ekologiczne", red. P. Wójcik). Poważne analizy stanu „Solidarności" podjęło trzech autorów: Zbigniew Romaszewski, Jan Lityński i Leszek Żak — oczywiście : sprawa kondycji tej organizacji była wielokrotnie omawiana na łamach prasy. Na uwagę zasługują opracowania sytuacji społecznej Henryka Szlajfera (także publikowane na łamach *Krytyki*), przede wszystkim zaś Czesława Bieleckiego, także Leszka Nowaka oraz broszurka Ernesta Skalskiego „Interesy Polaków".

Wreszcie polityczna myśl programowa. Autorskie opracowania przedstawili: Czesław Bielecki, Zbigniew Romaszewski, Janusz Korwin-Mikke, Stefan Kisielewski, Aleksander Hall, Jacek Kuroń, Adam Michnik („Takie czasy..."), Piotr Wierzbicki, Leszek Moczulski, Dawid Warszawski. Obok tego wymienić trzeba deklaracje organizacyjne: „Program Komitetu Oporu Społecznego", „Program liberałów", „Karta 84" (oprac. „Solidarność" Stoczni Gdańskiej), „Deklaracja i elementy programu Ruchu Politycznego «Wyzwolenie»", „Deklaracja Kongresu Solidarności Narodu", „Deklaracja ideowo-programowa ruchu ludowego", „Program Liberalno-Demokratycznej Partii Niepodległość".

Oczywiście — wymieniłem tylko teksty podstawowe, nie jest moim zamiarem rekonstruowanie na podstawie „Materiałów" pełnej bibliografii publikacji niezależnych. Jest bez wątpienia faktem, że obraz tu się wyłaniający zadziwia swą dynamiką: ruch wydawniczy

w Polsce stanu wojennego organizowany w podziemiu nie ma chyba, jeśli chodzi o zasięg, żadnego precedensu. Nie przypadkiem w końcu około 80% więźniów politycznych to właśnie wydawcy, drukarze i kolporterzy.

Około 30% całej produkcji podziemia to utwory literackie, raczej mniej nawet — w granicach 25-27%. Tyle samo miejsca zajmują opracowania historyczne. Trudno w tej chwili oszacować ilość przedruków z wydań „przedwojennych" i emigracyjnych: zwłaszcza w dziale literackim jest ich bardzo dużo. Trochę ponad 10% obejmują raporty, analizy i programy. Ale zaznaczyć tu trzeba, że chodzi jedynie o ilość tytułów — zapewne zupełnie inaczej proporcje te będą wyglądały, gdy uwzględni się nakłady poszczególnych książek. Indeks wydawnictw obejmuje prawie 650 pozycji, w tym, oczywiście, większość to efemerydy, ale właśnie ta ilość świadczy o olbrzymim zasięgu całego ruchu: by go ocenić właściwie, trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że niemal każde wydawnictwo musi do swej pracy posiadać niemałą bazę społeczną (lokale redakcyjne, magazyny, lokale na drukarnie, składanie itp.).

W ciągu pierwszych pięciu lat — a później także — uderza natomiast brak rzetelnych, całościowych opracowań i prognostyków robionych przez fachowców, zespoły robocze itp. Sporo jest analiz szczegółowych (zwłaszcza gospodarczych i prawnych), ale też tylko w wybranych dziedzinach. Uderza np., że w omawianym okresie dokonano tak małej ilości analiz ekologicznych, a także dotyczących szkolnictwa i oświaty czy kultury. Widoczne się staje, że — wyłączywszy raport „Polska 5 lat po Sierpniu" — nie powoływano w kręgach opozycyjnych prawie żadnych grup ekspertów. W sferze analiz politycznych uderza brak zarówno omówień układu sił w obozie przeciwnika, jak choćby próby sformułowania stanu międzynarodowych uwarunkowań polityki polskiej. W tym kontekście nie powinno dziwić kompletne nieprzygotowanie opozycji do podjęcia kompleksowych rokowań z władzą: jak wiadomo, „strona społeczna" była przy okrągłym stole zaskoczona „otwarciem", jakiego dokonał kontrpartner dialogu. Być może dlatego, że nie dysponowała przygotowanym zawczasu pakietem własnych analiz i propozycji.

Leszek SZARUGA

Nadesłane nowości wydawnicze

KERSTEN (Krystyna). *Jałta w polskiej perspektywie.* Str. 260 i 2 nbl. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £ 7, $US 14).

SMOLEŃSKI (Paweł), GIEŁŻYŃSKI (Wojciech). *A na hucie strajk... Gdańsk, maj 88.* (Wyd. Aneks, London 1989, cena £5, $US 11).

PRUSZYŃSKI (Ksawery). *Wybór pism 1940-1945.* Str. 213 i 1 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).

VARLAINE (Paul). *Poezje.* Wybór i przekład z francuskiego Zewa Szepsa. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

CHROŚCIECHOWSKI (Przemysław Kazimierz). *Niestałe srebro snu.* Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

ZIMAND (Roman). Czas normalizacji. Szkice czwarte. Str. 136. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £4, $US 10).

LAURENT (Eric). *Moskwa na Wall Street.* Przeł. z francuskiego A. Mietkowski i E. i K. Rutkowscy. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).

Armia Krajowa w dokumentach. 1939-1945. Tom VI: *Uzupełnienia.* Str. 524 i 4 nlb. (Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1989).

Polskie Porozumienie Niepodległościowe — wybór tekstów. Str. 400 i 6 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1989).

KOŁAKOWSKI (Leszek). *Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone z lat 1955-1968.* Przedmowa, wybór i opracowanie Zbigniew Mentzel. Tomy I-III łącznie str. 632. (Wyd. Puls, Londyn 1989).

Księga mądrości. Tłumaczył z greckiego Cz. Miłosz. Str. 184. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1989).

DOROSZ (Krzysztof). *Maski Prometeusza. Eseje konserwatywne.* Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £ 6,50, $US 13).

MACKIEWICZ (Józef). *Ściągaczki z szuflady Pana Boga.* Str. 171 i 5 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1989).

TOPORSKA (Barbara). *Siostry.* Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1989).

ŁUKASZUK (Małgorzata). *I w kołysankę już przemieniony płacz... Obiit natus est w poezji Aleksandra Wata.* Str. 153 i 7 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1989).

SKIBA (Władysław), MARCINKIEWICZ (Jan), PODOLSKI (Bohdan), BUJNOWSKI (Józef). *Wyższe uczelnie polskie na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej.* Str. 119 i 9 nlb. (Wyd. PTNO, Londyn 1989).

KĘDZIORA (Juliusz). *Wąż Bhuta szeptając... Fantazja na temat „Księgi Genezis".* Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).

ŁEPKOWSKI (Tadeusz). *Uparte trwanie polskości. Nostalgie, spory, nadzieje, wartości.* Str. 91 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £3, $US 7,50).

MOSZKOWICZ (Michał). *Nekrolog.* Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo „VIA", Sztokholm 1989).

HEŁM-PIRGO (Marian). *Zew Lwowa.* Str. 62. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

LASOCKI (Wiesław A.). *Wojtek spod Monte Cassino. Opowieść o niezwykłym niedźwiedziu.* (Wyd. III, PFK, Londyn 1989).

ŁUKASIEWICZ (Juliusz). *Dyplomata w Paryżu 1936-1939. Wspomnienia i dokumenty Juliusza Łukasiewicza, ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej.* Str. 461 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

KOWALCZYK (Jerzy). *Nieantagonistyczna teoria rozwoju. Ideologia ofiar.* Str. 274. (Wyd. własnym sumptem, Frankfurt/M 1989).

KOMOROWSKA (Helena). *Musisz wiedzieć (Listy z Polski 1980-1986).* Str. 314 i 6 nlb. (Wyd. Fundacja Jana Pawła II i Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Rzym 1989).

Z lamusa pamięci — powstańcy Mokotowa. Praca zbiorowa. Str. 148. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

ŁYSIAK (Stanisław). *Jak kochać to żarliwie. Pamiętnik uchodźcy wojennego.* Str. 379 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

Drugi rocznik Instytutu Polsko-Skandynawskiego. Rok 1986/1987. Str. 73 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Polsko-Skandynawski, Kopenhaga 1988).

UKLEJA-DĄBROWSKA (Krystyna). *Przez obozy koncentracyjne do wolności.* Str. 8. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

ŚWIDROWSKI (Karol). *Kontrola zewnętrznych transakcji gospodarczych.* Str. 368. (Wyd. Szkoła Główna Planowania i Statystyki, Warszawa 1988, cena zł 265).

CIEŚLA-KORYTOWSKA (Maria). *Romantyczna poezja mistyczna. Ballanche. Novalis. Słowacki.* Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1989, cena zł 600).

DAVIES (Norman). *Boże igrzysko. Historia Polski.* Z angielskiego tłumaczyła Elżbieta Tabakowska. Str. 812. (Wyd. Znak, Kraków 1989, cena zł 4000).

TABORSKI (Bolesław). *Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza.* Str. 85 i 3 nlb. (Wyd. KUL, Lublin 1989, cena zł 200).

RUDNICKI (Bohdan). *Sądny Dzień przy Ścianie Płaczu.* Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Głos, Szczecin 1989, cena zł 480).

BAŁABAN (Majer). *Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII wieku.* Str. 604. (Wyd. nakładem Funduszu Konkursowego im. H. Wawelberga, Lwów, 1906). Reprint: Księgarnia Polska A. i E. Neusteinów w Izraelu w koprodukcji ze Spółką z o.o. „Orbita". Wykonanie: Prasowe Zakłady Graficzne w Ciechanowie.

KOHUT (Zenon E.). *Russian Centralism and Ukrainian Autonomy. Imperial Absorption of the Hetmanate 1760s-1830s.* Str. 363 i 5 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge MA, USA 1988).

PRZYBYSZEWSKA (Stanisława). *The Danton Case. Thermidor.* Przełożył Bolesław Taborski. Str. 297 i 1 nlb. (Wyd. Northwestern University Press, Evanston IL, USA 1989).

Heritage and the Future. Essays on Poles in Canada. Red. Benedykt Heydenkorn. Str. 234. (Wyd. Canadian Polish Congress, Canadian Polish Research Institute, Toronto 1988).

PRYMAK (Thomas M.). *Maple Leaf and Trident. The Ukrainian Canadians during the Second World War.* Str. 192. (Wyd. Multicultural History Society of Ontario, Toronto 1988).

SIMOR (George). *Guide to the Archives of the Polish Institute of Arts and Sciences of America.* Str. 414 i 2 nlb. (Wyd. II, wyd. Polish Institute of Arts and Sciences of America, Nowy Jork 1988).

KOŁAKOWSKI (Leszek). *The Presence of Myth.* Przeł. Adam Czerniawski. Str. 138 i 4 nlb. (Wyd. University of Chicago Press, Chicago 1989).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

4.6.89.
Biuro Prasowe Episkopatu Polski podaje, że w Polsce ilość praktykujących buddystów wynosi około 5.000, nie licząc sympatyków, których jest kilkadziesiąt tysięcy. W Polsce jest 6 grup buddyjskich, które różnią się między sobą.

29.6.89.
Zmarł w Warszawie w wieku 57 lat Grzegorz Białkowski, profesor, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, fizyk, członek „Solidarności". Był wybrany w ostatnich wyborach do Senatu, jako przedstawiciel województwa piotrkowskiego.

30.6.89.
Biuletyn *Eglise en Detresse* podaje, że w 1988 r. organizacja ta udzieliła pomocy w kształceniu 10.298 seminarzystów polskich w wysokości Dol. 150,00 na osobę. Ponadto Eglise en Detresse udzieliła pomocy 1.467 siostrom zakonnym za klauzurą po Dol. 120,00 oraz po Dol. 100,00 przeznaczyła na kształcenie 1.591 nowicjuszek. W sumie Polska otrzymała w ub. roku Dol. 7.681.440.

7.7.89.
Zmarła w Warszawie w wieku 97 lat Eleonora (Nelly) Gałecka-Strugowa, z domu Grzędzińska, działaczka społeczno-polityczna, współtwórczyni i honorowy kustosz Muzeum Andrzeja Struga w Warszawie, oraz fundatorka nagrody literackiej im. Andrzeja Struga. ■ Prezes zarządu Fundacji Kultury Polskiej PRL w wywiadzie udzielonym *Życiu Warszawy* na pytanie czy przewiduje pomoc Funduszu dla Biblioteki Polskiej w Paryżu oświadczył: „Biblioteka wymaga remontu, ale sama nie dysponuje funduszami. Tam są książki-skarby, wielkie bogactwo naszej historii. W kulturze polskiej nie uznajemy żadnych granic ani podziałów. Chętnie wykonamy ten remont na Wyspie św. Ludwika, rozmawiałem o tym ze znanym kolekcjonerem i darczyńcą Andrzejem S. Ciechanowieckim, zamieszkałym w Londynie; w rozmowie tej uczestniczył członek Rady Fundacji Jan Zamoyski. Czekam na odpowiedź Kuratorium Biblioteki Polskiej w Paryżu". ■ Obłęd: *Kurier Polski* podaje, że w przedsiębiorstwach państwowych PRL pracowały liczne grupy Wietnamczyków i Filipińczyków. Obecnie dyskutuje się większą rekrutację z Filipin, Bangladeszu i Indii. ■ Znane paryskie pismo satyryczne *Le Canard enchainé* z 26 lipca br. podaje *à propos* przyznania Polsce pomocy żywnościowej (zboże, mięso, produkty mleczne): Najgorsze, że w tej chwili zapasy Wspólnego Rynku są wyczerpane i są kłopoty ze zdobyciem produktów dla obiecanej pomocy. Okazuje się, że od szeregu tygodni kraje europejskie, a szczególnie Francja, zakupują w Polsce mleko w proszku od 300 do 400 dolarów poniżej cen światowych. Powstaje więc coś rodzaju *perpetuum mobile*.

8.7.89.
Zmarł w Poznaniu w wieku 69 lat Jerzy Pertek, znany pisarz-marynista, badacz i publicysta w zakresie spraw morskich.

15.7.89.
Zmarła w Kazimierzu nad Wisłą w wieku 92 lat Maria Kuncewiczowa, wybitna pisarka, autorka pierwszej w Europie powieści radiowej pt. „Dni powszednie państwa Kowalskich", nadawanej w 1938 roku. W okresie II wojny światowej przebywała we Francji i w Wielkiej Brytanii, a od 1956 r. w Stanach Zjednoczonych, gdzie prowadziła na uniwersytetach amerykańskich wykłady z historii literatury polskiej. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat Artur Sandauer, znany prozaik, eseista, krytyk literacki i tłumacz.

17.7.89.
Zmarła w Warszawie w wieku 72 lat Kazimiera Alicja Hrynkiewicz, wdowa po Aleksandrze Hrynkiewiczu, adiutancie Marszałka Piłsudskiego, uczestniczka Powstania Warszawskiego i żołnierz AK. Wspomnienia z Belwederu Al. Hrynkiewicza były zamieszczone w *Zeszytach Historycznych* nr 85. ■ Wznowiono stosunki dyplomatyczne między PRL a Watykanem. Po 50 latach przerwy przybędzie w niedługim czasie do Warszawy Nuncjusz Apostolski. ■ Papież mianował w Czechosłowacji biskupa Jana Sokoła arcybiskupem Trnawy, biskupem Litomierzyc ks. Józefa Koukla, biskupem Spiszu ks. Frantiska Tondrę, a biskupa Frantiska Vanata administratorem apostolskim diecezji w Ołomuńcu. Mimo tych nominacji 7 z 13 diecezji czechosłowackich pozostaje nadal nieobsadzonych, niektóre od 1950 r.

20.7.89.
Papież Jan Paweł II podniósł do godności biskupiej księdza mitrata Jana Martyniaka, wikariusza generalnego dla wiernych obrządku greckokatolickiego, ustanawiając go biskupem pomocniczym Prymasa Polski dla wiernych tego obrządku.

21.7.89.
Filadelfijski medal wolności dla Lecha Wałęsy wraz z nagrodą w wysokości 100 tys. dolarów został wręczony jego żonie, Danucie i synowi, Jarosławowi. *Tygodnik Solidarność* w nr 8, w artykule p. Andrzeja Krajewskiego pt. „Emigracja na zakręcie" pisze w związku z tym: „Nowojorska emigracja *solidarnościowa* była ostatnio wstrząśnięta rozmową, jaką z Danutą Wałęsową przeprowadził nieopatrznie jeden z tutejszych aktywistów, usiłując zaprosić żonę przewodniczącego do Nowego Jorku, po odebraniu nagrody dla męża w pobliskiej Filadelfii. P. Danuta odpaliła krótko: Ze zdrajcami rozmawiać nie będę, trzeba było z Kraju nie wyjeżdżać... Jak było ciężko, to nikt o Wałęsach nie pamiętał, a teraz każdy chciałby nas podejmować — zakończyła p. Danuta". Pomijając elegancję zachowania się p. Wałęsowej — a to nie jest jej pierwsze wystąpienie publiczne w tym stylu — należy zauważyć, że ci „zdrajcy" zebrali na wybory w Polsce kilkaset tysięcy dolarów. Zbiórki na wybory były przeprowadzone we wszystkich większych skupiskach emigracyjnych, jak również w Kraju. Wydaje się rzeczą bardzo pilną, by możliwie najszybciej ukazało się szczegółowe sprawozdanie, jak te pieniądze zostały zużytkowane.

23.7.89.
Przyznano nagrody ZAIKSU za rok 1989 za przekłady literatury polskiej na języki obce. Otrzymali je: Biserka Rajcic za przekłady na język serbochorwacki, Stanisław Barańczak — na język angielski, Ole Michael Selberg — na język norweski.

25.7.89.
W *Gazecie Wyborczej* ukazał się wywiad z dr Zofią Kuratowską w sprawie Społecznej Fundacji „Solidarności". P. Kuratowska podała, że w tej chwili Fundacja ma na koncie 2.700.000 dolarów, po wydaniu 300 tys. na zakup karetek pogotowia i aparatury endoskopowej. P. Kuratowska wyraziła nadzieję, że Fundacja jeszcze w tym roku otrzyma kolejny milion dolarów od Kongresu Stanów Zjednoczonych. Mówi się, że Fundacja ma stworzyć ośrodek diagnostyczny. Wydaje nam się, że byłoby bardziej celowe zajęcie się sprawami praktycznymi, jak np. zaopatrzeniem szpitali w najpotrzebniejsze wyposażenie oraz zorganizowaniem produkcji strzykawek jednorazowego użycia, aspiryny, waty lub chociażby papieru toaletowego.

25.7.89.
Papież mianował ks. Tadeusza Kondrusiewicza biskupem katolickim w Mińsku. Bp Kondrusiewicz urodził się w 1948 r. w Odelsku, pow. grodzieńskiego. Studiował w Grodnie matematykę i w Leningradzie architekturę. Wyższe Seminarium Duchowne ukończył w Kownie. W 1981 r. otrzymał święcenia kapłańskie, a w 1988 r. został proboszczem w Grodnie. Władze świeckie w Moskwie i w Mińsku nie wyraziły sprzeciwu. Biskupstwo mińskie nie było obsadzone od drugiej wojny światowej. Poprzednik bpa Kondrusiewicza zmarł na emigracji w Belgii w 1981 r.

30.7.89.
Tygodnik Powszechny podaje, że ZSSR zaproponował PRL przejście na rozliczania wzajemnych obrotów w dolarach, biorąc jako podstawę ceny światowe.

ZACHÓD — EMIGRACJA

21.5.89.
Rada Naczelna polskiego ruchu wolnościowego „Niepodległość i Demokracja" wybrała nowe władze: prezydium Rady — Maciej Przedrzymirski (przewodniczący), Mirosław Chojecki (wiceprzewodniczący), Wanda Jordan-Czapska, Zbigniew Rapacki, Bolesław Wierzbiański, Henryk Zaremba, Henryk Werakso (sekretarz); Centralny Komitet Wykonawczy — Janusz Cywiński (prezes), Edward Głowacki, Stanisław Grocholski, Tomasz Marszałek, Krzysztof Mularczyk, Marek Poliwski, Jan Studziński, Krzysztof Turowski i Hieronim Wyszyński (członkowie); Główny Sąd Organizacyjny — Tymon Terlecki (przewodniczący).

10.6.89.
W Londynie ukonstytuowała się Rada Narodowa R.P. Przewodniczącym został p. Zygmunt Szadkowski, zastępcami: pp. Teresa Affeltowicz (NGS), Miron Andryszewski (SP), Lidia Ciołkoszowa (PPS), Jerzy Jaskowski (ChD), Lech Kantecki (LNP), Zdzisław Kołodziejski (Kl. Komb.), a sekretarzami: Halina Martinowa (Niezależna), Anna Nowakowa (Kl. Ziem Wschodnich) i St. Pietraszewski (NRS). Do Rady Narodowej wchodzą przedstawiciele ugrupowań politycznych j.w.: Liga Niepodległości Polski, Niezależna Grupa Społeczna, Niezależny Ruch Społeczny, Polska Partia Socjalistyczna, Polskie Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, Stronnictwo Pracy.

4.7.89.
Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie zorganizował odczyt Jana Józefa Lipskiego pt. „W Polsce po wyborach". Było kilkuset słuchaczy, wywiązała się ciekawa dyskusja. ■ Zmarł w Durham (USA) Magnus Jan Kryński, emerytowany profesor języków słowiańskich Duke University. Był specjalistą w zakresie literatury polskiej XX wieku i tłumaczem.

8.7.89.
Na kolejnym posiedzeniu dyrekcja Fundacji POLCUL przyznała dalsze wyróżnienia (39) dla osób zaangażowanych w ruchu kultury niezależnej w Polsce. Otrzymali je: dziennikarze i publicyści — 6, poeci i pisarze — 1, pracownicy naukowi — 6, pracownicy prasy i wydawnictw — 14, tłumacze — 1, plastycy — 2, księża — 1, pracownicy społeczni i oświaty — 2 oraz działacze związków zawodowych i obrońcy praw człowieka — 6. Wśród nich 5 osób otrzymało wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej i 5 osób wyróżnienia im. Mieczysława Kułakowskiego. Od początku istnienia Fundacji tj. od 1980 r. przyznano łącznie 547 wyróżnień.

15.7.89.
Polski franciszkanin O. Augustyn Stefan Januszewicz został mianowany ordynariuszem diecezji Luisiana w Brazylii.

17.7.89.
Dziennik *Narodowiec*, ukazujący się we Francji, został zamknięty. Wszystkie próby uratowania pisma, m.in. projekt przekształcenia go na pismo dwujęzyczne polsko-francuskie, nie udały się. Redakcja apelowała o pomoc do ks. prymasa Glempa, do Lecha Wałęsy, a we Francji do prezydenta Mitterranda. Na te apele nie otrzymano odpowiedzi. W ten sposób została zakończona długa historia jednego z najstarszych dzienników polskich nie tylko we Francji. We wrześniu br. *Narodowiec* miał obchodzić 80-ą rocznicę swego powstania.

19.7.89.
W Londynie odbyło się zaprzysiężenie nowego prezydenta R.P. na wygnaniu, p. Ryszarda Kaczorowskiego. Poprzednio został wyznaczony na ten urząd przez Kazimierza Sabbata, który zmarł w środę 19 lipca br. Ryszard Kaczorowski urodził się w 1919 roku w Białymstoku. Od najmłodszych lat działał w harcerstwie, był hufcowym Szarych Szeregów, a jednocześnie zastępcą komendanta Chorągwi oraz łącznikiem między Szarymi Szeregami a Komendantem Związku Walki Zbrojnej. Aresztowany prze NKWD 17 lipca 1940 r. został skazany przez Najwyższy Sąd Białoruskiej Republiki Sowieckiej na karę śmierci. Ten wyrok zamieniono na 10 lat łagrów na Kołymie. Zwolniony z łagru w marcu 1942 r. wstąpił do Armii Polskiej w ZSSR jako żołnierz Drugiego Korpusu i służył w batalionie łączności III DSK, gdzie odbył kampanię włoską. W 1967 r. został wybrany przewodniczącym ZHP. Należy do Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata, był powołany w 1986 r. do Rady Narodowej RP, w gabinecie ministra Szczepanika był ministrem Spraw Krajowych.

25.7.89.
Gwiazda Polarna, jedyne pismo polonijne ogólnoamerykańskie, ukazujące się co tydzień w Stevens Point (Wisconsin) zostało zakupione przez p. Piotra Mroczyka i Davida Stewarta, występujących pod firmą „Point Publications, Inc.". Zakup ten został dokonany przez Fundację Solidarności utworzoną przed kilku laty przez p. Mroczyka. Nasuwają się pytania: czy fundacja p. Mroczyka egzystuje nadal, za jakie pieniądze i w jakim celu została zakupiona *Gwiazda Polarna* i jak p. Mroczyk łączy tę swoją działalność z pracą w Radio Wolna Europa, gdzie został zastępcą dyrektora, p. Marka Łatyńskiego? Byłoby sprawą b. ważną ogłoszenie bardzo szczegółowego sprawozdania z działalności Fundacji, gdyż na ten temat krąży wiele wersji i plotek. P. Mroczyk rozpoczął swoje urzędowanie w Monachium od obniżenia honorariów dla autorów. Wprowadził też cotygodniowe omawianie sytuacji w Kraju przez Zdzisława Najdera. Widocznie w składzie etatowej redakcji sekcji polskiej nie było kompetentnej osoby i musiano uciec się do pomocy free-lancera i to w osobie b. dyrektora tej sekcji, który opuścił RWE w bardzo skomplikowanych okolicznościach.

KRONIKA AUSTRIACKA

■ W ciągu sierpnia trzy z czterech tysięcy Polaków znajdujących się od ponad dwóch lat w obozach i pensjonatach dla uchodźców w Austrii ma utracić prawa do opieki państwa. Akcję zapoczątkowano 1 sierpnia zwolnieniem 800 osób, które nie uzyskały azylu również po rozpatrzeniu ich wniosków w drugiej instancji. Podobny los spotkał już w połowie lipca 300 z dwóch tysięcy Węgrów. Wzburzenie prasy austriackiej wywołuje kilkudniowy termin dawany niedoszłym azylantom na wyprowadzenie się i znalezienie własnego locum. Biskup Maximilian Aichern z diecezji w Linzu zaapelował do ministra spraw wewnętrznych, Franza Löschnaka, o przedłużenie tego czasu. Jednocześnie austriacki *Caritas* zainicjował akcję pomocy dla polskich uchodźców i poszukuje dla nich mieszkań oraz pracy. Jeżeli bowiem w ciągu trzech miesięcy od wyrzucenia z obozu nie będą oni w stanie rozwiązać tych problemów, czeka ich najprawdopodobniej deportacja z Austrii. ■ Wszystko to odbywa się wkrótce po zapowiedziach ministra Löschnaka, iż jego resort zamierza zmienić politykę w stosunku do uchodźców w kierunku szybkiego integrowania ich w austriackim społeczeństwie. W ministerstwie powołano już specjalną sekcję do spraw uchodźców (dotychczas sprawy ich rozpatrywały cztery różne sekcje). Minister zapowiedział też zatrudnianie w Wiedniu tych uchodźców, których postępowanie azylowe nie zostało jeszcze zakończone. Wiedeń potrzebuje bowiem fachowców, których brak w Austrii, a znaleźć można by w obozie Traiskirchen na przykład — gdyby mieli oni zezwolenie na pracę. ■ Austriacka Partia Ludowa (OVP) domaga się zorganizowania międzynarodowej konferencji ministerialnej w celu rozwiązania problemu napływu uchodźców z krajów Europy Wschodniej. Polityk OVP Wendelin Ettmayer skrytykował postawę USA, Kanady i Australii, które to kraje od pewnego czasu drastycznie ograniczyły przyjmowanie europejskich emigrantów. ■ Polacy mogą przyjeżdżać do Austrii bez wizy — i korzystają z tego; wśród nich jest wielu niemal zawodowych handlarzy. Ponieważ walka austriackiej policji z polskim czarnym rynkiem okazała się bezskuteczna, zaostrzono kontrole celne. Oczekiwanie na swoją kolejkę na wydzielonym „polskim" pasie przed przejściami na granicy czechosłowacko-austriackiej trwa średnio dwie do sześciu godzin, ale przed *week-end*'em może się przeciągnąć i do dwunastu godzin. Dziennie wyjeżdża do Austrii około 8000 turystów z Polski. Władze celne szacują, iż dwie trzecie z nich to zawodowi szmuglerzy i osoby szukające pracy „na czarno". ■ Ogromna podaż nielegalnych robotników z Polski sprawiła, iż w dół poszły stawki za godzinę pracy. Jeśli już uda się znaleźć pracę, to rzadko za więcej niż 20 szylingów za godzinę, co stanowi połowę minimalnych stawek sprzed dwu lat. ■ Austria zamierza przyłączyć się do zachodniego programu pomocy dla Polski i Węgier, w szczególności zaś w zakresie pomocy żywnościowej i dla rolnictwa oraz poprzez intensyfikację wymiany handlowej. ■ Rumunia odmówiła udzielenia Austrii odpowiedzi na notę w sprawie naruszania praw człowieka w tym kraju. Na mocy dokumentu końcowego wiedeńskiej konferencji KBWE każdy z krajów-sygnatariuszy Aktu Końcowego z Helsinek ma prawo taką notę do innego kraju skierować, jej adresat zaś zobowiązany jest na nią odpowiedzieć. Na marginesie warto wspomnieć, że Czechosłowacja, która podobną notę austriacką otrzymała po skazaniu Vaclava Havla, odpowiedziała na nią skrupulatnie. ■ 17 lipca Austria złożyła formalny wniosek o przyjęcie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, zastrzegając jednakże, że krok ten nie może w żaden sposób wpłynąć na jej neutralność. ■ Znacznie wzrosła liczba turystów udających się z NRD na Węgry. Wielu z nich próbuje potem przedostać się do Austrii i dalej do RFN. Od początku maja udało się to ponad stu osobom. 584 Niemców zatrzymano jednak w pierwszym półroczu br. staraniem węgierskiej służby granicznej. Po umieszczeniu stosownych wpisów w paszportach wydalono ich z kraju. Wiedeńskie biuro wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców bada czy ta praktyka nie jest sprzeczna z podpisaną przez Węgry w marcu, a ratyfikowaną w czerwcu br. konwencją genewską o uchodźcach i czy Węgry nie są zobowiązane do przyjmowania wniosków o azyl od obywateli NRD. ■ Tymczasem od 1 sierpnia Węgry zlikwidowały strefę przygraniczną wzdłuż granicy z Austrią. Natomiast Czechosłowacja od tego samego dnia zmniejszyła szerokość podobnej strefy na swym terytorium. ■ Wiedeński Instytut Nauk o Człowieku zorganizował w dniach 24 i 25 lipca konferencję „Jak Zachód może ułatwiać rozwój rynku w bloku wschodnim?", w której wzięło udział około 40 biznesmenów i polityków Wschodu i Zachodu. Z Polski przybyli: Witold Trzeciakowski, który przedstawił swój plan ratowania polskiej gospodarki, Aleksander Paszyński i Zbigniew Bujak, a także ówczesny minister przemysłu Mieczysław Wilczek, natomiast światową finansjerę reprezentowali m.in. Umberto Agnelli z Turynu i George Soros z Nowego Jorku. ■ Z kolei przez następne dwa dni na konferencji „Plan i/lub rynek" zorganizowanej również przez wspomniany instytut obradowali ekonomiści. Prowadzili ją dwaj Węgrzy: Janos Matyas Kovacs i Marton Tardos, obaj z Budapesztu, uczestniczyła zaś także grupa polskich naukowców: Leszek Balcerowicz i Janusz Osiatyński z Warszawy, Kazimierz Łaski z Wiednia i Stanisław Gomułka z Londynu. ■ W ciągu pierwszych pięciu miesięcy eksport z Austrii do Krajów RWPG wzrósł o 25%, w tym do Polski aż o 82%, w porównaniu z rokiem poprzednim. Natomiast austriackie zakupy na tym obszarze wzrosły o 14% (w Polsce o niespełna 20%) ■ Austriackie firmy budowlane zainteresowane są interesami we wschodniej Europie. W tej chwili wartość zamówień wynosi ponad 10 miliardów szylingów (około 700 mln dolarów), obejmują one 20 wielkich i kilka mniejszych projektów. Problemem nie jest brak zainteresowania ze strony wschodniej, lecz trudności z finansowaniem projektów. W tym kontekście szczególnie opłacalnymi inwestycjami są hotele, które będą mogły same zarabiać dewizy, najbardziej zaś ryzykowne są budowy dróg i kolei. ■ Największa austriacka firma państwowa VOEST pragnie budować „czyste" elektrownie węglowe dla Europy Wschodniej. ■ 16 lipca zmarł w swoim domu w Anif koło Salzburga Herbert von Karajan, najsłynniejszy dyrygent współczesny. ■ 72 Polaków, 27 Węgrów i 19 Bułgarów, 19 Niemców z NRD studiowało w ostatnim semestrze na wiedeńskim Uniwersytecie Ekonomicznym. Znacznie mniej Austriaków natomiast kwapi się studiować ekonomię na Wschodzie. ■ Andrzej Szczypiorski był gościem godzinnego programu telewizji austriackiej „*Jour fixe*". Wyraził on pogląd, iż stalinowski totalizm już się w Polsce skończył, rodzi się jednak nowe zagrożenie: konsumeryzm. ■ Wypowiedź tę zdaje się potwierdzać Stanisław Lem w wywiadzie dla *Der Standard*: *„Sława to nie szynka. Nie można jej położyć na chleb"*.

(amp)

Wiedeń, 4 sierpnia 1989 r.

KRONIKA KANADYJSKA

Minister imigracji, Barbara McDougall, zaprzeczyła doniesieniom prasy o amnestii dla znacznej ilości osób ubiegających się o stały pobyt w Kanadzie na statusie uchodźców. Każde podanie będzie nadal rozpatrywane indywidualnie i decyzje zostaną powzięte w specjalnych komisjach. Zdaniem przedstawicieli grup etnicznych amnestia byłaby jak najbardziej odpowiednim rozwiązaniem również dla władz kanadyjskich, gdyż w ten sposób zaoszczędzono by ponad

100 tys. dolarów na wydatki administracyjne oraz znaczne sumy, które są wydatkowane na opiekę. Władze państwowe są zdania, że dokładne badania pozwalają na konieczną — z uwagi na aspekt polityczny i społeczny — selekcję. Istnieje tendencja do zaostrzenia dyrektyw dla urzędów imigracyjnych, w tym ściślejszego przestrzegania „kwalifikacji" imigracyjnych. W bieżącym roku kwota imigracyjna została podwyższona do 160 tys., ale z prowizorycznych danych częściowych wynika, że zostanie przekroczona. W ramach tej kwoty mieści się kwota uchodźcza, w której w kilku poprzedzających latach znajdowali się i Polacy. W ostatnim okresie z tej kategorii skorzystała największa ilość przybyszów z Azji i Ameryki Łacińskiej (Salwador, Nikaragua, Chile, Sri Lanka, Pakistan, Libia, Liban). ■ W lipcu br. prasa doniosła o zatrzymaniu kilku Polaków, którzy przybyli do Kanady nielegalnie z Niemiec Zachodnich płacąc Dol. 2.000,00 za podróż do Halifaxu, gdzie zorganizowano im zejście na ląd z ominięciem kontroli imigracyjnej. Zeznali, że w RFN działa szajka, która za wysokie opłaty wyprawia zrozpaczonych Polaków do Kanady. Podali, że ich grupa liczyła kilkanaście osób. ■ Według sprawozdania za rok 1988 Polski Instytut Naukowy w Kanadzie i Biblioteka Polska miały dochód w wysokości Dol. 55.605,94, a rozchód — Dol. 59.360,96. W dochodach figurują m.in. subwencja miasta Montreal — Dol. 14.200,00 i subwencja Funduszu Wieczystego Millenium — Dol. 5.000,00. Budżet na 1989 rok przewiduje dochody w wysokości Dol. 55.900,00, wydatki — Dol. 58.800,00. ■ Zbiórka na katedrę historii Polski na Uniwersytecie w Toronto, prowadzona przez komitet wyłoniony przez Polonię Kanadyjską, przyniosła dotychczas (w deklaracjach) Dol. 152.550,00. W I kwartale br. zadeklarowano Dol. 47.750,00, w wpłacono tylko 12.650,00. Najwyższą sumę — Dol. 25.000 — zadeklarował p. W. Piórczyński, jeden z milionerów polonijnych, a wpłacił tylko pięć tysięcy; pp. W.J. Bryk i A. Sikorski zadeklarowali po Dol. 5.000, a wpłacili po tysiąc dolarów, natomiast mieszkańcy Domu Starców Wawel Villa wpłacili Dol. 2.165,00. Na katedrę historii Polski Uniwersytet potrzebuje Dol. 750.000. ■ York University w Toronto zorganizował studia slawistyczne. Od nowego roku akademickiego uruchomiono Slavic Area Studies Programm. Przewiduje on studia równoczesne np. polsko-rosyjskie, czy polsko-ukraińskie, które obejmują kulturę, język, literaturę, historię, ekonomię i politykę. Kulturę i język polski będzie prowadziła prof. Iwona Grabowska, a historię prof. prof. McErlean i Subtelny. ■ Jak informuje torontoński dziennik *Globe & Mail*, Ministerstwo Kultury i Sztuki PRL zorganizowało w Polsce wystawę 50 dzieł pięciorga artystów polskich lub pochodzenia polskiego, tworzących w Ontario. Są to: Ellen Schildraut-Folman, George Rackus, Zigi Kucharski, Tadeusz Szpielewicz i Eugeniusz Chruścicki. Z wymienionych osób tylko Kucharski i Chruścicki (zmarły w lipcu 1984 r.) byli związani z polską grupą.

Lipiec 1989 r.

B.H.

Listy do Redakcji

SPRAWA PŁK. DRONICZA

W stanie wojennym wydawnictwa drugiego obiegu wzbogacały artykuły zawodowych wojskowych, którzy solidaryzowali się z narodem i potępiali decyzje WRON. Po kilkuletniej inwigilacji potencjalnych dysydentów z wojska, kontrwywiad ustalił kto krył się pod pseudonimami Wallenrod i Konrad (St. Dronicz) i pisywał do „KOS"-u oraz „Reduty". Zaczęły się aresztowania oficerów i prawie dwuletni ich pobyt w Areszcie Śledczym na Mokotowie.

Do procesu jednak nie doszło — 12 września 1986 r. wszyscy oficerowie uznani za więźniów politycznych wyszli na wolność zachowując swe stopnie wojskowe.

Po opuszczeniu aresztu M. Rajski i St. Dronicz wznowili swą działalność opozycyjną jawnie — bez konspiracji i używania pseudonimów w swych publikacjach. Szczególnie ostro wypowiadają się oni w niezależnym piśmie wojskowych pt. „Honor i Ojczyzna".

Jakby tego było mało St. Dronicz w mundurze oficera LWP wziął udział w wiecach przedwyborczych do parlamentu organizowanych przez KPN — między innymi w Krakowie, zyskując uznanie i poklask licznie zgromadzonych mieszkańców dawnej stolicy Polski.

Druzgocąca klęska komunistów w wyborach wyzwoliła w nich chęć odwetu i zemsty. Z przerażeniem odkryli, że większość żołnierzy i oficerów z jednostek wojskowych głosowała na opozycję. W tej sytuacji zwierzchnik sił zbrojnych polecił rozprawić się z „niesfornym" starszym oficerem z wojsk inżynieryjnych.

23 czerwca 1989 r. ppłk inż. St. Dronicz został wezwany do siedziby władz wojskowych gdzie odczytano mu rozkaz personalny o jego degradacji do stopnia szeregowca „z powodu utraty wartości politycznych".

Niewiele tym się przejmując szeregowy St. Dronicz obiecuje, że w dalszym ciągu będzie smagać piórem tych, którzy:

— doprowadzili nasze wojsko do rozprzężenia i demoralizacji;
— kierują całe tabuny żołnierzy do pracy wszędzie tam gdzie robotnikom się nie opłaca;
— przejęli po Macieju Szczepańskim na Mazurach osławioną „Wyspę Róż" na jeziorze Orzysz, włączając ją w strefę „tajnego" poligonu wojskowego i uczynili z niej raj na ziemi dla wtajemniczonych.

Post scriptum — operetkowe praktyki personalne w LWP świadczą o całkowitym zdziwaczeniu jego kierownictwa. Nie tak dawno podporucznicy H. Jabłoński, J. Dobraczyński i Satanowski z pominięciem kolejnych stopni zostali generałami. Odczytany w dniu 23 czerwca br. rozkaz personalny o degradacji ppłk. St. Dronicza miał datę 30 kwietnia 1985 r.

Jeszcze dziwniejsza wydaje się degradacja w pierwszych dniach stanu wojennego ppłk. Rajskiego, który o tym fakcie do dziś nie został powiadomiony chociaż istnieją wiarygodni świadkowie, którzy twierdzą, że rozkaz taki jest zdeponowany w tajnych teczkach personalnych MON.

Być może podwójnych akt w naszym wojsku strzegą duchy Stalina, Bermana i Bieruta. Kto wie?

Stanisław DRONICZ
ul. F. Joliot Curie 16a m. 53
02-646 Warszawa

Odpis rozkazu o ppłk. Droniczu

Ministerstwo Obrony Narodowej Warszawa dn. 30.IV.1985

Rozkaz personalny Nr 55

Na podstawie art. 88 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 21 listopada 1967, o powszechnym obowiązku obrony PRL (Dz. U. z 1984 r. Nr 7 poz. 31) ppłk-a rez. Stanisława DRONICZA s. Stefana z powodu popełnienia czynu świadczącego o utracie wymaganych wartości politycznych pozbawiam stopnia oficerskiego i orzekam jego powrót do stopnia szeregowca.

Szef Głównego Zarządu Politycznego WP
/-/ gen. broni Józef Baryła
Wiceminister Obrony Narodowej

Minister Obrony Narodowej
/-/ gen. armii Florian Siwicki

Ppłk inż. Stanisław DRONICZ jest absolwentem Oficerskiej Szkoły Inżynierii oraz Wojskowej Akademii Technicznej. 13 grudnia 1989 r. jako jeden z nielicznych żołnierzy zawodowych jawnie przeszedł na stronę opozycji politycznej wobec decyzji WRON o ogłoszeniu stanu wojennego.

Do chwili aresztowania był sygnatariuszem niezależnego pisma wojskowych pt. REDUTA.

W latach 1985-86 pod zarzutem działalności politycznej więziony w Areszcie Śledczym na Mokotowie.

Jest członkiem Rady Politycznej KPN oraz współredaktorem niezależnego pisma wojskowych pt. HONOR I OJCZYZNA.

Aktualnie pracuje w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Techniki Geologicznej w Warszawie na stanowisku st. specjalisty d/s inwestycji.

Ma 57 lat. Żonaty, ma dwie córki.

●

San Andrés (Argentyna), 26.07.89 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Ośmielony i za przykładem listu P. Józefa Hurwica, zamieszczonego w nr. 502/503 *Kultury* pozwolę sobie dorzucić moje trzy grosze w sprawie świetnego wspomnienia, zatytułowanego „Ksawery, Jane i inni". W artykule tym Cz. Miłosz twierdzi, że piosenka „To jest Ameryka etc." prawdopodobnie jest przywieziona z Rosji „...przez jakiegoś oficera politycznego". O ile dobrze pamiętam, piosenka ta jest ukuta dla polskiego filmu przedwojennego, nagranego w większości na statku „Batory" w czasie jego podróży do Nowego Jorku z Ćwiklińską, Zniczem i Eugeniuszem Bodo w rolach głównych. Okropny refren tego szlagiera brzmiał „gdy podrapać się potrzeba — weź pod pachę drapacz nieba...".

Z głębokim poważaniem

Stanisław GAWEŁ

●

Londyn, 19.07.1989 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Międzynarodową pomoc żywnościową organizuje się zazwyczaj dla regionów dotkniętych klęską naturalną — suszą, powodzią, trzęsieniem ziemi, szarańczą. Jaka klęska dotknęła Polskę? Nikt nie ma wątpliwości — klęska komunizmu. Jest to niewątpliwie odpowiedź prawdziwa, acz niewyczerpująca i być może należy postawić pytanie co uczyniła opozycja, na ile była świadoma zbliżającej się klęski, jakie proponowała środki zaradcze?

Analiza opozycyjnego piśmiennictwa, analiza rozmów przy okrągłym stole, analiza debat w Sejmie i Senacie, wydaje się wskazywać, że ta opozycja niezupełnie zdaje sobie sprawę ze znaczenia rolnictwa w gospodarce, że opozycyjni ekonomiści niezupełnie zdawali sobie sprawę z rozmiarów klęski, że podobnie jak druga strona dawali się oszukać dobrą pogodą. W centymetrach kwadratowych kwestia wyżywienia narodu zajmowała na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat w opozycyjnym piśmiennictwie mniej miejsca niż teatr. W artykułach poświęconych problematyce gospodarczej, w opozycyjnych projektach reform coraz częściej zaczynano uznawać problem zmian w rolnictwie jako ważny, ale poniekąd drugorzędny wobec dominujących w tych dyskusjach problemów nomenklatury, samorządu, indeksacji.

Jaka klęska dotknęła Polskę? Po stanie wojennym, który zdaniem jego

sprawcy miał stworzyć warunki do przeprowadzenie reform gospodarczych, po dwóch etapach tych reform pod batutą zapomnianego dziś premiera Messnera, powołano rząd premiera Rakowskiego. Po dziewięciu miesiącach, energicznych — jak to oceniano — działań reformatorskich, generał Jaruzelski, Lech Wałęsa i Bronisław Geremek podjęli kampanię na rzecz uzyskania natychmiastowej pomocy żywnościowej dla Polski. Warto w tym miejscu zapytać gdzie byli wczoraj uczeni doradcy Lecha Wałęsy? Warto również zapytać gdzie będą jutro, bo zachodnia pomoc żywnościowa na długo nie starczy, a polska wiedza ekonomiczna pozostanie.

Łączę wyrazy szacunku

A. KORASZEWSKI

●

Gdynia, dnia 30.06.1989 r.

Szanowny Panie!

Przyjaciele z Londynu donieśli mi, że w nr 12/1988 Pańskiego pisma, w dziale Odpowiedzi Redakcji ukazały się słowa:

„A.T. RFN Opowiadanie Leonarda „Klub Pickwicka" napisane nieudolnie. Więzienia — sądowe epizody tego typu zdarzały się często w okresie stalinizmu".

LEONARD jest moim pseudonimem pisarskim.
Jestem autorem głośnych od trzech lat, stale wznawianych powieści:
„INKARNACJA" — już pięć wydań, łączny nakład 300 tys. egz.,
„UPIÓR" — trzeci nakład w druku, łącznie 230 tys. egz.,
„MATNIA" — trzy nakłady, łącznie 250 tys. egz.,
„FACET" — przygotowywany do druku w nakładzie ok. 150 tys. egz.

Mój pseudonim jest zastrzeżony. Oprócz wydawców nikt z prasy, radia, telewizji nie zna mego nazwiska ani adresu, a czyniono próby rozszyfrowania „Tajemniczego Leonarda", jak jestem nazywany.

Pół roku namawiano mnie do odezwania się — napisania do Panów — wychodząc z założenia, że sprawa rykoszetem uderza we mnie jako pisarza bądź insynuuje podszycie się kogoś pod mój pseudonim; nie przywiązywałem do tego wagi. Ale oto rzecz doszła do wiadomości ludzi mnie „życzliwych" w kraju, a gdzie jak gdzie wrogów człowiekowi sukcesu nad Wisłą nie brakuje.

Informuję Szanownego Pana, że z autorem „Klubu Pickwicka" nie mam nic wspólnego. Gdyby pan uznał za stosowne dać temu wyraz w swoim piśmie, byłbym wielce zobowiązany.

Z poważaniem

LEONARD

●

Sendets (France) 3 lipca 1989 r.

Do
Pana Lecha Wałęsy
w Polsce

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Niech będzie pochwalona Maryja, Królowa Polska, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Piszę do Pana ten list. Mam przychówek zdrowy i życzę Panu tego samego. Mój przychówek to pięć krów i jeden byk dorodny, a pięcioro wnucząt gania po gumnie. Wprawdzie ostatni grad zbił mi winnicę i kilka hektarów kukurydzy, lecz mam się dobrze i nie tracę nadziei, Pan Bóg dopomoże. Grosz uciułany z zeszłorocznej winnicy przekazałem Komitetowi Obywatelskiemu, ale nie o tym chciałem Panu pisać.

Niedawno, w Radiu Wolnej Europy, usłyszałem Pańskie słowa: „...mam sławę i mam więc przywileje, a robiłem to samo co zastrzeleni studenci chińscy". Kiedy w Kraju ludzie sobie mówią: „Kto jak kto, ale Wałęsa najwięcej skorzystał", to mogło mi się głupio zrobić po Pańskich słowach, czy nie?

Wciąż Pana widzę skromnego, kiedy się Pan modlił u Świętej Brygidy po strajkach, tych pierwszych. Czy zapomniał Pan już dzisiaj o Wszystkich, o tych od Dąbrowskich począwszy a na Paderewskich skończywszy? A o Kościuszce? O tych, co to nawet swe majątki na Ołtarzu Ojczyzny składali?

Skakał Pan przez mury, to prawdy. Wszedł Pan do Historii, to też prawda. Ale Oni, Ci Wszyscy za nami..., Ci spod Monte Cassino... Oni Wszyscy weszli do naszej Przeszłości, lecz nie mówili, kiedy Polska jeszcze na nogach nie stała, o przywilejach im przynależnych. Podkreślam: przynależnych!

Z mojej Latarni francuskiej cicho i tęskno sobie spoglądam, kiedy mi ktoś albo coś drogi i pola i chaty i wieczorne mgły kujawskie przypomni. Te mgły co pachną polanami i skwarką i koprem, a smak kwaśnego mleka niby hostia w ustach się rozpływa... A jednak śmiech mnie ogarnął, kiedy usłyszałem i widziałem polską hrabinę w telewizji mówiącą: *„J'adore Wałęsa. Il a toujours la bouche pleine de boutades"*.

Tak, śmiałem się, bo ta hrabina nie wiedziała, że na Kujawach zbiera się na pęczki frajerów z humorem i gracją.

Za wcześnie, Panie Wałęsa, za wcześnie na przywileje, ale niech Pana Pan Bóg prowadzi!

E. OLEJNICZAK

P.S. Gorbaczowowi, Panie Wałęsa, należy się dobrze przyglądać ale nie za wiele wierzyć. Jego obiecanki nie mają żadnego znaczenia dopóty, dopóki za jego słowami wszystkie Ruskie nie stoją!

●

Warszawa, 22 listopada, 1988

WPan
Andrzej Panufnik
Riverside House
Twickenham, TW 1 3DJ

Wielce Szanowny Panie,

Na „Warszawskiej Jesieni" w roku 1989 pragniemy więcej niż zwykle miejsca w programie poświęcić Pana muzyce — w związku z Pańską 75-tą rocznicą urodzin. Zamierzenie to na razie nie ma konkretnego kształtu, z pewnością jednak będziemy się starali zarówno zaprezentować utwory jeszcze

nie grane w Polsce, jak i przypomnieć niektóre kompozycje już wykonywane. Będziemy Panu bardzo wdzięczni za wszelkie sugestie dotyczące utworów i wykonawców.

Bylibyśmy ogromnie szczęśliwi i zaszczyceni, gdyby zechciał Pan być gościem honorowym naszego festiwalu. Odbywać się on będzie w dniach 15-24 września 1989. Cieszylibyśmy się jeszcze bardziej, gdyby Pan zechciał zadyrygować koncertem złożonym z Pańskich dzieł. Koncert taki mógłby się odbyć 15 września, a zatem stanowiłby zarazem uroczystą inaugurację XXXII „Warszawskiej Jesieni". Do dyspozycji miałby Pan Orkiestrę Filharmonii Narodowej. Jesteśmy głęboko przekonani, że koncert taki byłby nie tylko najważniejszym akcentem przyszłorocznego festiwalu, ale także wydarzeniem historycznej wagi w dziejach „Warszawskiej Jesieni" i polskiej muzyki współczesnej.

Nie musimy Pana zapewniać, jak wielkim zainteresowaniem słuchaczy „Warszawskiej Jesieni" cieszą się zawsze wykonania Pańskich dzieł. W kontekście tego zainteresowania koncert pod Pańską batutą jest wydarzeniem od dawna oczekiwanym, zarówno przez środowisko muzyczne, jak i przez zwykłych melomanów. Gorąco zatem prosimy o rozważenie naszej propozycji.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Olgierd Pisarenko
Przewodniczący Komisji Programowej

Twickenham, 1 stycznia 1989

WPan Olgierd Pisarenko
Przewodniczący Komisji Programowej
Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej
„Warszawska Jesień"
Rynek Starego Miasta 27
00-272 WARSAW
Poland

Szanowny i Drogi Panie,

Jestem głęboko wzruszony Pańskim listem i tak serdecznym zaproszeniem do dyrygowania Inauguracyjnym Koncertem na Festiwalu Warszawskiej Jesieni w dniu 15-go września tego roku. Jest to przecież *pierwsze* zaproszenie do dyrygowania koncertem moich utworów po 35-ciu latach, i dlatego wysoko cenię Pański przyjazny gest.

Niestety, z najgłębszym żalem nie mogę przyjąć tego zaszczytu z przyczyn wyłącznie politycznych.

Mimo że nastąpiły pewne zmiany na lepsze we Wschodniej Europie, Polska jest nadal krajem kontrolowanym przez Rosję. Stąd czuję się w obowiązku kontynuować moją dobrowolną emigrację jako protest przeciwko narzuceniu narodowi polskiemu systemu komunistycznego. Fakt mego pobytu w Polsce mógłby być interpretowany przez ogół społeczeństwa jako akceptacja przeze mnie obecnej sytuacji politycznej.

Moja odmowa jest dla mnie nadzwyczaj bolesna, specjalnie, że się urodziłem i wychowałem w Warszawie i pragnąłbym gorąco zobaczyć moje miasto rodzinne. Mogę Pana zapewnić, że byłbym bardzo szczęśliwy spotkać moich kolegów, oraz mieć sposobność do poznania utalentowanych kompozytorów, wykonawców i muzykologów młodszego pokolenia.

Jestem pewny, że jest Pan świadomy moich duchowych i emocjonalnych więzi z ojczyzną, które często wyrażałem w moich kompozycjach pisanych poza Krajem. Naturalnie, każde wykonanie mojej muzyki w Polsce sprawia mi wielką radość. Mam nadzieję, że cały szereg moich utworów, włącznie z tymi ostatnimi, dotrze wkrótce do sal koncertowych — i tym samym, mimo mojej nieobecności w Polsce, muzyka moja spotka się ze słuchaczami.

Jeszcze raz dziękuję Drogiemu Panu za zaproszenie na tak ważny Festiwal. Ufam, że Pan i Pańscy koledzy zrozumieją powód mojej bardzo bolesnej decyzji.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami i życzeniami Noworocznymi oraz wyrazami prawdziwego poważania,

Andrzej PANUFNIK

●

Waszyngton, 27 czerwca 1989 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W majowym numerze *Kultury* ukazał się szkic Czesława Miłosza pt. 'Koniec Wielkiego Xięstwa (o Józefie Mackiewiczu)'. Zgadzam się z tezą autora, że Józef Mackiewicz był zapóźnionym patriotą Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tworzył jednakże wyłącznie po polsku, miał obywatelstwo Rzeczypospolitej i podlegał jej prawom. Skoro więc pisując w *Gońcu Codziennym*, wileńskim organie propagandy hitlerowskiej, współpracował w czasie wojny z okupantem niemieckim i mimo ostrzeżeń władz podziemnych współpracy tej nie przerwał, dopuścił się bezsprzecznie zdrady. Za nią to został skazany na śmierć przez wileński podziemny Sąd Specjalny.

Nie był to wyrok za surowy. Za podobne przestępstwa William Joyce, osławiony 'Lord Haw-Haw', nie będący nawet obywatelem brytyjskim, zginął po wojnie w Londynie z ręki kata. Knut Hamsun, wielki pisarz norweski, laureat nagrody Nobla, otrzymał jedynie karę wysokiej grzywny tylko ze względu na sędziwy wiek (86 lat), Ezra Pound, wybitny poeta amerykański, musiał spędzić długie lata w waszyngtońskim zakładzie dla umysłowo chorych, a następnie opuścić Amerykę.

Mackiewicza nie spotkała właściwie żadna kara. Po wyroku wyjechał pospiesznie z Wilna do Warszawy. Z tego powodu wyroku wprawdzie nie uchylono, nie próbowano go jednak wykonać. Mackiewicza skazano przecież nie za germanofilskie przekonania, lecz za kolaborację, a tej już zaniechał.

Podziemny Sąd Specjalny nazywa p. Miłosz z wyraźnym lekceważeniem sądem kapturowym. W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej kapturami były nadzwyczajne sądy karne wyrokujące w okresie bezkrólewia w sprawach bezpieczeństwa publicznego. Nazwa ich nabrała złowrogiego, kryminalnego niemal znaczenia, gdy w Niemczech Weimarskich przylgnęła do tajnych decyzji kilku osób z kół skrajnych nacjonalistów, którzy na tej podstawie mordowali swoich przeciwników politycznych. Podziemne sądy specjalne działały na mocy uchwały Komitetu (Ministrów) dla Spraw Kraju we Francji z 16 kwietnia 1940 roku. Orzekały one w składzie trzech sędziów (z których przynajmniej jeden musiał być prawnikiem) po starannym rozważeniu dowodów i wysłuchaniu wyznaczonego z urzędu obrońcy oskarżonego. Ze zrozumiałych powodów ich wyroki zapadały zwykle zaocznie. Musiały być zatwierdzone przez miejscowych delegatów rządu, którzy je aprobowali tylko w wypadkach nie budzących żadnych wątpliwości.

W Kraju sądownictwa podziemnego nie nazywano nigdy kapturowym. Można je krytykować, jak wszystkie instytucje na świecie, trzeba jednak czynić to ze znajomością rzeczy i z pewnym szacunkiem dla jego uczestników, którzy wykonywali swe funkcje bezinteresownie z wysokim poczuciem odpowiedzialności w warunkach stałego niebezpieczeństwa.

Wolałbym pozostawić osąd całej działalności Józefa Mackiewicza przyszłym pokoleniom. Zniósł wiele przykrości i upokorzeń. Cierpiał niedostatek. Miał i niemałe zasługi. Był wybitnym pisarzem. Do publicznego zabrania głosu zmusił mnie jednak p. Miłosz swoim postawieniem sprawy.

Byłbym wdzięczny, Szanowny Panie Redaktorze, za ogłoszenie niniejszego listu.

Z poważaniem

Andrzej POMIAN

●

Uniwersytet Wrocławski
Instytut Fizyki Teoretycznej

Wrocław, 1 sierpnia 1989 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z opublikowaniem w ostatnim numerze *Kultury* moich listów do Władz Uczelni, w których ustosunkowuję się do sytuacji w profesurze i, szerzej, w nauce polskiej, proszę o opublikowanie następującego wyjaśnienia:

1. O tym, że listy moje zostały opublikowane i w ogóle przesłane do Redakcji *Kultury*, dowiedziałem się dopiero po ich wykorzystaniu przez Radio Wolna Europa. I chociaż dotarła do mnie właśnie *Kultura* nr 502/503, nadal nie wiem, jaką drogą listy moje zostały Panu przekazane. Stwierdzenia tego proszę nie traktować jako zarzut lub pretensję — po prostu stwierdzenie faktu.
2. Pierwszy z dwu listów porusza jeden z najważniejszych, moim zdaniem, problemów nauki w PRL, sytuację w profesurze, i jestem Panu zobowiązany za jego udostępnienie szerszemu ogółowi. Natomiast drugi, list do Dyrektora Instytutu, stanowił jedynie najmniej ważny załącznik do poprzedniego, traktował o banalnym incydencie wewnątrz Instytutu i jego publikowanie nigdy nie było moim zamiarem.
3. Jestem zdania, że opublikowanie tych listów pod wspólnym tytułem „Atmosfera na Uniwersytecie Wrocławskim" sugerować może, że Uniwersytet ten jakoś rażąco odbiega od innych i że to co piszę dotyczy tego właśnie Uniwersytetu. Otóż tak nie jest. Uważam, że sytuacja na moim Uniwersytecie jest najzupełniej typowa, jeśli odbiega ona od średniej to raczej na plus niż na minus. Dowodem tego jest chociażby fakt, że osoba nawet tak niewygodna dla środowiska jak ja, jest na nim nie tylko że tolerowana, ale nawet — jak świadczą opublikowane listy — proponuje się jej awans.
4. Wreszcie uwaga końcowa, która również charakteryzuje *sytuację typową w środowiskach akademickich:* do dnia dzisiejszego, choć upłynęły już 4 miesiące od wysłania omawianych pism, żaden z adresatów, ani Rektor, ani Dyrektor, ani Dziekan w żaden sposób nie dał mi poznać co o nich myśli, nie mówiąc już o formalnej odpowiedzi!

Jest to szczególna symbioza kultury łacińskiej z hebrajską. Nasi uczeni wiedzą bowiem, że z jednej strony *scripta manent*, a z drugiej, że w Starym Testamencie jest powiedziane: „I głupi, jeśli milczy, będzie uznany za mądrego".

Proszę przyjąć wyrazy uznania i prawdziwego szacunku,

Jerzy PRZYSTAWA

Waszyngton, 24 lipca 1989

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozmowa Krzysztofa Czabańskiego z Krzysztofem Wyszkowskim, zatytułowana „Spod stołu" (*Kultura* 7-8, 1989), stanowi doskonały okaz, jak *nie* należy się wypowiadać w kwestiach ważnych i spornych zarazem. Połączenie apodyktyczności z brakiem uzasadnień nie zachęca do wymiany poglądów. Jedno wszakże oznajmienie powinno zostać pokwitowane. Oto ono.

„K.Cz. — Przy stoliku górniczym jednak szykowało się zerwanie rozmów?

K.W. — Dlatego, że tam była autentyczna ekipa strajkowa, a nie wynajęci inteligenci, którzy nie poczuwali się do własnej podmiotowości politycznej".

Skoro takie twierdzenia publikuje się w *Kulturze*, niech mi będzie wolno również publicznie zapytać, kto i za ile — zdaniem p. Wyszkowskiego — wynajął owych inteligentów.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Klemens SZANIAWSKI

●

München, 21 lipca 1989 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa p. Marek Łatyński w liście do Redakcji w lipcowo-sierpniowej *Kulturze* (str. 217) twierdzi, że w majowym numerze znalazł moją skargę na skrócenie przez Rozgłośnię tekstu mego nekrologu śp. Ignacego Klibańskiego o te ustępy, jakie pisałem „głównie o sobie, zamiast o Zmarłym".

Na wszelki wypadek przestudiowałem dokładnie to co napisałem (str. 170-172), bo może jednak, lecz klnę się na brodę Proroka: owej skargi, jaką podobno znalazł p. Łatyński, tam nie ma.

Jest natomiast coś innego. Napisałem bowiem wyraźnie, radzę raz jeszcze przeczytać, że byłem — i nadal jestem — oburzony na to, że *wspomnienie o byłym pracowniku Rozgłośni umieszczono w „Rendez-vous", audycji, w której zwykle idą tzw. lekkie kawałki.* Ale tego zarzutu, tej skargi, p. Łatyński nie był łaskaw dostrzec.

A swoją drogą cieszyłbym się, gdybym mógł dostać — mimo ogromnych trudności technicznych — tekst tego co poszło w tym nieszczęsnym „Rendez-vous", by móc przesłać to Bratu Zmarłego, a przy okazji zorientować się czy ów nekrolog skrócono li-tylko o moje egocentryczne wynurzenia.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Kazimierz ZAMORSKI

●

Szanowny Panie Redaktorze!

Urlop był niezmiernie ciekawy, ale wnioski pesymistyczne. Nigdy jeszcze z pobytu w kraju nie odniosłem tak beznadziejnego wrażenia jak tego roku. Wynikło to może stąd, że tym razem, po raz pierwszy, mieliśmy porównanie z innym krajem w podobnej sytuacji, a mianowcie z Węgrami, w których byliśmy po raz pierwszy. Zawsze byłem zdania, że w systemie sowieckim też można życie jako tako zorganizować na względnie ludzki sposób, bez takiego poniżania człowieka jak w PRL, ale nie miałem na to dowodu, a teraz mam — Węgry. Węgry, a byliśmy nie tylko w pięknym Budapeszcie, ale i w Miszkolc

i puscie i nad Balatonem — to Europa, to respekt dla pojedynczego człowieka, to możność załatwiania spraw po linii prostej, bez trudności, no i dostatek. A w PRL, aż przykro porównać, Europa pozostała jedynie w domach prywatnych i mieszkaniach, w kościołach i w takich instytucjach jak Zamek Królewski, a na ulicy, w miejscach publicznych, w stosunkach z władzami, w sklepach — to Sowiety, to nieludzkie, chorobliwe stosunki, to krętactwo, brak szacunku dla pracy, dla porządku, to brud, piasek rozkopany i ponure budynki, to zasępieni ludzie człapiący z głową pochyloną, z torbami w ręku, to kolejki przed sklepami z chlebem i kombinatorstwo na każdym kroku. Na Węgrzech kolejek nie ma, na Węgrzech jest jedna wymiana oficjalna i całkiem wystarczająca, a nawet tania. A w PRL w motelu Krak, pod Krakowem, gdzie można, a raczej trzeba płacić jedynie po oficjalnej wymianie, obskurny pokój, z brudno wyglądającymi ręcznikami i z pytaniem: — A kwity na śniadanie są? — £ 37.00. A na Węgrzech w sieci państwowych hoteli Hungar Hotels poziom naprawdę europejski, czysto, biorą Credit Cards, np. Visa, papier listowy, lodówki w pokojach, prawie tak elegancko jak w hiszpańskich Paradorach (też państwowa sieć hoteli), dwadzieścia kilka funtów i europejska grzeczność. Na Węgrzech „socjalistyczny" bałagan wyziera jedynie gdzieniegdzie, a w Polsce dominuje. Na wjazd do PRL czekaliśmy 10 godz. Na pustym polu, bez jedzenia, bez picia, bez ubikacji. I to nie przypadek i to nie wschodni Niemcy, którzy bardzo usprawnili się, a polskie urzędowanie. To nie przypadek, to zorganizowane trzystopniowe czekanie. Z 27 stanowisk kontrolnych na granicy PRL tylko 4 czynne. A czas załatwiania poszczególnego samochodu (bez rewizji, jedynie zapisywanie, stemplowanie, noszenie dokumentów do biura w piwnicy i z powrotem) przeciętnie 10 min. Trudno sobie wyobrazić, żeby pod koniec 20 wieku w ten sposób traktować ludzi. I na to nie pomoże żadna Solidarność, ani wybory, to jest już wrodzony brak szacunku do człowieka, do porządku. Kiedy któryś z wjeżdżających skarżył się na 10 godz. czekanie, dostał odpowiedź od jednego z kontrolujących: — No, trudno, jak chcecie podróżować, to musicie czekać. Deprawacja narodu polskiego jest b. daleko posunięta! A politycznie? Nie rozmawiałem z żadnymi przywódcami ale rozmawiałem z wielu, 20 - 30 ludźmi spośród tzw. inteligencji i wszystkie rozmowy nie miały żadnego sensu, z małymi wyjątkami. Odpowiedzi na moje pytania bezsensowne. Jak np. — Sowiety już nie istnieją, już nie są w stanie PRL kontrolować. I tym podobne nonsensy. A jak ich przyprze się do muru, to mówią, że teraz nie da się nic zrobić, ale za 4 lata, jak będą naprawdę wolne wybory, to wszystkie problemy rozwiążą się same, *Deus ex machina*! Ma się rozumieć są wyjątki, ale b. nieliczne.

A poza tym dominuje kolaboracja z komunistami, szukanie *modus vivendi*. Najwięksi teraz bohaterzy to Mikołajczyk i Tatar, którym urabia się wielką propagandę, jako właśnie wzorom kolaboracji do naśladowania. Ma się rozumieć ktoś musi kolaborować, żeby poprawić może nieco warunki bytowania ludzi, ale ktoś powinien też myśleć o niezależności co może być potrzebne w przyszłości, ale takich jest b. mało, a ci którzy są to raczej wśród młodych, a nie średnich lub starych.

Najgorsze wrażenie wywarła Warszawa. Brudno, piasek, ulica zakurzona, tępa, beznadziejna, żadnego uśmiechu, żadnej muzyki. Chcieliśmy jak najszybciej wyjechać. (Jak powiedziałem Zamek, to oaza. Ale tam można dostać się jedynie przez protekcję, albo z wycieczką. Na szczęście mieliśmy protekcję). Bydgoszcz straszna, drogowskazy to tam rzecz nieznana. Rozkopana i zostawiona. Kraków, chociaż wali się w dymach Nowej Huty, ale ma jeszcze swój nastrój. Najprzyjemniej jednak było w samej Puszczy Białowieskiej, z dala od władzy, od miasta, od przemysłu. Tam odpoczęliśmy i tam był nastrój dawnej prawdziwej polskości, a nie tego nowego na pół sowieckiego świata PRL.

W sumie nie bardzo widzę dążenia w Kraju do szacunku dla drugiego człowieka, dla pracy, dla porządku, dla poszanowania mienia, dla podniesienia ogólnego (a nie tylko osobistego) poziomu życia i radości życia.

Nazwisko znane Redakcji

APEL

Wydział Historii Adwokatury działający przy Ośrodku Badawczym Adwokatury pragnie rozszerzyć krąg osób współpracujących z Wydziałem w szczególności wśród adwokatów i rodzin zmarłych adwokatów.

Wydział Historii Adwokatury prowadzi prace redakcyjne nad:

Słownikiem Biograficznym Adwokatów Polskich — po wydaniu I tomu (5 zeszytów) wydaje się obecnie II tom Słownika obejmujący biogramy adwokatów zmarłych od stycznia 1919 roku do stycznia 1945 roku.

Redakcja Słownika prosi o skontaktowanie się z nią osób, które mogłyby opracować życiorysy zmarłych w tym okresie adwokatów lub udzielić interesujących szczegółów biograficznych odnoszących się do II lub III tomu Słownika, względnie podać uzupełnienia czy sprostowania do wydanego już tomu I-go; uzupełnienia te będą wykorzystane w addendach.

Szkicami z Dziejów Adwokatury — opublikowano dotąd trzy zeszyty, w opracowaniu jest czwarty. „Szkice" stawiają sobie za cel gromadzenie i publikowanie przede wszystkim źródeł, dokumentów, pamiętników i przyczynków historycznych odnoszących się do historii adwokatury polskiej i powszechnej.

— Materiały te będą pracą przygotowawczą dla zrealizowania w przyszłości planowanych przez wydział opracowań:

— obszernej „Historii Adwokatury Polskiej" zawierającej możliwie wyczerpujący dobór źródeł,

— „Powszechnej Historii Adwokatury" przedstawiającej zarys historycznego rozwoju adwokatury we wszystkich krajach i kręgach kultury.

Tym samym celom służyć mają dwie różne w Wydziale kartoteki:

a) adwokatów cudzoziemców, którzy w jakiejkolwiek formie i w stopniu znaczącym zasłużyli się dla sprawy polskiej,

b) adwokatów, którzy działalnością swoją zapisali się trwale w historii adwokatury powszechnej w życiu politycznym, naukowym, społecznym lub artystycznym.

Te dwie kartoteki nie obejmują adwokatów Polaków, których działalność jest przedmiotem zainteresowania Słownika Biograficznego Adwokatów Polskich.

Wydział Historii Adwokatury bardzo będzie zobowiązany wszystkim, którzy w pracach tych udzielą mu pomocy.

Korespondencję prosi się kierować pod adresem:

Okręgowa Rada Adwokacka w Szczecinie 70-231,
Wydział Historii Adwokatury O.B.A.
ul. Narutowicza nr 3

lub

Adwokat Roman Łyczywek, Szczecin 6
Skrytka pocztowa nr 145.

Za Wydział Historii Adwokatury
Ośrodka Badawczego Adwokatury
dr Roman Łyczywek
adwokat

C.P. Czuchwicki, Panorama, SA (Australia):
— na Fundusz *Kultury* po raz 17-y ..... F. 200,00
— na Obywatelski Komitet Poszukiwania Mieszkańców Suwalszczyzny ..... F. 200,00

Karol Jabłoński, Toronto, ON (Kanada) — w dowód wdzięczności za opublikowanie w jubileuszowym numerze *Kultury* biografii śp. Józefa Mackiewicza, napisanej w tak światły sposób przez Czesława Miłosza:
— na Fundusz *Kultury* — po raz 30-y ..... F. 1.000,00
— na budowę lepszego jutra w Kraju ..... F. 1.000,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

E.M. Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL ..... F. 200,00

Andrzej Jakubiec, Brooklyn, N.Y. (USA) — na walkę z komunizmem w Polsce — $100,00 ..... F. 640,00

Wojciech Misiewicz, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Kraju — $40,00 ..... F. 256,00

Anna Radko, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Kraju — $30,00 ..... F. 192,00

Jerzy Smolik, Staten Island, NY (USA) — na walkę z komunizmem — $50,00 ..... F. 320,00

Roma Starczewska, Nowy Jork — zamiast kwiatów na grób Ojca, Karola Kucińskiego — na fundusz pomocy rodzinom więźniów politycznych — $25,00 ..... F. 160,00

•

Zbigniew Panek, Kolonia RFN — na „Solidarność Walczącą — DM 20,00 ..... F. 68,00

„100 FF — Lozanna" — na Solidarność Walczącą ..... F. 100,00

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTYTUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3e trimestre 1989.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 1865-1989

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1989		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 10,00	$A. 60,00	$A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Łopuszański,** 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; **«Police Voice Publishing» Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»),** 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	$can. 10,00	$can. 50,00	$can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 7,50	$US 40,00	$US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F. 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280. Cena F. 120,00.

•

TOM 448 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA 1981-87

Zawiera pełną bibliografię „Kultury", „Zeszytów Historycznych" oraz działalności wydawniczej Instytutu Literackiego w latach 1981-87.

Str. 352. Cena F. 150,00.

•

TOM 449 — WITOLD BEREŚ, KRZYSZTOF BURNETKO

TYLKO NIE O POLITYCE

Wywiady „Promienistych" ze Zbigniewem Bujakiem, Jackiem Fedorowiczem, Ewą Kulik, Jackiem Kuroniem, Markiem Nowakowskim, Zbigniewem Romaszewskim i Krystianem Waksmundzkim.

Str. 128. Cena F. 70,00.

•

TOM 452 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: J. Lewandowski: *Ludowe Wojsko Polskie;* A. Suchcitz: *Archiwa wywiadu polskiego po 1945 r.*; A. Akuliczew, A. Pamiatnik: *Katyń: potwierdzić czy zaprzeczyć?*; Płk Van Vliet: *Relacja amerykańskiego oficera*; J. Trznadel: *Czarodziejska góra komunizmu — rozmowa z Jackiem Łukasiewiczem (13 lutego 1981)*; J. Tyszkiewicz-Łącki: *Byłem adiutantem gen. Sikorskiego;* K. Dołęga: *Moja służba w armii sowieckiej;* /pk/: *Korespondencje Kazimierza Wierzyńskiego z Białorusi (sierpień 1919)*; J. Kostrowicki: *Dziennik VII batalionu 77 pp AK z operacji wileńskiej, lipiec 1944*; A. Tuszyńska: *Raporty dyplomatów francuskich z Warszawy 1863 roku* oraz bogate działy RECENZJE, POLEMIKI, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 80,00

IN 93400 St-Ouen - 1865-1989

Cena 45 F